

INDEKS

PISMO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO
9-10 (163-164) / Grudzień 2015



ISSN 1427-7506

31 // **Stanisław S. Nicieja**
Następca Zbyszka Cybulskiego

37 // **Tadeusz Kucharski**
Tego Ślązaka strzechy brzydziły

70 // **Dorota Konietzko-Meier**
Drugie życie martwych kości

III // **Martin M. Lintner**
Kłopoty z płcią



SPIS TREŚCI

1	KRONIKA UNIWERSYTECKA	03
	Nagrody, wyróżnienia	20
	Nominacje profesorskie: ks. prof. dr hab. Radosław Chałupniak	26
	Laureatka Nagrody im. K. Miarki – prof. Danuta Kisielewicz	27
2	PUBLICYSTYKA, SZTUKA	29
	Następca Zbyszka Cybulskiego / Stanisław S. Nicieja	31
	Tego Ślązaka strzechy brzydziły (<i>rozmowa Tadeusza Kucharskiego z Dominikiem Horodyńskim</i>)	37
	Wiersze Joanny Matlachowskiej	41
	Świat na języku (<i>relacja ze spotkania z Wiesławem Myśliwskim</i>)	42
	Od ekstazy do rozpacz / Grzegorz Banasik	47
	Niespodziewane / Agnieszka Kania	51
	Moje książki / Bartłomiej Kozera	55
	Indeksowa Galeria Sztuki	56
	Za szybkie pisanie – 39 / Adam Wierciński	58
	Mój sen się spełnił / Klemens Richter	61
	Zdrowotne hektoliry / Krzysztof Spatek	65
	Drugie życie martwych kości / Dorota Konietzko-Meier	70
	Zacofanie i woda ognista w Postępie / Andrzej Hamada	75
	Karolinka była z Grodzca? / Jan Trzos	78
	NASI ABSOLWENCI: Moje szkoły, moi nauczyciele / Alfred Michler	80
	Gwiazdy na niebie i ziemi, część 4 / Józef Musielok	85
	Ten nieborak Duchamp / Jerzy Beski	89
	CYTATY Z IMPORTU: Lekcja martwego języka (z prof. Stanisławem S. Nicieją rozmawia Katarzyna Bereta)	97
	ODESZLI: prof. dr hab. Tadeusz Górecki / Katarzyna Książek	102
	Krwawy Popielec / Jerzy Duda, Irena Kalita	105
	Przebaczamy i prosimy o przebaczenie / ks. Piotr Górecki	108
Kłopoty z płcią / Martin M. Lintner	111	
LISTY, POLEMIKI	114	
3	RELACJE, RECENZJE, NOTY	115
	Przestrzenie pamięci / Iwona Sobieraj	116
	Opolska ekonomia ma 40 lat / Anna Bruska	118
	Instytutowe początki / Stanisława Sokołowska	120
	Grecja jak zombie (<i>relacja ze spotkania z prof. Markiem Belką</i>)	123
	Profesor, rektor, przyjaciel / Wanda Matwiejczuk, Katarzyna Mazur-Kulesza	125
	Obsesja jubileuszy? (<i>relacja z wykładu prof. Roberta Traby</i>)	128
	„Kresowej Atlantydy” tom szósty / Marceli Kosman	130
	PÓŁKA SUŁKA: Rękopis znaleziony w Saragossie / Witold Sułek	133
	Albumowy rarytas / Harry Duda	134
	Polonistyczne wyzwania / Marzena Makuchowska	136
	Józefa Długosza dzieło ostatnie / Marceli Kosman	138
	Bytomsko-opolskie zauroczenia / Władysław Hendzel	140
	Nowości wydawnicze	141
	Noty o autorach	144

1

INDEKS

KRONIKA UNIWERSYTECKA

Wydarzenia

Wiadomości

Sylwetki

6.10

2015 14.12

6.IO Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak podpisała porozumienie intencyjne z Novavis SA – spółką notowaną na alternatywnym rynku Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, specjalizującą się w energiach odnawialnych. Zawarte porozumienie jest kolejnym krokiem w kierunku uruchomienia w Dąbrowie ośrodka studiów i dialogu międzynarodowego oraz centrum nowoczesnych technologii w energetyce.

8.IO W ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych prof. dr hab. Maria Prussak wygłosiła w Auli Błękitnej Collegium Maius UO wykład pt. *Powrót do filologii – konieczność czy utopia?* Prelegentka jest kierownikiem Ośrodka Badań Filologicznych i Edytorstwa Naukowego w Instytucie Badań Literackich PAN. Kieruje grantami badawczymi, poświęconymi edytorstwu naukowemu, tradycjom filologicznym (krótkie francuskie teksty Adama Mickiewicza, listy do Adama Mickiewicza, „Dramat polski. Reaktywacja”).

- Planom uruchomienia kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim poświęcone było posiedzenie Rady Wydziału Przyrodniczo-Technicznego. Spotkanie prowadził prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, który w tym dniu był także obecny na koncercie zorganizowanym w amfiteatrze przez prezydenta Opola dla opolskich studentów.

9.IO Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był gościem czytelników Biblioteki Wojewódzkiej im. W. Gombrowicza w Kielcach.

12.IO Gościem Miejskiej Biblioteki w Opolu był Wiesław Myśliwski (więcej na str. 42) – w spotkaniu z pisarzem wziął udział rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

13.IO Prorektor prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w obchodach Święta Edukacji Narodowej, zorganizowanych w Dom Expo w Opolu przez opolskie Kuratorium Oświaty.

- Gościem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji był Piotr Woźniak, lider opolskich struktur SLD, kandydujący do Sejmu RP.

14–17.IO W hotelu Ziemowit w Jarnołtówku obradowała konferencja EOPole'15, poświęcona badaniom podstawowym oraz działaniom praktycznym dotyczącym różnych aspektów ochrony środowiska przyrodniczego. Wzięło w niej udział ponad 130 osób z kraju i zagranicy, m.in. prof. Bogusław Buszewski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, prof. Eiliv Steinnes z Politechniki z Trondheim (Norwegia) i prof. Marina V. Frontasieva z Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej (Rosja). Konferencja, którą zorganizowali pracownicy Wydziału Przyrodniczo-Technicznego oraz Wydziału Chemii UO, rozpoczęła się wideoreferatem laureata Nagrody Nobla, profesora Harolda Waltera Kroto pt. *The Climate Change Crisis?*

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w uroczystości inauguracji roku akademickiego w Państwowej Medycznej Wyższej Szkole Zawodowej w Opolu.

16.IO W sali konferencyjnej Zakładu Radioterapii Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej Opolskiego Centrum Onkologii podpisano porozumienie pomiędzy Uniwersytetem Opolskim a Zarządem Województwa Opolskiego, dotyczące udostępnienia naszej uczelni oddziałów szpitalnych na planowanym kierunku lekarskim. Umowę podpisali: marszałek Andrzej Buła i wicemarszałek Roman Kolek oraz rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. W spotkaniu uczestniczyła także prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.



16 X 2015. Podpisano porozumienie pomiędzy Uniwersytetem Opolskim a Zarządem Województwa Opolskiego o udostępnieniu naszej uczelni oddziałów szpitalnych na planowanym kierunku lekarskim. Na zdjęciu (od lewej): wicemarszałek Roman Kolek, marszałek Andrzej Buła, rektor prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Tadeusz Parcej)

- *Przestrzeń Pamięci. Świat wartości w przekazie międzypokoleniowym i międzykulturowym* – to tytuł międzynarodowej konferencji zorganizowanej w Opolu przez Zakład Antropologii i Socjologii Kultury Instytutu Socjologii UO. Konferencja, którą otworzył rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, miała charakter interdyscyplinarny; zaprezentowano ponad 50 referatów z instytucji naukowych z kraju i z zagranicy. Więcej na str. 116.



16 X 2015. *Przestrzeń Pamięci. Świat wartości w przekazie międzypokoleniowym i międzykulturowym* – to tytuł międzynarodowej konferencji zorganizowanej w Opolu przez Instytut Socjologii UO. Na zdjęciu (od lewej): dziekan prof. Janusz Dorobisz, dyr. Instytutu Socjologii prof. Krzysztof Frysztacki, prof. Anna Barska, rektor prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Jarosław Mokrzycki)

17.IO Wspólne dyplomatorium zorganizowały Wydziały: Chemii oraz Matematyki, Fizyki i Informatyki. W uroczystości wzięły udział prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

18.IO Na zaproszenie Stowarzyszenia Huta Pieniacka rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wzięły udział w konferencji we Wschowej, poświęconej zbrodniom dokonanej przez banderowców na Wołyniu i Podolu.

19.IO Podczas Regionalnego Święta Edukacji, w Filharmonii Opolskiej, wręczono doroczne Nagrody i Stypendia Marszałka Województwa Opolskiego w dziedzinie edukacji. Stypendia marszałka otrzymali także studenci Uniwersytetu Opolskiego: Adam Wołoszyn, Paweł Świsłowski i Aleksandra Rodzik. W uroczystości wzięły udział prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

20.IO Dyskusję o uchodźcach i imigrantach zorganizował w Collegium Civitas Klub Krytyki Politycznej w Opolu wraz z Instytutem Socjologii UO. Wzięły w niej udział m.in. Michał Wanke (Instytut Socjologii), studenci z zagranicy, Joanna Bronowicka (Centre for Internet & Human Rights) oraz członkowie Stowarzyszenia na rzecz Integracji Społeczeństwa Wielokulturowego NOMADA.

21.IO Po piętnastu latach przerwy w Opolu ponownie ma się pojawić przychodnia akademicka – zgodnie z umową zawartą pomiędzy Uniwersytetem Opolskim, prezydentem Opola i największą w mieście przychodnią „Centrum”. Stosowny dokument podpisali: rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski i dyrektor SP ZOS „Centrum” Violetta Porowska. W spotkaniu wzięła także udział prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Przychodnia mieścić się będzie w Domu Studenckim „Spójnik”.



21 X 2015. Umowę o uruchomieniu przychodni akademickiej podpisali (od lewej): prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja i dyrektor SP ZOS „Centrum” Violetta Porowska (fot. Sylwester Korala)

• Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w inauguracji IV Opolskiego Festiwalu Gór, która odbyła się w Narodowym Centrum Polskiej Piosenki w Opolu.

22.IO *Mniejszości w Polsce i na Ukrainie z perspektywy regionów* – to tytuł konferencji, zorganizowanej wspólnie przez Uniwersytet Opolski, Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód oraz Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Auli Błękitnej Collegium Maius UO. Wzięły w niej udział m.in. europoseł Paweł Kowal, b. ambasador Ukrainy w RP prof. Markijan Małski, konsul RP we Lwowie

Jacek Żur, pełnomocnik rządu Ukrainy ds. polityki narodowo-etnicznej Henadij Druzenko, przewodniczący Związku Niemców na Ukrainie Władimir Leysle i przewodniczący Zarządu Związku Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Polsce Bernard Gaida. Konferencję otworzył prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

• Do grona placówek medycznych, deklarujących chęć współpracy z kierunkiem lekarskim, który ma powstać na Uniwersytecie Opolskim, dołączył Samodzielny Publiczny Zespół Opieki Zdrowotnej w Nysie. Umowę o współpracy podpisali: dyrektor SPZOZ w Nysie dr Norbert Krajczy i prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.



22 X 2015. W Samodzielnym Publicznym Zespole Opieki Zdrowotnej w Nysie podpisano umowę o współpracy z Uniwersytetem Opolskim. Na zdjęciu (od lewej): starosta powiatu nyskiego Czesław Biłobran, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i dr Norbert Krajczy (fot. Bożena Wroniszewska)

• *Czy wiek skał w Krasiejowie jest inny...?* – na to pytanie próbował odpowiedzieć autor wykładu wygłoszonego na zaproszenie Pracowni Paleobiologii UO, prof. dr hab. Grzegorz Racki, światowej sławy naukowiec z Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego i Instytutu Paleobiologii PAN w Warszawie.

• Prorektor ds. nauki i finansów prof. Janusz Słodczyk wzięły udział w trzecim spotkaniu Opolskiego Regionalnego Forum Terytorialnego, podczas którego przedstawiono rekomendacje z badania zrealizowanego w ramach działań Opolskiego Obserwatorium Terytorialnego pn. „Rewitalizacja obszarów miejskich oraz zagospodarowanie terenów zdegradowanych w województwie opolskim”. Podczas spotkania wręczono nagrody i wyróżnienia w tegorocznej edycji konkursu „Najlepsza przestrzeń publiczna województwa opolskiego 2015”.

• Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wzięły udział w posiedzeniu Rady Programowej Polskiego Słownika Biograficznego, które odbyło się w Krakowie, a któremu przewodniczył prof. dr hab. Andrzej Romanowski.

23.IO Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięły udział w posiedzeniu Komitetu Monitorującego Regionalny Program Operacyjny Woj. Opolskiego na lata 2014-2020.

24.IO Na Wydziale Teologicznym UO zainaugurowano kolejny rok akademicki. Gościem uroczystości był prof. Klemens Richter, teolog, liturgista z Uniwersytetu w Monasterze, któremu nadano tytuł Honorowego Profesora UO. Władze uczelni reprezentował rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. Więcej na str. 61.

27.IO

Gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji był Krzysztof Trawiński, dyrektor opolskiego oddziału ZUS.

28.IO

Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marek Masnyk podpisał, w imieniu Uniwersytetu Opolskiego, umowę z Wojewódzkim Urzędem Pracy w Opolu, reprezentowanym przez dyrektora Jacka Suskiego. Umowa dotyczy m.in. organizowania przedsięwzięć związanych z planowaniem karier zawodowych i aktywizacją zawodową studentów, absolwentów i doktorantów, wymiany informacji dotyczącej rynku pracy i badań popytu na pracę, podejmowania działań na rzecz aktywizacji zawodowej, przebranżowienia i uzupełnienia kompetencji zawodowych studentów i absolwentów, korelacji kierunków kształcenia z potrzebami rynku pracy, rozwoju poradnictwa zawodowego, organizacji seminariów i konferencji naukowych, popularnonaukowych i metodycznych o zasięgu regionalnym, ogólnopolskim oraz międzynarodowym, a także organizacji specjalistycznych szkoleń, kursów oraz studiów podyplomowych dla pracowników urzędów pracy.



28 X 2015. Umowę o współpracy Uniwersytetu Opolskiego z Wojewódzkim Urzędem Pracy w Opolu podpisali: dyrektor WUP Jacek Suski (z lewej) i prorektor prof. Marek Masnyk (fot. Bożena Wroniszewska)

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr. hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w konferencji dotyczącej rewitalizacji obszarów miejskich w województwie opolskim, podczas której zaprezentowano nowy model działań rewitalizacyjnych, wypracowany przez Departament Polityki Przestrzennej w Ministerstwie Infrastruktury i Rozwoju, przedstawiono także zasady uzyskania dotacji dla gmin województwa opolskiego na działania dotyczące przygotowania lub zmiany lokalnych programów rewitalizacji. Konferencję zorganizował Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego.
- Na zaproszenie Michała Kruszony, dyrektora Muzeum Zamek Górków w Szamotułach, rektor prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja wygłosił prelekcję o Cmentarzu Łyczakowskim i spotkał się ze swoimi czytelnikami podczas wieczoru autorskiego.
- Obradował Senat UO. Gośćmi senatorów byli pracownicy naukowcy, którzy w ostatnim czasie uzyskali awanse naukowe: prof. dr. hab. Barbara Kubis, dr. hab. Małgorzata Rajfur, ks. prof. dr. hab. Radosław Chałupniak (biogram na str. 26), dr. hab. Rafał Matwiejczuk i dr. hab. Edward Nycz.



29 X 2015. Gośćmi senatorów byli profesorowie (na zdjęciu od lewej): Rafał Matwiejczuk, ks. Radosław Chałupniak, Barbara Kubis, Małgorzata Rajfur i Edward Nycz. Na zdjęciu także, w drugim rzędzie (od lewej): prorektorzy – prof. Marek Masnyk i prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, rektor prof. Stanisław S. Nicieja i prorektor prof. Janusz Słodczyk

30.IO

Rewitalizacja Królewskiej Akademii Nauk w Prószkowie była tematem narady w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego, w której uczestniczyli m.in. marszałek woj. opolskiego Andrzej Buła, rektor UO prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja, prorektorzy: prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. dr. hab. Janusz Słodczyk i prof. dr. hab. Marek Masnyk, dr. hab. Arkadiusz Nowak z Katedry Biosystematyki UO, dziekan Wydziału Chemii prof. dr. hab. Piotr P. Wieczorek, kanclerz Ewa Rurynkiewicz, a także dr Marianne Altmann, prezes firmy CO CONCEPT (wykonawca planu utworzenia centrum w Prószkowie).



30 X 2015. Rewitalizacja Królewskiej Akademii Nauk w Prószkowie była tematem narady w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego (fot. Bożena Wroniszewska)

- 3.II Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się ze swoimi czytelnikami w Lubaniu.
- 4.II W Lipnikach Łużyckich odbyło się spotkanie autorskie rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji.
- 5.II Gośćmi prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak byli: dyrektor Jacek Bartosz i wicedyrektor Jacek Kłóś ze szpitala MSW w Opolu. Rozmowa dotyczyła planowanego kierunku lekarskiego (odbywania studenckich praktyk i staży w szpitalu).
- Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w III Międzynarodowej Konferencji Kresowej w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.
 - W Auli Błękitnej Collegium Maius rozpoczęły się obchody 40-lecia Wydziału Ekonomicznego UO. Podczas spotkania przypomniana została historia wydziału, dyskutowano też o perspektywach rozwoju kierunków ekonomicznych na Uniwersytecie Opolskim. W uroczystości wzięli udział rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektorzy, profesorowie: Wiesława Piątkowska-Stepaniak, Janusz Słodczyk i Marek Masnyk. Więcej na str. 118.



5 XI 2015. Jubileusz 40-lecia opolskiej ekonomii. Za mównicą: prodziekan Wydziału Ekonomii prof. Sabina Kauf, za stołem – dziekan prof. Stanisława Sokółowska i prodziekan dr Bartosz Chorkowy (fot. Sebastian Marcinkowski)

- 6.II W Katowicach, z udziałem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji, obradowała Konferencja Rektorów Uniwersytetów Śląskich.
- 6–7.II Prorektor ds. nauki i finansów prof. Janusz Słodczyk wzięli udział w kolejnym posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Finansowej, która tym razem, na Uniwersytecie Wrocławskim, debatowała na temat aktualnej sytuacji finansowej uniwersytetów oraz wyników rekrutacji na rok akademicki 2015/2016, a także finansowania szkolnictwa wyższego i nauki w roku 2016. Celem dyskusji było wypracowanie stanowiska UKF w sprawie finansowania uczelni wyższych (ZFŚS, stabilności dotacji, dotacji na utrzymanie potencjału badawczego).
- 7.II Na Wydziale Teologicznym UO odbyła się międzynarodowa konferencja pt. *Tożsamość płciowa i transseksualizm: fakty i kontrowersje. Perspektywa interdyscyplinarna*, której organizatorami byli: Katedra Bioetyki i Etyki Społecznej oraz Instytut Nauk o Rodzinie UO, a także Bioethicists in Central Europe (BCE) oraz The European Society for Catholic Theology (ESCT). Konferencję otworzyła prorektor ds. promocji i zarządzania prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Wykład wygłosił m.in. prof. Martin Lintner z Philosophisch-Theologische Hochschule w Brixen-Bressanone, we Włoszech (wykład na str. 111).

- 9.II Wydział Prawa i Administracji UO oraz Stowarzyszenie Polskich Wynalazców i Racjonalizatorów w Opolu to organizatorzy wykładu prof. dr hab. Elżbiety Traple z Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. *Internet a prawo*.
- 10–12.II Gościem studentów Kół Naukowych Pedagogiki Międzykulturowej i Pedagogiki Pracy Instytutu Nauk Pedagogicznych był Hamid Asghari, wykładowca Uniwersytetu Karlstad w Szwecji, urodzony w stolicy Iranu, Teheranie, który jako uchodźca, w 1987 r., przybył do Szwecji. W Studenckim Centrum Kultury gość wygłosił wykład pt. – *Doświadczenia bycia uchodźcą w Szwecji – przeszłość i teraźniejszość*, a w Instytucie Nauk Pedagogicznych przedstawił założenia szwedzkiego systemu edukacji zawodowej.
- 11.II W opolskim Ratuszu Daniel Olbrychski przyjął tytuł Honorowego Obywatela Opola. Z tej okazji laudację (na str. 31) wygłosił rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. W tym dniu rektor uczestniczył także w posiedzeniu Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, które odbyło się we Wrocławiu.
- 12.II Wydział Filologiczny UO gościł 50 uczniów i nauczycieli z Publicznego Gimnazjum nr 2 w Krapkowicach, którzy dzięki realizowanemu ze środków unijnych przedsięwzięciu Gimnazjalny Inkubator Talentów podnoszą swoje kompetencje językowe. Gości z Krapkowic oprowadził po obiektach Uniwersytetu Opolskiego prodziekan Wydziału Filologicznego dr Jarosław Bogacki, który wygłosił także wykład o zjawisku wzajemnego wpływania na siebie języków.



12 XI 2015. Na Uniwersytecie Opolskim gościli uczniowie i nauczyciele z Publicznego Gimnazjum nr 2 w Krapkowicach (fot. Anna Majak)

- Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się z prezydentem Opola Arkadiuszem Wiśniewskim. Rozmowa zakończyła się deklaracją finansowego wsparcia przez Ratusz planów uruchomienia kierunku lekarskiego.
 - Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wygłosił wykład na temat Kresów dla słuchaczy Uniwersytetu III Wieku na Politechnice Częstochowskiej.
- 13.II Doświadczenia i wyzwania integracji europejskiej – to tytuł debaty z udziałem prof. Marka Belki, prezesa Narodowego Banku Polskiego, która odbyła się w Auli Błękitnej Collegium Maius UO. Wcześniej prof. Marek Belka był gościem prorektora ds. nauki finansów prof. dr. hab. Janusza Słodczyka, a towarzyszyli mu: dziekan Wydziału Prawa i Administracji dr hab. Piotr Stec oraz prodziekani – dr hab. Sabina Kauf prof. UO i dr Bartosz Chorkowy. Więcej na str. 123.

I3.II



13 XI 2015. Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Marek Belka. Na zdjęciu (od lewej): prodziekan Wydz. Ekonomicznego dr Bartosz Chorkowy, dziekan prof. Piotr Stec, prof. Marek Belka, prorektor prof. Janusz Słodczyk

- Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak była gościem marszałka Andrzeja Buły – rozmowa dotyczyła planów uruchomienia kierunku lekarskiego.

I4.II

Gośćmi rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji byli – Jerzy Bar, właściciel zamku w Sulisławiu i Krystian Kobyłka, dyrektor Teatru Lalki i Aktora. W tym dniu rektor rozmawiał także z Januszem Sidorem, doradcą prezydenta Opola ds. kultury, o planach utworzenia w Opolu ośrodka Jerzego Grotowskiego.

I6.II

Beata Polaczek, dyrektor opolskiego oddziału TVP, była gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji.

- Studenci romanistyki wraz z wykładowcami Uniwersytetu Opolskiego złożyli hołd ofiarom zamachów terrorystycznych w Paryżu, w których zginęło 129 osób. W geście solidarności z Francuzami, romaniści zebrał się na placu Wolności przed tablicą upamiętniającą działania Międzysojusznicy Komisji Rządzącej i Plebiscytowej, której przewodniczył wielki przyjaciel Polaków, francuski generał Henri Le Rond. Zgromadzeni zapalili znicze i ustawili symbole Francji przed pomnikiem, aby wyrazić swój żal i współczucie rodzinom zamordowanych.



16 XI 2015. Na placu Wolności studenci i wykładowcy Katedry Kultury i Języka Francuskiego złożyli hołd ofiarom zamachów terrorystycznych w Paryżu (fot. Piotr Mrówka, Radio Park FM)

I6–I7.II

Pojęcie pokoju i wojny we współczesnej Europie – to tytuł konferencji Colloquium Opole 2015, z udziałem byłych ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec: prof. dr. hab. Adama Daniela Rotfelda (2005) i Markusa Meckela (1990), którzy byli świadkami upadku bloku wschodniego oraz uczestniczyli w procesie reorientacji kierunków polityki zagranicznej Polski i Niemiec po 1989 r. Część konferencji poświęconą obrazowi wojny w nowych mediach moderowała prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, a referat pt. *Druza Armia Krajowa im. Marka Zuckerberga* wygłosił Zbigniew Górniak. W dyskusji panelowej o znaczeniu dialogu i współpracy dla dobrosąsiedzkich relacji, na przykładzie Śląska, wzięła udział prof. dr hab. Aleksandra Trzcieleńska-Polus.

I7.II

W Muzeum UO otwarta została wystawa pt. *Wzgórza uniwersyteckie na fotografiach Jerzego Stemplewskiego*. Autor jest znanym w Opolu fotografikiem, w latach 1978–1993 był nauczycielem fotografii w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. Jana Cybisa w Opolu, autorem zdjęć publikowanych w ogólnopolskich czasopismach („Słowo Powszechne”, „Katolik”, „Gość Niedzielny”, „Panorama Opolska”, „Super Ekspres”) i folderach, a także zamieszczanych na pocztówkach, m.in. promujących Opolszczyznę na światowej wystawie EXPO – Hannover 2000 oraz eksponowanych na kilkunastu wystawach tematycznych, biograficznych i okolicznościowych w kraju, a także w Niemczech.



17 XI 2015. W Muzeum UO otwarto wystawę pt. *Wzgórza uniwersyteckie na fotografiach Jerzego Stemplewskiego* (fot. Sławomir Stemplewski)

- Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się z przewodniczącym Rady Miasta Opola Marcinem Ociepą w sprawie powołania honorowego konsula Ukrainy w Opolu.
- Obradowała Rada Forum Kół Naukowych UO. W posiedzeniu wzięła udział prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

I7–I8.II

Samodzielna Katedra Ochrony Powierzchni Ziemi UO oraz Departament Programów Rozwoju Obszarów Wiejskich Urzędu Marszałkowskiego w Opolu i Wydział Zarządzania Kryzysowego Urzędu Miasta Opola to organizatorzy seminarium naukowego pt. *Problemy zarządzania kryzysowego w obliczu zmian zagospodarowania przestrzennego obszarów wiejskich*, które odbyło się w opolskim hotelu DeSilva.

18.II

Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prof. dr hab. Mirosław Pawlak, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Koninie, podpisali umowę o współpracy między obu uczelniami.



18 XI 2015. Umowę o współpracy Uniwersytetu Opolskiego z Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Koninie podpisali rektorzy: prof. Stanisław S. Nicieja i prof. Mirosław Pawlak. Na zdjęciu także (od lewej): dr Elżbieta Szymańska-Czaplak, prof. Izabella Pisarek i prof. Krzysztof Szczegot

- Mirosław Szewczyk, dyrektor firmy Opolgraf, był gościem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji – rozmowa dotyczyła udziału naszego uniwersytetu w organizowanych w Opolu targach książki.

19.II

W Centrum Kresowym w Bytomiu odbyło się spotkanie autorskie rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji.

- Gościem kolejnego spotkania w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych był prof. dr hab. Marek Stachowski, językoznawca, orientalista, turkolog, etymolog i leksykograf, pracownik Instytutu Językoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, założyciel i redaktor czasopisma „Studia Etymologica Cracoviensia”. W Auli Błękitnej Collegium Maius profesor wygłosił wykład pt. *Kresowa diaspora: polscy leksykografowie Adam Szymański, Waclaw Sieroszewski i Edward Piekarski*. Spotkanie otworzył rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.



19 XI 2015. Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Marek Stachowski (za mównicą). Na zdjęciu także, od lewej: dziekan Wydz. Filologicznego prof. Andrzej Ciuk, rektor prof. Stanisław S. Nicieja i dyrektor Instytutu Filologii Angielskiej prof. Ryszard Wolny (fot. Jarosław Mokrzycki)

20–21.II

Podczas uroczystości jubileuszu 70-lecia opolskiego oddziału ZUS rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wygłosił wykład o dziejach opolskiej WSP i Uniwersytetu Opolskiego.

- International Workshop, dwudniowa konferencja w Villa Academica UO, poświęcona była roli nauki i jej znaczeniu dla innowacyjnej i konkurencyjnej gospodarki, środowiska i społeczeństwa – na przykładzie ośrodka studiów politycznych, dialogu i stosunków międzynarodowych oraz centrum nowoczesnych technologii w energetyce, które Uniwersytet Opolski zamierza stworzyć w swoim zamku w Dąbrowie k. Opola. Jednym z tematów Workshop był wpływ umowy handlowej TTIP (Unia Europejska – USA) na stosunki polityczne i ekonomiczne na obszarze Unii oraz skutków tej umowy dla branży energetycznej w Europie (referent: prof. Elżbieta Czarny ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie). W dyskusji brał również udział dr Stanisław Trzosa, radca-minister z MSZ i Andrzej Sikora, dyrektor Instytutu Badań Energetycznych w Warszawie. O przewagach OZE (odnawialne źródła energii) i fotowoltaice mówił dr Włodzimierz Miszke, dyrektor ds. rozwoju KGHM TFI SA, zaś Frank Fuchs z NextGen Technologies & Innovations GmbH poświęcił swoje wystąpienie przełomowi technologicznemu w energetyce. Warsztatom przewodniczyła prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Udział w warsztatach wzięli również przedstawiciele silnie rozwiniętego i aktywnego sektora energetycznego na Opolszczyźnie. Współorganizatorem Workshop International jest Opolskie Centrum Rozwoju Gospodarki.



20–21 XI 2015. W Villa Academica UO trwała konferencja International Workshop (fot. Sylwester Koral)

23.II

- *Przedszkolak – dziecko/filozof/badacz, czyli znaczenie wychowania przedszkolnego w rozwoju jednostki* – to tytuł inauguracyjnego wykładu Uniwersyteckiej Akademii dla Rodziców, która została uroczystie otwarta w Sali Senatu UO przez prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesławę Piątkowską-Stepaniak. Wykład wygłosiła prof. dr hab. Irena Adamek z Wyższej Szkoły Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Uniwersytecka Akademia dla Rodziców powstała z inicjatywy Instytutu Nauk Edukacyjnych, a jej współorganizatorem jest Urząd Miasta Opola. Spotkania Akademii będą się odbywały co miesiąc. Tego dnia prof. dr hab. Irena Adamek wygłosiła też, w Instytucie Studiów Edukacyjnych, wykład pt. *Znaczenie wychowania przedszkolnego w rozwoju człowieka*.

23.II



23 XI 2015. Inauguracja Uniwersyteckiej Akademii dla Rodziców. Wykład wygłosiła prof. Irena Adamek – z prawej, obok prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak (fot. Bożena Wroniszewska)

25.II

W Muzeum UO odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „Śladami pamięci”, tym razem poświęcone prof. dr. hab. Maurycemu Hornowi, w 15. rocznicę jego śmierci (1917–2000). Prof. dr. hab. Maurycy Horn był znakomitym badaczem historii, cenionym nauczycielem akademickim, rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu w latach 1966–1968, dyrektorem Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Spotkanie rozpoczął rektor prof. dr. hab. Stanisław Sławomir Nicieja, a uczestniczył w nim m. in. dr Paweł Fijałkowski z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Z tej okazji w Muzeum UO otwarto wystawę *Prof. dr. hab. Maurycy Horn – fakty z biografii*. Więcej na str. 125.



25 XI 2015. Podczas spotkania w Muzeum UO, poświęconego pamięci zmarłego przed piętnastu laty prof. Maurycego Horna, prelegentami byli m.in. prof. Elżbieta Trela-Mazur i rektor prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Katarzyna Mazur-Kulesza)

- Kolejna umowa o współpracy, w związku z planem utworzenia kierunku lekarskiego, została podpisana w Kędzierzynie-Koźlu: na mocy porozumienia, które podpisały w tamtejszym starostwie powiatowym prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr. hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i starosta Małgorzata Tudaj, przyszli studenci kierunku lekarskiego będą mogli korzystać z zaplecza Samodzielnego Publicznego Zespołu Opieki Zdrowotnej w Kędzierzynie-Koźlu.



25 XI 2015. W starostwie powiatowym w Kędzierzynie-Koźlu prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i starosta Małgorzata Tudaj podpisały porozumienie o współpracy (fot. Adam Lecibil)

- Gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji był Norbert Rakowski, dyrektor Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu.
- *Mamo, boli mnie brzusek, czyli prawie wszystko o przewodzie pokarmowym dziecka* – to tytuł wykładu, wygłoszonego na drugim spotkaniu Uniwersyteckiej Akademii Rodziców przy Uniwersytecie Opolskim, w Collegium Civitas. Wygłosił go prof. dr. hab. nauk medycznych Józef Dziełicki, specjalista z zakresu chirurgii ogólnej, chirurgii klatki piersiowej (torakochirurgii) oraz chirurgii dziecięcej.



25 XI 2015. Drugie spotkanie Uniwersyteckiej Akademii Rodziców przy Uniwersytecie Opolskim (fot. Bożena Wroniszewska)

26.II

W Złotej Serii Wykładów Otwartych UO prof. dr hab. Robert Traba, historyk i kulturoznawca, dyrektor Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, redaktor czasopisma „Borussia” i współprzewodniczący Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius wykład pt. *Obsesja jubileuszy? Druga wojna światowa jako źródło współczesnych sporów o pamięć*. Spotkanie z profesorem prowadził prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.



26 XI 2015. Na zdjęciu, od lewej: prorektor prof. Marek Masnyk, prof. Robert Traba, Urszula Zajączkowska, Danuta Szewczyk-Kłos, dziekan prof. Janusz Henryk Dorobisz (fot. Beata Słowińska)

- Na Zamku Królewskim w Warszawie rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i wydawca jego książek Bogusław Szybowski odebrali Nagrodę Klio – za cykl książek „Kresowa Atlantyda” (więcej na str. 130). Tego dnia, w warszawskim teatrze Capitol, rektor spotkał się z czytelnikami swoich książek.
- Obradował Senat UO.

27.II

W Muzeum Śląska Opolskiego rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w panelu dyskusyjnym dot. finansowania kultury przez samorządy wojewódzkie.

28.II

Podczas zjazdu firm rodzinnych, w opolskim Centrum Wystawienniczo-Kongresowym, rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był moderatorem dyskusji dot. ochrony zabytków (*Biznes czy hobby?*), z udziałem właścicieli zamków w Niemodlinie, Sulisławiu, Karłowicach, Pawłowicach i Kombrowni.

2.I2

50 lat wymiany listów biskupów polskich i niemieckich *Przebaczamy i prosimy o przebaczenie* – to historyczne wydarzenie było przedmiotem konferencji naukowej zorganizowanej przez Katedrę Historii Kościoła i Patrologii Wydziału Teologicznego UO i Theologisches Forschungskolleg (Universität Erfurt). Więcej na str. 108.

4.I2

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Oławie rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek.

6.I2

Ulicami Opola, w kierunku Collegium Maius UO, przeszedł pochód świętych Mikołajów – jednym z nich był rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, który pod gmachem uniwersytetu opowiadał zebranych o historii wzgórze.

7.I2

W Muzeum Górnictwa w Zabrze rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek.

8.I2

Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, dr hab. Adam Bodzioch, prof. UO i dr hab. Elena Jagt-Yazykova byli gośćmi burmistrza Ozimka Jana Labusa – rozmowa dotyczyła planu powołania w Krasiejowie europejskiego centrum paleontologii.

- Lwowskie korzenie wrocławskich lekarzy – to temat odczytu, wygłoszonego w Domu Lekarza we Wrocławiu przez rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieję.

10.I2

Instytut Fizyki UO był organizatorem wykładu profesora Ryszarda Krzyminiewskiego z Zakładu Fizyki Medycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pt. *Numeryczna analiza sygnałów elektrokardiograficznych i pulsoksymetrycznych w diagnostyce medycznej*.

- *Oblicza pojednania* – to tytuł międzynarodowej konferencji zorganizowanej w Instytucie Politologii UO w 50. rocznicę wymiany listów biskupów polskich i niemieckich, będącej początkiem procesu pojednania między obu narodami.

11.I2

W Studenckim Centrum Kultury odbyła się promocja kolejnego, siódmego tomu „Kresowej Atlantydy” prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji.



11 XII 2015. Prof. Stanisław S. Nicieja na spotkaniu z czytelnikami w Studenckim Centrum Kultury (fot. Tadeusz Parcej)

14.I2

Plany uruchomienia kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim były przedmiotem rozmowy rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji oraz prorektorów – prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak i prof. dr hab. Marka Masnyka z ministrem nauki i szkolnictwa wyższego Jarosławem Gowinem.

NAGRODY, WYRÓŻNIENIA



Rektor prof. Stanisław S. Nicieja i b. minister nauki i szkolnictwa wyższego prof. Lena Kolarska-Bobińska – po wykładzie inauguracyjnym wygłoszonym przez profesora w Auli Leopoldyńskiej, 1 października br. (fot. Tadeusz Parcej)

„Za kreatywność i sprawność organizacyjną w kierowaniu uczelnią” – tak brzmi uzasadnienie nagrody I stopnia, którą rektor UO **prof. Stanisław Sławomir Nicieja** otrzymał w październiku br. z rąk ówczesnej minister nauki i szkolnictwa wyższego **prof. Leny Kolarskiej-Bobińskiej**.

W swojej ponad czterdziestoletniej karierze akademickiej prof. Stanisław S. Nicieja otrzymał nagrodę ministra 18 razy. Po raz pierwszy – w roku 1975, wtedy nagrodę przyznano mu za działalność w ruchu studenckim – był wówczas kierownikiem studenckiego studia radiowego „Radio-Sygnali” i redaktorem pisma studenckiego „Spójnik”. Cztery razy otrzymał nagrodę za działalność naukową: po raz pierwszy w 1983 roku za pracę habilitacyjną pt. „Adam Próchnik. Historyk-polityk-publicysta”, później za książkę o Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie (wydaną przez Ossolineum w imponującym nakładzie 250 tysięcy egzemplarzy), następnie za filmy dokumentalne o twierdzeniach kresowych Rzeczypospolitej oraz książkę o Orleńskich Lwowskich.



W kwietniu ub. roku, w Chińskim Instytucie Badawczym Przemysłu Chemicznego, prof. Krystyna Czaja podpisała umowę o kontynuowaniu współpracy Uniwersytetu Opolskiego z chińskim partnerem

Na wniosek Kapituły Stowarzyszenia Polskich Wynalazców i Racjonalizatorów im. Tadeusza Sendzimira (SPWiR) **prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja** z Wydziału Chemii Uniwersytetu Opolskiego otrzymała Medal Honorowy tego Stowarzyszenia – tym samym doceniono jej zasługi dla wynalazczości. Uroczystość odbyła się podczas XVI Seminarium Honorowego Medalu SPWiR im. Tadeusza Sendzimira, które miało miejsce w Politechnice Warszawskiej podczas 9. Międzynarodowej Warszawskiej Wystawy Wynalazków – IWIS 2015.

W III edycji projektu „Edukacja artystyczna 2015” nagrodę główną za pracę artystyczną otrzymała **Izabela Kozłowska** z Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego za pracę pt. *Gnicie*, której promotorem był **dr hab. Grzegorz Gajos** (więcej na str. 56).

Nagrodę główną za pracę teoretyczną jurorzy przyznali **Joannie Gryzińskiej** z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu (Wydział Edukacji Artystycznej) za pracę pt. *Wpływ polityki i ideologii na wystawiennictwo*, której promotorem był **dr Witold Kanicki**.

Wyróżnienia honorowe za pracę teoretyczną otrzymały: **Martyna Cieślik** z Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi (Wydział Sztuk Wizualnych) za pracę pt. *Hodowanie sztuki. Sztuka biologiczna i jej odmiany*, której promotorem był **prof. Ryszard W. Kluszczyński**, **Joanna Draszawka** z Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku za pracę pt. *Wartość poznawcza obrazu na podstawie wybranych prac artystycznych* (promotor: **dr Zbigniew**



Anna Pytlik, wyróżniona za pracę teoretyczną



Izabela Kozłowska, laureatka nagrody głównej za pracę artystyczną

Mańkowski), Anna Pytlik z Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego za pracę pt. *Interaktywne dzieła sztuki maksymalnie wykorzystujące potencjał odbiorcy* (promotor: **dr hab. Kazimierz Ożóg**) i **Magdalena Zaton** z Uniwersytetu Śląskiego, Wydział Artystyczny w Cieszynie, za pracę pt. *Spoleczne konteksty w fotografii*, (promotor: **dr Dariusz Rymar**).

Zwycięską pracę Izabeli Kozłowskiej można było oglądać na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu do 29 października br. Przypomnijmy, że to nie pierwszy sukces studentów Instytutu Sztuki UO – w poprzedniej edycji tego, organizowanego co dwa lata konkursu, a więc w roku 2012, najlepszym w Polsce okazał się dyplom artystyczny **Pauliny Ptaszyńskiej**, a wyróżnienie za pracę teoretyczną otrzymała **Marta Rostecka**.

Dr Mirela Mazurkiewicz, absolwentka UO i dziennikarka NTO, została laureatką pierwszej nagrody 7. edycji Konkursu Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej na Najlepszą Pracę Doktorską z zakresu Nauk o Mediach i Komunikowaniu „DOKTORAT '14”. Pracę pt. *Stan wojenny w Polsce w perspektywie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa* napisała na Uniwersytecie Opolskim pod opieką naukową **prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak**. Nagrodę wręczono podczas uroczystego otwarcia konferencji *60 lat prasoznawstwa w Polsce. Dorobek Ośrodka Badań Prasoznawczych i „Zeszytów Prasoznawczych” w perspektywie krajowej i międzynarodowej*, 26 listopada br., w Auli Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego (**fot. 1**)

Praca doktorska autorstwa **Beaty Balickiej-Błagitki** pt. *Instytucjonalizacja etyki w działalności podmiotów ekonomii społecznej*, napisana pod kierunkiem **ks. prof. dra hab. Piotra Morcińca** w Katedrze Bioetyki i Etyki Społecznej Wydziału Teologicznego UO, znalazła się wśród prac nagrodzonych w X edycji konkursu Verba Veritatis na najlepszą pracę z zakresu etyki biznesu, organizowanego przez Konferencję Przedsiębiorstw Finansowych w Polsce oraz Akademię Leona Koźmińskiego (**fot 2**)



Fot 1. Dr Mirela Mazurkiewicz z promotorką prof. Wiesławą Piątkowską-Stepaniak i rektorem prof. Stanisławem S. Nicieją



Fot 2. Dr Beata Balicka-Błagitko, autorka pracy doktorskiej nagrodzonej w X edycji konkursu Verba Veritatis

Dziecko jako podmiot wolności sumienia i wyznania – to tytuł pracy magisterskiej **Izabeli Lach**, absolwentki prawa Wydziału Prawa i Administracji UO, nagrodzonej w konkursie Rzecznika Praw Dziecka na najlepszą pracę doktorską i magisterską dotyczącą praw dziecka. Praca naszej absolwentki, napisana pod kierunkiem **dra hab. Dariusza Walencika, prof. UO**, otrzymała drugą nagrodę. Jej autorka jest obecnie aplikantką adwokacką II roku przy Okręgowej Radzie Adwokackiej w Katowicach.



Izabela Lach (z prawej), autorka pracy magisterskiej nagrodzonej w konkursie Rzecznika Praw Dziecka. Na zdjęciu także prof. Barbara Smolińska-Theiss i Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak

Zbigniew Zagórowski, nauczyciel akademicki Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Uniwersytetu Opolskiego, został członkiem społecznej Komisji ds. Wychowania Fizycznego Zarządu Głównego AZS. W skład komisji wchodzi przedstawiciele różnych uczelni polskich, jest to ciało doradcze i opiniotwórcze w dyskusji o szeroko pojętej kulturze fizycznej oraz w promocji sportu studenckiego na uczelniach.

W tegorocznej, siódmej edycji plebiscytu „Opolski Hipokrates”, wśród wyróżnionych nagrodą specjalną, znalazła się **dr Emilia Lichtenberg-Kokoszka**, adiunkt w Instytucie Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego, położna, autorka programu *Indywidualizacji opieki okołoporodowej*, wdrażanego w opolskich szpitalach i wśród położnych środowiskowo-rodzinnych. „Opolski Hipokrates” to wyróżnienia dla wyjątkowych lekarzy, pielęgniarek i położnych, cenionych stomatologów, ratowników medycznych oraz wyróżniających się placówek medycznych i aptek przyjaznych pacjentom.

Akademicki Chór „**Dramma per Musica**” Uniwersytetu Opolskiego został nagrodzony „Srebrnym Dyplomem” na Międzynarodowym Konkursie Chóralnym im. prof. Józefa Świdra. Konkurs jest częścią I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki im. prof. Józefa Świdra w Cieszynie, utworzonego z inicjatywy Chóru Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia”. W konkursie wzięło udział 14 chórów, a dyplomy przyznawane były obok nagrody głównej – Grand Prix. Dla „Dramma per Musica” – chóru założonego i od 35 lat prowadzonego przez **dr Elżbietę Trylnik** – najważniejsze wyróżnienie stanowi jednak otrzymana w trakcie konkursu Nagroda Specjalna, przyznana przez Zarząd Główny Polskiego Związku Chórów i Orkiestr za propagowanie twórczości profesora Józefa Świdra.



Chór „Dramma per Musica” z dyrygent dr Elżbietą Trylnik podczas tegorocznej inauguracji roku akademickiego (fot. Tadeusz Parcej)

NOMINACJE PROFESORSKIE

KS. PROF. DR HAB. RADOSŁAW CHAŁUPNIAK

Ks. prof. dr hab. Radosław Chałupniak urodził się 2 grudnia 1967 r. w Opolu, gdzie przeszedł kolejne etapy edukacji. W latach 1987–1993 odbywał studia teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym w Nysie. W 1993 r. został skierowany na studia specjalistyczne z katechetyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach 1995–1997 studiował także w Podyplomowym Studium Poradnictwa Psychologicznego i Psychoterapii dla Duchowieństwa. Studia doktoranckie ukończył w 1997 r., uzyskując tytuł doktora nauk teologicznych na podstawie pracy pt. *Problem komunikacji interpersonalnej a skuteczność katechezy szkolnej. Posoborowe studium interdyscyplinarne*, której promotorem był ks. prof. dr hab. Mieczysław Majewski.

Od 1997 r. rozpoczął pracę na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego, prowadząc zajęcia z katechetyki, metodyki, dydaktyki i pedagogiki ogólnej, a także organizując praktyki pedagogiczne.

W 2006 r., na podstawie oceny ogólnego dorobku naukowego i przedstawionej rozprawy pt. *Między katechezą a religioznawstwem. Nauczanie religii katolickiej w szkole publicznej w Niemczech w latach 1945–2000*, uzyskał stopień doktora habilitowanego w zakresie katechetyki.

W ramach seminarium naukowego dla studentów teologii oraz nauk o rodzinie pod kierunkiem ks. Radosława Chałupniaka zostało przygotowanych ok. 60 prac magisterskich. W 2013 r. wypromował dwoje doktorów teologii: ks. Sebastiana Krzyżanowskiego oraz Magdalenę Rynkal.

Od 1999 r. współpracuje z polskimi czasopismami teologicznymi i katechetycznymi („Katecheta”, „Znak”, „Ate-neum Kapłańskie”, „Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego”, „Paedagogia Christiana”, „Forum Teologiczne”, „Studia Pastoralne”, „Roczniki Pastoralno-Katechetyczne”, „Studia Katechetyczne”), a także recenzuje artykuły m.in. dla: „The Person and Challenges”, „Forum Teologicznego”, „Studiów i Materiałów Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”, „Świdnickich Studiów Teologicznych”.

Od 2001 r., współpracując z innymi pracownikami Wydziału Teologicznego, organizuje na Uniwersytecie

Opolskim konferencje naukowe, dotyczące istotnych problemów współczesnej edukacji religijnej – ich plonem są publikacje, które dokumentują kierunki poszukiwań polskiej i europejskiej katechetyki. Efektem współpracy z innymi ośrodkami, prowadzącymi badania związane z wychowaniem religijnym, jest z kolei m.in. seria podręczników akademickich „Academica” Wydawnictwa „Biblos” czy Wydawnictwa „WAM”.

Zainteresowania naukowe księdza profesora skupiają się wokół aktualnych problemów katolickiego wychowania religijnego i dotyczą: istoty oraz podstawowych środowisk katechezy (rodzina, parafia, szkoła), prawnych i teologicznych uzasadnień oraz modeli szkolnego nauczania religii, wychowania religijnego w Europie i na świecie, metodyki katechezy, osobowości katechety oraz badań empirycznych w katechetyce. Zainteresowania te przekładają się na projekty badawcze, których owocami są kolejne publikacje naukowe. W sumie opublikował trzy monografie autorskie, ukazało się osiem książek pod jego redakcją, jeden skrypt, 69 artykułów naukowych, 10 haseł encyklopedycznych oraz 26 recenzji (por. katechetyka.diecezja.opole.pl).

W 2001 r. został włączony w skład Rady Programowej czasopisma „Katecheta” z Poznania. Od 2002 r. jest również członkiem Équipe Européenne de Catéchèse (EEC), grupy ok. 80 katechetyków i pedagogów, zajmujących się wychowaniem religijnym ze wszystkich krajów europejskich. Spotkania EEC odbywają się co dwa lata w różnych pedagogiczno-religijnych ośrodkach Europy. Od 2010 r. należy również do międzynarodowego stowarzyszenia pedagogów religijnych European Forum for Religious Education In Schools (EuFREs), które zajmuje się problemami wychowania religijnego w szkołach publicznych w różnych krajach europejskich. W 2012 r. został wybrany do Zarządu Stowarzyszenia Katechetyków Polskich.

W 2004 r. i 2005 r. otrzymał nagrody rektora Uniwersytetu Opolskiego za pracę naukowo-badawczą i organizacyjną. Jest również laureatem nagrody miesięcznika „Katecheta” – „Kreatywni w Myśleniu i Działaniu”, przyznanej z okazji 50-lecia tego ogólnopolskiego czasopisma dla katechetów, nauczycieli i wychowawców religijnych.

LAUREATKA NAGRODY IM. KAROLA MIARKI

PROF. DANUTA KISIELEWICZ



Laureaci tegorocznych Nagród im. Karola Miarki (od lewej): ksiądz biskup Paweł Anweiler, duchowny Kościoła ewangelicko-anglikańskiego RP, politolog dr hab. Jerzy Mizgalski, lekarz onkolog prof. Mieczysław Chorąży, dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego Urszula Zajączkowska, prof. Danuta Kisielewicz z Uniwersytetu Opolskiego, członek Zarządu Woj. Śląskiego Henryk Mercik i wicemarszałek woj. opolskiego Roman Kolek

20 października br., w sali kameralnej Filharmonii Opolskiej, zostały wręczone prestiżowe Nagrody im. Karola Miarki, przyznawane od 1983 roku osobom, które w znaczący sposób rozpowszechniają wiedzę o Śląsku i jego kulturze, wzbogacając tym samym dorobek naukowy regionu. W trzydziestej trzeciej edycji Nagrody im. Karola Miarki jej laureatkami z Opolszczyzny zostały: historyk i politolog z Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr hab. Danuta Kisielewicz** oraz dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego **Urszula Zajączkowska**.

Profesor Danuta Kisielewicz pochodzi wprawdzie z ziemi świętokrzyskiej, jednak z Opolszczyzną związana jest na stałe od 1966 r., kiedy to rozpoczęła studia historyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Po ich ukończeniu podjęła pracę w Liceum Ogólnokształcącym w Kluczborku, zaś od 1979 r. – w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu.

Od blisko trzydziestu lat jej życie zawodowe związane jest z naszą uczelnią, początkowo z WSP, a od 1994 r. z Uniwersytetem Opolskim. Obecnie jest kierownikiem

Katedry Studiów Regionalnych w Instytucie Politologii, w latach 2005–2008 pełniła funkcję prodziekana na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym.

Jej zainteresowania naukowe koncentrują się przede wszystkim wokół szeroko rozumianej problematyki jenieckiej i obozowej, roli pamięci historycznej, historii wojskowości, współczesnej myśli politycznej oraz przemian społeczno-politycznych Polski i Europy ze szczególnym uwzględnieniem regionu Śląska. Jej dorobek naukowy obejmuje kilka książek autorskich, wśród których wymienić należy: *Niewola w cieniu Alp. Oflag VII A Murnau* (wyd. 2015), *Arka Bożek (1899–1954). Działacz społeczno-polityczny Śląska Opolskiego* (wyd. 2006), *Oficerowie polscy w niewoli niemieckiej w czasie II wojny światowej* (wyd. 1998) oraz *Oflag VII A Murnau* (wyd. 1990). Prof. Danuta Kisielewicz jest również autorką ponad 170 artykułów naukowych i popularnonaukowych, współredaktorką cenionych publikacji, wśród których na szczególną uwagę zasługują: *Śląsk w myśli politycznej i działalności Polaków i Niemców w XX wieku* (wyd. cz. 1 w 2001, cz. 2 w 2004), *Wkład Polek na emigracji w rozwój kultury i nauki polskiej* (wyd. 2004) oraz *Marzec'68 z czterdziestoletniej perspektywy* (wyd. 2009), a także opracowania źródłowego: *Arkadiusz (Arka) Bożek na forum Rady*

Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej (wyd. 2003). Wypromowała czterech doktorów i ponad 300 magistrów.

Prof. Danuta Kisielewicz jest członkiem Kolegium Redakcyjnego „Łambinowickiego Rocznika Muzealnego”, popularyzatorem wiedzy historycznej, m.in. na Uniwersytecie III Wieku, stale współpracuje z Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu i ze środowiskiem kombatanckim. Działa także w Opolskim Oddziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, jest członkiem Zarządu Opolskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, Polskiego Towarzystwa Nauk o Polityce, członkiem Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Historyków Wojskowości w Warszawie oraz prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu.

Odbierając nagrodę im. Karola Miarki prof. Danuta Kisielewicz zwróciła uwagę na fakt, że jej mistrzami, mentorami i przewodnikami po Śląsku było wielu wcześniejszych laureatów tej nagrody, m.in. profesorowie Michał Lis i Wiesław Lesiuk. Wspomniała również o bardzo miłym dla niej udziale w uroczystości kilku jej wychowanków, którzy pełnią obecnie ważne funkcje publiczne w Opolu i województwie opolskim.

2

INDEKS

PUBLICYSTYKA, SZTUKA

Artykuły

Eseje

Wywiady

Felietony

29

str.

II4



Daniel Olbrychski w sali im. Karola Musiōła w opolskim Ratuszu
(fot. Jerzy Stemplewski)

STANISŁAW S. NICIEJA

NASTĘPCA ZBYSZKA CYBULSKIEGO

Laudacja wygłoszona 11 listopada br., w opolskim Ratuszu, z okazji nadania Danielowi Olbrychskiemu tytułu Honorowego Obywatela Miasta Opola

Moje pokolenie, a jest to również pokolenie Daniela Olbrychskiego, wyrastało w micie Zbyszka Cybulskiego. Ten mit stworzył Andrzej Wajda, realizując „Popiół i diament” – jeden z najwybitniejszych filmów w dziejach polskiej kinematografii. Wówczas to Zbyszek Cybulski stał się w kinie postacią pierwszoplanową – królem polskiego filmu i znakiem jego jakości na świecie. Był szanowanym i naśladowanym.

Nie zapomnę dnia, kiedy do mojej klasy w świdnickim liceum dotarła rankiem 8 stycznia 1967 roku wieść, że pod kołami pociągu na dworcu we Wrocławiu zginął Cybulski. Nasza świetna, charyzmatyczna polonistka – lwowianka, Idalia Jarzynowa, przerwała lekcję, nie mogła jej prowadzić. My nie byliśmy w stanie się skupić. I kilka dni później ten pogrzeb w Katowicach z tysiącami ludzi. Nieprzebrana masa zalanych łzami twarzy. Odchodził największy polski aktor filmowy pierwszej połowy XX wieku. Największy, mimo że miał wówczas nie lada konkurencję, by wymienić tylko Tadeusza Łomnickiego, Gustawa Holoubka, Andrzeja Łapickiego czy Ignacego Gogolewskiego.

Dlaczego laudację na cześć Daniela Olbrychskiego w dniu jego opolskiego benefisu zaczynam od biografii Zbyszka Cybulskiego? Główny powód, to że właśnie wówczas, w atmosferze tamtych żałobnych tygodni początku roku 1967 rodzi się idea filmu Andrzeja Wajdy o nad wyraz oryginalnym pomysłem i świeżej estetyce. Wajda miał już wówczas w kinie europejskim pozycję porównywalną z Fellinim, Antonionim czy choćby Bergmanem. Film nosił tytuł „Wszystko na sprzedaż” i powstał w atmosferze traumy po stracie przez kino światowe Cybulskiego. Fabuła była prosta: zaginął sławny, charyzmatyczny aktor, arcy mistrz sztuki filmowej. Jeśli się nie znajdzie, to kto go może zastąpić: nie tylko w jednej roli. W tych gorączkowych poszukiwaniach uczestniczyło całe środowisko filmowo-teatralne. I kiedy już stało się wiadomym, że mistrz rozplął się w eterze, i stamtąd, dokąd się udał, już nigdy nie wróci, objawiła się w tej

puszcie potrzeba wskazania, kto będzie następcą. Kto będzie królem polskiego filmu. I takiego wyboru dokonano. Film „Wszystko na sprzedaż” wynosił, a rzec można intronizował 23-letniego wówczas Daniela Olbrychskiego na postać pierwszoplanową w polskim kinie. Czynił go niejako nowym królem polskiego filmu.

TRAFNA PROGNOZA

Ten młody aktor, stojący na początku swej drogi, został wyniesiony na tę pozycję w momencie, kiedy kino polskie było uważane za jedno z najciekawszych zjawisk w kinematografii światowej. Był to czas, który chyba się już nie powtórzy: kiedy polskie filmy na najważniejszych światowych festiwalach od Cannes, poprzez Wenecję, San Sebastian, Mar de Plata, San Francisco, Berlin, Karlowe Wary po Moskwę nie tylko trafiały do wąskiej konkursowej puli, ale zdobywały główne nagrody. Był to czas, kiedy Oskar – główna nagroda amerykańskiej Akademii Filmowej – traktowany był jako wydarzenie marginalne. Wtedy liczyła się najbardziej „Złota Palma” w Cannes, „Złoty Lew” w Wenecji, „Złoty Niedźwiedź” w Berlinie. Na najbardziej w tym czasie prestiżowym festiwalu w Cannes na Riwierze Francuskiej Olbrychski był po raz pierwszy jako dwudziestolatek. W 1970 roku, mając 25 lat, bliski był otrzymania nagrody za najlepszą rolę męską (poety Tadeusza) w filmie Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie”. Jednym głosem wyprzedził go Marcello Mastroianni.

Jest w filmie „Wszystko na sprzedaż” porywająca wyobraźnię widza końcowa scena: młody Daniel Olbrychski z wielką siłą młodzieńczej ekspresji biegnie wśród stada pięknych koni. Tak, to on ma być następcą Cybulskiego. Następcą, a nie naśladowcą. Następcą – kreatorem nowego mitu i legendy polskiego kina, równie wielkiej i oryginalnej.

LINIA SUKCESÓW OLBRYCHSKIEGO

Gdy próbuje się wykreślić linię artystycznych osiągnięć i sukcesów Daniela Olbrychskiego od jego debiutu w 1963 roku do początku roku 1980, wyłania się krzywa o tendencji ciągle wznoszącej się. Później pojawiają się tąpnięcia i okresy, kiedy puls jego artystycznej aktywności słabnie. Dzieje się tak zwłaszcza po stanie wojennym, kiedy przez prawie całą dekadę Olbrychski gra głównie w filmach zagranicznych. Są też lata, kiedy kompletnie znika z polskiego ekranu w nowych kreacjach filmowych. Linia osiągnięć zaczyna ponownie rosnąć w połowie lat 90. i na początku XXI wieku.

Nie sposób w ograniczonej ramami laudacji poddać analizie ponad 180 filmów, w których wystąpił Daniel Olbrychski. Skupię się więc tylko na tych najważniejszych, wyznaczających rangę tego artysty i będących w danym okresie apogeum jego osiągnięć artystycznych.

Rok 1965 – wyjątkowo ważny w biografii artystycznej Olbrychskiego. Wówczas to w szkole teatralnej wypatrzył go Andrzej Wajda i powierzył mu główną rolę w „Popiołach”. Tego samego roku Janusz Morgenstern obsadził Olbrychskiego w filmie „Potem nastąpi cisza”. Było to niezwykle efektowne wyjście młodego aktora w świat filmu z dobrze ustawionego bloku startowego.

Rok 1966 – Olbrychski objawia się w komedii muzycznej „Małżeństwo z rozsądku” Stanisława Barei i w filmie „Bokser” Juliana Dziedziny – o jakże bliskiej mu tematyce sportowej. W pierwszym z tych filmów śpiewa i tańczy, a w drugim boksuje i trenuje, pokazując swą wszechstronność. Zaczyna się mówić, że Olbrychski nie potrzebuje kaskaderów i dublerów do scen wymagających dużej sprawności fizycznej.

Rok 1968 – ma znakomity epizod w błyskotliwie zrobionym przez Jerzego Antczaka filmie płaszczka i szpady „Hrabina Cosel” według powieści Józefa Ignacego Kraśzewskiego. Olbrychski zagrał tam z temperamentem młodego króla szwedzkiego Karola XII.

Rok 1969 – pojawiają się bardzo ważne filmy w polskim kinie, w których role Olbrychskiego można nazwać perłami: to „Pan Wołodyjowski” Jerzego Hofmana z Olbrychskim w roli Azji Tuhajbejowicza i „Wszystko na sprzedaż” Andrzeja Wajdy, a także „Struktura kryształu” Krzysztofa Zanussiego, „Sól ziemi czarnej” Kazimierza Kutza i „Polowanie na muchy” Andrzeja Wajdy.

Rok 1970 – dwa filmy Andrzeja Wajdy z Danielem Olbrychskim w rolach głównych: „Krajobraz po bitwie” i „Brzezina”.

Rok 1971 – role w „Życiu rodzinnym” Krzysztofa Zanussiego, „Piłacie i innych” Andrzeja Wajdy oraz „La pacifista” Mikłosa Jancsó – nazywanego węgierskim Wajdą.

Rok 1974 – „Potop” Jerzego Hofmana. Gdy Hofman obsadził go w roli Kmicica, Olbrychski dla setek tysięcy stał się wrogiem publicznym numer jeden. Na temat tej obsady trwała ogólnonarodowa debata, a później zachwytom nie było końca, bo Olbrychski stworzył kreację wykraczającą poza malownicze popisy typowe dla amerykańskich i francuskich kostiumowych superprodukcji i nakreślił postać sugestywną, prawdziwą w swoich sprzecznościach, wiele mówiącą o polskim charakterze narodowym.

Rok 1975 – „Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy. Ten film można uznać za apogeum wspaniałej passy Olbrychskiego, za pułap, do którego trudno mu będzie później sięgnąć. Nie ucichły jeszcze echa gigantycznego sukcesu, jaki odniósł w „Potopie”, a Olbrychski natychmiast objawił się w całkowicie odmiennej roli, z innej epoki i z inną mentalnością, i zagrał ją na miarę najwyższych laurów, ocierając się wówczas najbardziej o Oskara. Stworzył portret Karola Borowieckiego – szlacheckiego syna, z aspiracjami sięgnięcia po tron „króla europejskiej bawełny”, który wpada w pułapkę cynizmu i nie potrafi zawrócić ze szlaku zła, na który wszedł.

Rok 1979 – znów rok, kiedy sinusoida osiągnięć Olbrychskiego pnie się do maksimum. Wtedy powstają trzy wybitne filmy: „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy (nominowane do Oskara), „Błaszany bębenek” Volkera Schlöndorffa i „Kung-fu” Janusza Kijowskiego. W lwowskich „Pannach z Wilka” Olbrychski osiągnął szczyt aktorskiej subtelności w roli Wiktora Rubena – zagubionego, niezdecydowanego, zapracowanego, zaleźnionego 40-lata, który – nie wiedząc czemu – był marzeniem a zarazem legendą czterech podkochujących się w nim siostr. „Błaszany bębenek” (według powieści noblisty Güntera Grassa) przyniósł Olbrychskiemu wielkie uznanie w Niemczech i we Francji.

Rok 1981 – Olbrychski oderwał się od polskiego filmu, zniknął na wiele lat. Po stanie wojennym pozostął we Francji. Na pytanie, dlaczego to zrobił, odpowiedział ostro i nonszalancko: „A co, miałem recytować po kościołach?”, „obnosić się «bohaterstwem», że bojkotują telewizję reżymową?”. Wtedy grał u słynnego Brytyjczyka Josepha Loseya; u Niemców i Austriaków – Petera Keglevitza i Dietera Wedela, u Francuzów – słynnego Claude’a Leloucha, jednego z głównych twórców francuskiego cinéma vérité. Olbrychski grał tam obok legendy ówczes-



Laudację na cześć Daniela Olbrychskiego wygłosił rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Jerzy Stemplewski)



Na zdjęciu (od lewej): prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, Daniel Olbrychski z żoną Krystyną Demską-Olbrychską i przewodniczący Rady Miasta Opola Marcin Ociepa (fot. Jerzy Stemplewski)

nego kina francuskiego – Michela Piccoli. W dwóch filmach francuskich partnerował Jean-Paulowi Belmondo.

Lata 80. XX wieku to okres, kiedy Daniel Olbrychski umocnił swą pozycję wybitnego aktora europejskiego, co zostało uwieńczone w roku 1990 laurem najwyższego odznaczenia francuskiego w dziedzinie kultury – Komandorią Sztuki i Literatury.

Rok 1993 – od tego czasu zaczął się w polskim kinie filmowy romans Olbrychskiego z Radosławem Piwowarskim i Krystyną Jandą. Były to filmy „Kolejność uczuć” i „Pestka” oraz bardzo ciekawe role w filmach Jacka Bromskiego „Dzieci i ryby” oraz „Ja, złodziej”.

Jedną z najważniejszych ról, z którą Olbrychski wszedł w wiek XXI, to Gerwazy w Wajdowskiej inscenizacji „Pana Tadeusza” (1993 r.).

Wiek XXI to również wejście Olbrychskiego w świat kina hollywoodzkiego. Z tego okresu najważniejsze filmy to m.in. superprodukcja amerykańska „Salt” w reżyserii Phillipa Noyce’a, gdzie zagrał obok Angeliny Jolie, zdobywczyni Oscara. W Polsce zagrał Dyndalskiego w Wajdowskiej ekranizacji „Zemsty” Fredry, Piłsudskiego w Hofmanowskiej ekranizacji „Bitwy warszawskiej” i w 2012 roku gen. Marcina Kąckiego w włosko-polskiej koprodukcji „Bitwa pod Wiedniem”.

VIRTUTI CIVILI – ODWAGA CYWILNA

W Polsce jest wielu ludzi, którzy w pełni zasłużyli sobie na order „Virtuti Militari” – czyli za odwagę wojenną, wojskową, ale nieporównywalnie mniej jest ludzi, którzy zasługują na order „Virtuti Civili”, czyli odwagi cywilnej. Odwaga cywilna nie jest przypisana wszystkim ludziom, bo wiąże się ona z wymogiem demonstrowania swoich poglądów politycznych, społecznych czy też moralnych w sposób wyrazisty i jednoznaczny w trudnych, skomplikowanych sytuacjach, zwłaszcza w atmosferze różnorodnych nagonek politycznych, presji partii rządzących bądź tzw. mainstreamu, który narzuca poprawność polityczną, sugeruje, co wypada, a czego nie powinno się czynić. Od strony politycznej za demonstrowanie poglądów i zachowań nieodpowiadających rządzącym można ponieść bolesne konsekwencje. Czasem stracić pracę. Dawniej trafiało się nawet do więzienia. Ludzie w takich sytuacjach ze względu na dbałość o spokój wewnętrzny i pewną wygodę socjalną wahają się demonstrować swój sprzeciw.

Daniel Olbrychski nosi w sobie odwagę cywilną i dał wielokrotnie dowody, że zasługuje na rzadki w Polsce order „Virtuti Civili”. Można rzec, że ten wybitny aktor to swoisty homo politicus, gdyż nigdy nie było mu obojętnym to, co działo się w sferze politycznej i propagandowej w naszym kraju i w Europie. Wielokrotnie brał udział w społecznych spektaklach politycznych – wiecach i demonstracjach. W lipcu 1974 roku przed Teatrem Wielkim w Warszawie recytował „Odę do młodości” dla tysięcy zgromadzonych tam uczestników Zlotu Polskiej Młodzieży. Nieprzypadkowo też poproszono go, aby odczytał apel poległych w grudniu 1980 roku pod pomnikiem Stoczniovców w Gdańsku, co nie spodobało się ówczesnym władzom. Od połowy lat 70. był zwolennikiem KOR-u.

Olbrychski łączy aktorskie obowiązki z obywatelskimi i patriotycznymi. Dziś od aktorów nikt nie wymaga obywatelskich postaw. Wystarczy, jeśli efektownie prezentują się na okładkach kolorowych pism. A Olbrychski jest nadal sobą.

Był też Daniel Olbrychski sprawcą słynnego happeningu w warszawskiej „Zachęcie” przeciw wykorzystywaniu twarzy aktorskich, w tym jego własnej, w pseudoartystycznych wystawach. Pociął wówczas swoją kmicicowską szablą eksponowane fotosy aktorów w mundurach hitlerowskich. Dyrektorka „Zachęty” Anda Rottenberg złożyła doniesienie do prokuratury o popełnieniu przestępstwa.

Gdy w roku 2000 Nikita Michalkow – wybitny rosyjski artysta, a jednocześnie przyjaciel Olbrychskiego, powiedział w wywiadzie dla warszawskiej „Polityki”, że „tęskni za dobrym carem” i próbował usprawiedliwić terror rosyjski w Czeczenii, a także sugerował, że Polska pożałuje wstąpienia do NATO, Olbrychski natychmiast zareagował ripostą, zatytułowaną „Do przyjaciela Moskala” i wysłał ją do redakcji „Polityki”.

WSZECHSTRONNOŚĆ OLBRYCHSKIEGO

Olbrychski miał też szczęście do teatru, bo tak jak w kinie trafił pod opiekę Andrzeja Wajdy i stał się jego ulubionym aktorem, tak w teatrze jego mistrzem i nauczycielem był Adam Hanuszkiewicz. Otrzymał tam wiele ról, o których marzy każdy aktor: Hamleta, Makbeta, Beniowskiego, Pana Młodego z „Wesela”, Kolumba itp.

Po filmach „Potop” i „Ziemia obiecana” do Olbrychskiego jako aktora przyłgnął stereotyp: polski szlachcic, młodzieniec trochę szalony, romantyk, szlachetny z małą domieszką łotryka, watażki, a może nawet warchoła. Takiego kochała publiczność i takiego chciała oglądać. On się czuł najlepiej w rolach z wielkiej polskiej literatury. I dostał, co najlepsze – Olbromski, Kmicic, Borowiecki, Wiktor Ruben. Lucjan Rydel, Stanisław Przybyszewski, Stańczyk, Gerwazy, Tuhajbejowicz. Dziś takich ról już nie ma.

Olbrychski umiał i umie zagrać wszystko. Nie daje się zaszufłakować. Potrafi znaleźć się w każdym wcieleniu. Umie z dnia na dzień zmienić emploi, znaleźć nowy klucz do postaci, czasem diametralnie różnych. Gdy grał Kmicica w „Potopie” Hofmana, wystąpił jako Hamlet w teatrze Hanuszkiewicza, a u Wajdy w „Krajobrazie po bitwie” zagrał zagubionego w obozie dipisów poetę, intelektualistę, nadwrażliwca.

Jerzy Hofman dał Danielowi Olbrychskiemu prezent niebywały – obsadził go w adaptacji literatury najbardziej swego czasu przez Polaków ukochanej, i dał mu tam trzy ważne role. Pierwszy upominek, to postać Kmicica. Cała Polska dyskutowała o trafności tego wyboru. Chór przeciwników był przeogromny. Gdyby Hofman posłuchał oburzonych, nie wiadomo, jak potoczyłby się dalszy los aktorski Daniela Olbrychskiego. Wyobraźmy sobie, że wówczas nie zagrał Kmicica. A to, co zrobił z rolą Azji Tuhajbejowicza w „Panu Wołodyjowskim”? – to też jego osobisty fenomen. U Sienkiewicza Azja Tuhajbejowicz to postać marginalna, groźna, ale gdzieś w tle. Ale Olbrychski potrafił zrobić z niej majstersztyk i w efekcie swoją grą i charakterystyką postaci przesłonił nawet role pierwszoplanowe w tym filmie, a grali je Jan Łomnicki, Jan Nowicki i Andrzej Łapicki.

Zupełnie inaczej zagrał starego Tuhajbeja w Hofmanowskiej inscenizacji „Ogniem i mieczem”. A później Andrzej Wajda dał mu rolę Gerwazego w „Panu Tadeuszu” – też marginalną w epopei Adama Mickiewicza. A co z

nią zrobił Daniel Olbrychski? – finezję! Perfekcyjny portret polskiego piniacza, rzadkiej barwy oszołoma, który, kierując się nienawiścią, potrafi zgotować tragedię i innym, i sobie. Gerwazy to jedna, nie waham się stwierdzić, z genialnych ról Olbrychskiego. Claude Lelouch – wybitny francuski reżyser stwierdził: „Daniela Olbrychskiego uważam za jednego z pięciu największych aktorów świata”.

KONKLUZJA

Wszystko, co do tej pory powiedziałem, upoważnia mnie do stwierdzenia, że Daniel Olbrychski jest postacią wyjątkową. Jego kunszt aktorski spowodował, że postacie z wielkiej polskiej literatury otrzymały jego twarz, temperament, wrażliwość i urodę oraz zapisały się na trwałe w naszej zbiorowej wyobraźni. Trudno sobie w Polsce wyobrazić dziś innego Kmicica, Azję Tuhajbejowicza, Wiktora Rubena czy Gerwazego. Jest Daniel Olbrychski twórcą ikon arcy-Polaków, humanistą umiejącym w sposób przejmujący przedstawiać ludzi uwikłanych w historię i zmagających się z egzystencjalnymi dramatami niezależnie od epoki, w której żyją. Daniel Olbrychski jest artystą o imponującym dorobku filmowym i teatralnym, który wzbogacił polską kulturę w sposób nad wyraz oryginalny i jednocześnie rozpowszechnił ją na świecie.

I za tę twórczość, za jej ogromny ładunek edukacyjny i moralny, emanujący z niej wielki humanizm i patriotyzm jesteśmy Danielowi Olbrychskiemu jako społeczności miasta Opola wdzięczni; darując najwyższe miejskie wyróżnienie – honorowe obywatelstwo. Dajemy tym aktem wyraz, iż takie wartości, które emanują z twórczości Daniela Olbrychskiego, cenimy sobie najwyżej i pragniemy je propagować oraz zwracać na nie uwagę.

Daniel Olbrychski – rodem z Łowicza i Drohiczyzna, sercem – Polak, talentem – obywatel świata, a od dziś też Honorowy Obywatel naszego miasta.

Z DOMINIEM HORODYŃSKIM ROZMAWIAŁ TADEUSZ KUCHARSKI

TEGO ŚLĄZAKA STRZECHY BRZYDZIŁY

DOMINIK HORODYŃSKI (1919–2008) – ostatni przedstawiciel starego, szlacheckiego rodu, przez wieki właściciel dworu i majątku w Zbydniowie koło Stalowej Woli. Żołnierz Armii Krajowej, walczył w Powstaniu Warszawskim (jako adiutant generała Jana Mazurkiewicza „Radosława”). Po wojnie był dziennikarzem, publicystą, działaczem społecznym i politycznym (m. in. członkiem zarządu PAX-u). W latach 1973–1981 (do chwili zawieszenia czasopisma) pełnił funkcję redaktora naczelnego tygodnika „Kultura”. Przez wiele lat pracował jako korespondent polskiego radia i telewizji w Rzymie.

– *Znana to sprawa, że był pan najbliższym przyjacielem Jana Cybisa, czemu zresztą dał on wielokrotnie wyraz w swoim dzienniku. Jak doszło do takiej zażyłości pomiędzy polskim arystokratą – proszę wybaczyć to archaiczne określenie – a Niemcem od pokoleń chłopem; pomiędzy człowiekiem tak bardzo jak pan politycznym i całkiem apolitycznym; pomiędzy człowiekiem bardzo serio i artystą?*

– Przyznam, że trochę dziwi mnie pańskie pytanie. Arystokratą ani nie jestem, ani za takiego się nie uważam, a Cybis był na pewno człowiekiem bardziej serio – jeśli trzymać się pana określenia – ode mnie. W ogóle trzeba być bardzo ostrożnym w stosowaniu do stosunków międzyludzkich wyłącznie miary społecznej, klasowej.

Kapiści wywodzili się z wszystkich warstw społecznych. Byli wśród nich synowie chłopów, sklepikarzy, robotników, inteligentów i wielkich właścicieli ziemskich. A przecież przez długi czas tworzyli wyjątkowo zintegrowaną grupę, wyznawali te same wartości. A nawet później, już po drugiej wojnie, gdy indywidualny rozwój artystyczny skierował ich twórczość w różne strony, zachowali cechy wspólne, przede wszystkim rzetelny i poważny stosunek do tego, co robią – do sztuki.

– *Napisał pan kiedyś w „Kulturze”, iż malarstwo Cybisa naznaczone jest polskością w stopniu wyjątkowym. Tymczasem krytycy i historycy sztuki zgodnie podkreślają zależność malarstwa Cybisa i kapistów w ogóle od sztuki francuskiej. Niektórzy nawet czynili z tego zarzut.*

– Oczywiście, że wpływy sztuki francuskiej są widoczne w malarstwie Cybisa i nigdy nie uważałem, że jest to malarstwo na wskroś polskie. Jeśli tak napisałem, to tylko

żeby dać odpór zarzutom stawianym kapistom, że byli naśladowcami obcej sztuki, którą przynosili w sposób sztuczny na grunt polski, a także zarzutom kosmopolityzmu Cybisa. Ja nigdy nie byłem szowinistą i nie wiem, dlaczego kosmopolityzm ma być obelgą. Ale u nas co jakiś czas powracają związane z tym pojęciem wymyślenia i zawile dyskusje o różnicach między kosmopolityzmem, internacjonalizmem, patriotyzmem itd. Dawno przestał mnie interesować ten typ roztrząsań.

Skoro już jednak jesteśmy przy cechach narodowych malarstwa, to uważam, że pejzaże Cybisa, istotnie, mają pewne cechy polskie. Jest w nich inny świat niż w pejzażach francuskich – nie tylko inna przyroda, ale także inny rodzaj światła...

– *Panuje zgodny pogląd, że pejzaż typowo polski stworzyła szkoła Stanisławskiego. Te chaty kryte strzechą, wiatraki, drewniane kościółki, stogi siana, wydają się konieczne w pejzażu typowo polskim, natomiast Cybis zrobił coś wręcz przeciwnego. Proszę zwrócić uwagę, że nigdy nie namalował strzechy, jego domy są zawsze mury, inne budowle – betonowe.*

– To prawda, jego – jako Ślązaka – strzechy brzydziły. Był on człowiekiem bardzo wrażliwym na piękno przyrody, ale strzecha nie kojarzyła mu się ani z pięknem, ani z polskością, lecz z ubóstwem ludu. To, co Cybis i kapiści w ogóle wnieśli do malarstwa polskiego, oznaczało m.in. odejście od skostniałej tradycji szlachecko-romantycznego malarstwa, w istocie rzeczy naturalistycznego, a więc także od kliwo-romantycznej koncepcji pejzażu polskiego, jakiej hołdowali jeszcze w okresie międzywojennym uczniowie Stanisławskiego.

– **Powiedział pan, że kosmopolityzm nie hańbi. Czy uważa pan Cybisa za kosmopolitę?**

– On był zarówno kosmopolitą, jak i patriotą polskim. Był kosmopolitą, ponieważ cenił kulturę innych krajów na równi z kulturą polską, ale miał także ogromne poczucie lojalności względem Polski jako kraju, którego los w najtrudniejszych chwilach dziejowych dzielił i któremu w sumie wiele zawdzięczał. Był to więc patriotyzm w znaczeniu lojalności, a to jest bardzo dużo, bo coś pewnego.

– **A jaki był jego stosunek do Niemców?**

– W końcu lat pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych, kiedy miał w Polsce bardzo silną pozycję prestiżową i finansową, zwiedził wiele krajów. Był w Chinach, w Paryżu, w Rzymie, w Belgii i Holandii, ale nigdy nie pojechał do Niemiec, mimo że miał tam część bliskiej rodziny i przyjaciela – Cyrusa Kubego, którzy go stale zapraszali. Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie jedzie do RFN lub NRD. Odpowiedział: „Nie pojadę tam nigdy, bo naród niemiecki obraził mnie tym, czego dopuścił się w czasie wojny. Byłem na tyle związany z kulturą tego narodu, że jego zbrodnie odczułem jako obelgę”.

Bardzo zależało mu na tym, by Polacy różnili się moralnie od Niemców. Dlatego po wojnie bał się pojechać do swego rodzinnego Wróblina, bo nie wiedział, jak jego mieszkańcy przeżyli wyzwalenie tych ziem przez Rosjan – czy nie doznali jakichś wielkich krzywd ze strony Rosjan i osiedleńców polskich. Bał się też, że mieszkańcy Wróblina potraktują go jak kogoś, kto opuścił heimat i wyobcował się.

– **Był podobno człowiekiem całkowicie apolitycznym.**

– Tak, ale nigdy, gdy chodziło o sprawy polsko-niemieckie. Opowiem panu historię, która dobrze to ilustruje. W grudniu 1970 roku – jak wiadomo – Willy Brandt przyjechał do Warszawy dla znormalizowania stosunków pomiędzy PRL a RFN. Podpisywanie układu odbywało się w pałacu Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu. Byłem przy tym obecny, przyjechałem z Rzymu i dostałem kartę wstępu. Był to układ ogromnej wagi, można było spodziewać się przed pałacem tłumy klaszczących ludzi. Tymczasem ja wychodzę po zakończeniu ceremonii i kogo widzę przed pałacem? Jednego tylko człowieka, a jest nim Jan Cybis. Stoi oparty o figurę

lwa, przemarznięty, bo było tego dnia bardzo mroźno i wietrznie. Pytam go: „Co ty tu robisz?“, a on odpowiada: „Przyszedłem, żeby Brandtowi podziękować lub przynajmniej pokłonić mu się za to, co zrobił. To jest dla mnie wielki dzień”. Myślę, że chodziło mu głównie o to, iż w tym dniu Niemcy zachowali się w stosunku do Polaków tak bardzo elegancko.

Brandt wygłosił w Warszawie przemówienie do narodu niemieckiego, które nie zostało opublikowane w naszej prasie, ale delegacja niemiecka rozdawała jego treść uczestnikom uroczystości. Przyniosłem ten tekst Janowi, zaraz przetłumaczył go, głównie po to, bym mógł dokładnie poznać jego treść.

– **Co pan cenił w Cybisie najbardziej?**

– Najbardziej chyba pociągało mnie u niego to, że był całkowicie wolny od tej narodowej mitologii, która tak często odzywa się u różnych polskich intelektualistów i artystów. Powstania, szarże ułańskie, szabelka – to wszystko było mu zupełnie obce. Zawdzięczał to zapewne kilku czynnikom. Chłopskiemu pochodzeniu, które dało mu ogromny szacunek dla pracy – także fizycznej; dyscyplinie intelektualnej, jaką dała mu średnia szkoła niemiecka i w końcu siedmioletni pobyt w Paryżu, gdzie nauczył się pewnego rodzaju dyscypliny artystycznej. Był to człowiek niesłychanie odczytany, czytał w trzech językach.

– **A jakieś inne cechy jego osobowości?**

– Mało spotkałem ludzi, którzy mieliby same cechy dodatnie, a o nim mógłbym mówić tylko w superlatywach. Przede wszystkim była w nim pewna powaga, ale nie powaga człowieka namaszczonego. To był prawdziwy pan. Bardzo serio podchodził do tego, że jest malarzem. Wprawdzie w jego dziennikach powtarzają się stale elementy niepewności artystycznej, a nawet rozpacz, ale dawał sobie radę z tymi mękami twórczymi i miał pełną równowagę wewnętrzną. Był człowiekiem swobodnym, bez kompleksów, wolnym od wszelkich zawiści, intryganctwa, które tak często bywają cechami artystów. W końcu – miał szalony urok osobisty, oczarowywał wprost ludzi, którzy go bliżej poznali.

– **A bliżej poznać go łatwo było – podobno – przy kielichu?**

– To mnie właśnie najbardziej złości, gdy mówi się o nim, że pił. Przecież był człowiekiem szalonej pracy, co widać po jego dziele. Ta powaga, o której mówiłem, nigdy nie pozwoliłaby mu stać się pijakiem. Jak każdy normalny człowiek, lubił od czasu do czasu wypić sobie kieliszek wódki, a nawet kilka, ale tylko wieczorem, co mu nie przeszkadzało w pracy.

– **W dziennikach wspomina o swoich romansach w Paryżu. Czy miał skłonności w tym kierunku?**

– Kochał życie i jak każdy normalny mężczyzna nie był obojętny na wdzięki kobiece. Nawet gdy się źle czuł, a usiadł na ławeczce koło wizytek, to lubił patrzeć na przechodzące dziewczyny. Ale odkąd go znałem – już jako męża Leny – to był raczej pantoflarzem niż Casanovą. Był człowiekiem absolutnie niezaradnym życiowo. Dla niego załatwienie czegośkolwiek – zwłaszcza w takim kraju, jak Polska – było wielkim problemem. Lena była więc faktycznie jego opiekunką i on – jako jej mąż – nie robił nigdy żadnych skoków w bok, nawet gdy jeszcze był w pełni sił.

– **Słyszysz się czasem różne opinie na temat wpływu Heleny Cybisowej na twórczość Jana Cybisa, co pan o tym sądzi?**

– Lena stworzyła Janowi dobre warunki psychiczne i materialne do pracy artystycznej. Miał opiekę, zawsze ugotowane jedzenie itd. Nie jestem natomiast pewien, czy dobry był jej wpływ na Jana w sensie artystycznym. Ona oceniała jego obrazy już w trakcie malowania, a więc robiła mu jakby pierwszą korektę, a kierunek tej oceny był taki, że utwierdzała go w uporze, wynikającym już z jego chłopskiej natury, żeby w niczym nie zmieniać swego stylu.

– **Jesienią 1980 roku ukazały się „Dzienniki” Cybisa według pańskiego wyboru. Jak do tego doszło?**

– Jan od 1941 roku prowadził – dość niesystematycznie – różne notatki, zapiski. Nie wiedziała o tym nawet najbliższa rodzina, co dobrze świadczy o jej kulturze, wzajemnej dyskrecji, skoro nikt nikomu nie szperał w szufladach. Dopiero po śmierci Jana Lena odkryła w jednej z szuflad kilkanaście zeszytów różnej grubości, pokrytych różnym, drobnym pismem. Gdy je przeczytała, poinformowała mnie, że coś takiego istnieje i spytała, co

by z tym można zrobić. Poprosiłem o udostępnienie mi tego materiału i zleciłem przepisanie go na maszynie. Wyszło mi tego bez mała 1900 stron, czyli 90 arkuszy drukarskich. Tekst mi się bardzo podobał, stwierdziłem, że prawie jedna trzecia nadaje się do druku. Wyboru tej części dokonałem przy ścisłej współpracy z Leną...

– **Wkrótce po ukazaniu się „Dzienników” Jerzy Andrzejewski w swoim stałym felietonie w „Literaturze” zarzucił panu, że nadmiernie ocenzurował pan tekst Cybisa, opuszczając istotne rzeczy.**

– Andrzejewski nie czytał rękopisu dzienników, nawet go nie widział, miał natomiast do mnie zadawnione żale natury politycznej i napisał nieprawdę, ot tak sobie, żeby wyszło, że jestem „be”. Czas był zresztą gorący – rok 1981 – sprzyjający tego typu ciosom z jednej i z drugiej strony. Nie zareagowałem na ten dziwny wyskok, chociaż Lena uważała, że powinienem wysłać do „Literatury” sprostowanie.

– **Dlaczego pan tego nie zrobił?**

– Wie pan, z Andrzejewskim zaliśmy się od bardzo dawna, jeszcze z czasów okupacji. W pierwszym okresie powojennym łączyły nas bliskie stosunki, później Jerzy stał się Savonarolą marksizmu-leninizmu i patrzył na mnie z politowaniem, jak na relikwiny pobitych klas. Po 1956 roku przeszedł do opozycji i z kolei uważał mnie za kolaboranta. Dawał mi to do zrozumienia, gdy byłem redaktorem naczelnym „Kultury” – tej, która została definitywnie zamknięta 13 grudnia 1981 roku.

– **Te animozje wystarczyły Andrzejewskiemu do rzucenia takiego oskarżenia przeciwko panu?**

– Andrzejewski był literatem – by tak rzec – do szpiku kości. Literaci, a już szczególnie pisarki, prowadzą dzienniki, ale są to dzienniki pisane nie dla siebie, lecz dla potomności, wielokrotnie poprawiane, przerezagowywane. Andrzejewski zapewne sądził, że Cybis pozostawił podobnego typu zapis i że muszą w nim być oskarżenia pod adresem władzy, które ja – jako kolaborant – usunąłem. Tymczasem jest to dziennik zupełnie innego rodzaju, pisany wyłącznie dla siebie. Sprawy polityczne Jan w dużym stopniu wyłączył, choć nie całkowicie – są one w tle – co musiał pan jako czytelnik zauważyć. Inaczej niż

literaci, Jan ani razu w swoim tekście nie ustawiał się jak do fotografii.

– *Pominął pan w druku ponad dwie trzecie rękopisu. Co zawierała ta część?*

– Dla zachowania jednolitej poetyki, a nieraz i powagi autora, opuściłem wypowiedzi o charakterze zbyt prywatnym. Na przykład to, co dotyczyło pobytu Jana w Krzemieńcu i Sapanowie. Gdy na przykład urodził mu się pierwszy syn – Jacek – był tym bardzo wzruszony. On sam w dużym stopniu musiał się nim zajmować, bo Lena pracowała, więc siedział i notował, jak się synek zachowuje w kołysce, jaki ma apetyt, jaką ma kupkę, a nade wszystko – jaki jest piękny. Poświęca temu około czterdziestu stron, na pewno przez moment nie pomyślał, że to jego pisanie mogłoby zobaczyć światło dzienne.

Część notatek pomyślana jest jako skrypt do wykładów, jakby dla nauczycieli rysunków, być może liczył się z tym, że po wojnie będzie musiał uczyć w szkole rysunku. To także opuściłem w imię zachowania jednolitości tekstu. Pomiąłem również negatywne opinie o ludziach

żyjących. Były one z reguły podyktowane nastrojem Jana w danej chwili. Na przykład z Nactem–Samborskim przyjaźnił się jeszcze od czasów krakowskich i paryskich, ale obaj byli artystami, ludźmi wrażliwymi i impulsywnymi, więc od czasu do czasu kłócili się. Wtedy Jan siał i pisał, jak wstrętnym człowiekiem jest Artek. Czy ja mogłem to wydać drukiem? Przecież Jan by mnie zabił, gdyby wstał z grobu. To samo dotyczyło Kobzdeja, z którym także się przyjaźnił: w jednym dniu pisał o nim źle, a nazajutrz – z wielką przyjaźnią. Przecież takich niekontrolowanych wypowiedzi nie wolno drukować.

– *A jaka część tekstu padła ofiarą cenzury?*

– Cenzura zakwestionowała łącznie ok. dziesięć zdań, rozrzuconych po całym tekście. Większość z tych ingerencji była podyktowana ochroną dobrych stosunków z NRD. Jan miał w NRD część rodziny i krytycznie osądzał politykę kulturalną oraz stan swobód obywatelskich w tym państwie. Były to zresztą krótkie, parozdaniowe uwagi.

Fragment wywiadu przeprowadzonego w 1988 r. Wywiad jest częścią przygotowywanej do druku książki Tadeusza Kucharskiego o Janie Cybisie. Składają się na nią obszernie, wielowątkowe rozmowy z osobami bliskimi Cybisowi, m. in. z żonami malarza. Niektóre informacje zawarte w materiale zebrany przez Kucharskiego (określonym jako „maszynopis niepublikowany”) zostały wykorzystane w 400–stronicowym albumie „Cybis”, wydanym w 1997 r. przez Galerię Sztuki Współczesnej ZACHĘTA w Warszawie.

JOANNA MATLACHOWSKA

WIERSZE

z przygotowywanego do druku tomiku pt. „A wróble już to wiedzą”, który wkrótce ukaze się nakładem Wydawnictwa NOWIK

CUDZE WSPOMNIENIA

Stoją na moście
rozmowa po niemiecku
wychylają się zupełnie jak wtedy
gdy zza pleców mamy i cioci
puszczały patyki na wodę

Gesty zawieszono nad głębią
jak cienie
głodne rybitwy

Twarze spoglądają w dół rzeki
tam gdzieś Brzeg i Wrocław – te dawne

Historia odpłynęła
rozpuściła się całkiem w morzu
już tylko lekko słońca
lekko gorzka

Tu widać zielone wieże katedry
drzew na nadbrzeżu już nie ma
ich opowieść wyszywa się nitką dymu:
wycięte – za mojej niedawnej pamięci

LIŚĆ

Pani Felicja a właściwie Jasia
bo tak kazała do siebie mówić
lwowianka –
ze świecą już takich szukać

Niewiele umiałam jej pomóc
zaledwie kilka zakłęb

Rankiem pod jej łóżkiem
w sterylnej odgradzonej od świata sali
– to brzmi banalnie ale tak było –
brązowy zwinięty do połowy liść
wciąż mówił
za nią

WIELOKROPEK

Zdania urwane w pół słowa
nieoczekiwane pointy
i całkiem spore – za duże
fragmenty pominięte
Gdzie one są
całkiem się zapodziały
ledwie widoczne czerwone kropki

Rozglądam się by je pozbiierać –
sufit podłoga ściany
szukam to tu to tam
i kiedy wreszcie wydaje się
że mam ich wiele
z odzysku
układam w głowie i nazywam na nowo –
wiersz zmierza do wielokropka

słowo – ledwie znak przestankowy
a pominięta reszta
splątana w spory węzeł
dalej buja nad głową
na cienkiej nitce



Wiesław Myśliwski (fot. Rafał Mielnik)

BARBARA STANKIEWICZ

ŚWIAT NA JĘZYKU

12 października br. gościem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu był Wiesław Myśliwski, dwukrotny laureat Nagrody Literackiej NIKE – za „Widnokrąg” oraz „Traktat o łuskaniu fasoli”, uhonorowany tytułem Wielki Ambasador Polszczyzny 2015. Rozmowę z pisarzem, w sali wypełnionej po brzegi, prowadził poeta i dziennikarz Wojciech Bonowicz.

Wątek dominującym był język, który – jak podkreślił Wiesław Myśliwski – jest dla pisarza takiego jak on fundamentem, sednem. Pochodzenie języka, jego różnorakie funkcje, zróżnicowania, kulturowe zasłony... W opowieści pojawił się też kwartalnik „Regiony”, stary Sandomierz, panny Ponckie (krawcowe z „Widnokręgu”), które nie zawsze były krawcowymi, oraz pisarze tworzący tak, że człowiek „gotów przed nimi uklęknąć”.

– Język moich bohaterów wyprowadzam z mowy ludu polskiego. Z mowy – to bardzo ważne. Bo to mowa jest językiem. Pismo jest czymś wtórnym. Ludzie przez wieki żyli wyłącznie w świecie mowy, byli przecież w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach analfabetami. Kiedy człowiek zaczyna się zastanawiać, jak można żyć wyłącznie w świecie mowy, nie bardzo może sobie tę sytuację wyobrazić. Bo współcześni ludzie zdali się na pismo – wszystko, co nie jest zapisane, nie istnieje. A kiedyś przecież umowy zawierało się na słowo, przybicie dłoni wystarczyło za wszystkie urzędowe pieczęcie. To był zupełnie inny świat.

Język przecież nie jest tylko systemem komunikacji – każdy człowiek ma swój własny, osobisty język. I on jest dla mnie najważniejszy, ja jestem wyczulony na mowę

ludzką, po niej rozpoznaję ludzi, mógłbym zamknąć oczy i słuchać. I ze sposobu, w jaki ktoś mówi, o czym mówi, jakich słów używa, jaki jest rytm jego języka, niewiele bym się o nim dowiedział. To są fascynujące rzeczy.

Ostatni raz podsłuchiwałem ludzką mowę w latach 80., podczas stania w kolejkach. Ja lubiłem stać w kolejkach. I dlatego mam swój pogląd na to, co było wtedy w sklepach – udawało mi się czasem wystać rzeczy, których dzisiaj się nie dostanie... W kolejkach stało się dwie-trzy godziny, a stały w nich przeważnie kobiety. Ja się nie nudziłem, ponieważ wokół odbywała się powszechna spowiedź obcych sobie ludzi, którzy zwierali się ze wszystkiego: chorób, życia seksualnego... A każda z tych kobiet mówiła takim językiem, że właściwie należałoby

jej słowa notować. To była jedna z moich wielkich lekcji o języku mówionym, potwierdzająca, że każdy człowiek ma swój język. Sposób mówienia najpełniej charakteryzuje człowieka, odsłania wszystkie piętra jego uczuć i myśli. Każdy z nas mówi inaczej i choćby mówił o tym samym, będzie mówił co innego, coś jedynie własnego. W tym się właśnie kryje istota opowieści – w języku. To słowo decyduje, o czym człowiek tak naprawdę mówi.

PISZE MI TU JEDEN, ALE WEDLE MOICH SŁÓW

– Przez 25 lat redagowałem kwartalnik „Regiony”. I w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że jest już pięć po dwunastej, ostatni moment, żeby uchwycić jeszcze, odnaleźć, pisane chłopskie dokumenty. Ślady, pokazujące, jak chłopci z fazy mowy przechodzą powoli w fazę pisma, bo przecież byli analfabetami jeszcze do połowy XX wieku. Takich dokumentów udało nam się odkryć bardzo wiele. Chłopi, często emigranci, byli analfabetami, wynajmowali więc sobie pisarzy. Ten wynajem wyglądał bardzo specyficznie: chłop podyktował mu list, potem kazał sobie ten list przeczytać, po czym poprawiał: „tu nie powiedziałem tak...”. Pamiętam początek jednego z listów: „Moja kochana żono, pisze mi tu jeden ten list do ciebie, ale wedle moich słów”.

Postanowiliśmy wydać jeden taki zbiór dokumentów, liczący ok. 120 stron – to były skargi chłopów z czasów kolektywizacji. Udało nam się wyciągnąć te pisma, m.in. z akt KC PZPR. To są zupełnie nieprawdopodobne skargi! Zresztą, chłopci zawsze, już we wcześniejszych wiekach, kiedy ich dotknął jakiś dopust boży, pisali skargi – piórem wynajętych pisarzy oczywiście. Ale takiego dokumentu, jakim są skargi z czasów kolektywizacji, jeszcze nie spotkałem, ponieważ chłopka przebiegłość, a jednocześnie poczucie, że chłop zawsze jest poddanym, kazało im tworzyć pisma tak przemyślane, a jednocześnie pełne mimowolnego humoru, że momentami nie wiedziałem, czy płakać, czy się śmiać. Pamiętam na przykład suplikę, która zaczynała się tak, jakby była adresowana do Pana Boga: „Ojczy nasz...” i tak dalej, same najwyższe tytuły. A chodziło o to, żeby odłożyć na dwa lata decyzję o wstąpieniu rolników do spółdzielni produkcyjnej – te dwa lata, jak uzasadniali, to czas niezbędny, żeby mogli zrozumieć, na czym polega wyższość własności spółdzielczej nad prywatną.

A później, w trakcie rozmyślań nad językiem, trafiłem na Ludwika Wittgensteina, którego jestem wielkim

wielbicielem, uważam go za największego filozofa XX wieku, a który powiedział, że granice naszego języka są granicami mojego świata. Tak to jest – to język decyduje o naszym świecie. Mógłbym więc powiedzieć, że takie są źródła mojego języka. Ale to nie znaczy, że ja do tego doszedłem po tej całej edukacji wittgensteinowskiej, i że dopiero wtedy zacząłem pisać. Nie, ja pisałem już wcześniej. Prawdopodobnie z tytułu swojego pochodzenia miałem we krwi rytm chłopskiej mowy, więc było to pisanie zgodne z moją naturą, której wtedy nie znałem, a dziś znam troszeczka lepiej...

SZTUKA JEST SZTUCZNOŚCIĄ

– Myślę, że nawet gdybym pisał powieść, której akcja dzieje się w Nowym Jorku, to w mojej wyobraźni sytuowałbym ją w mojej wsi. Bo nawet najmniejsze światy są wielkimi światami. Każdy człowiek jest wielkim człowiekiem. Dlatego bohaterowie moich książek nie są jakimiś celebrytami – to prości, normalni ludzie, pełniący bardzo pospolite zawody. Ale przypuszczam, że przez to właśnie są mądrzejsi od celebrytów.

Sztuka nie jest odbitką, reprodukcją życia. Sztuka jest sztucznością. Sztuka żeruje na rzeczywistości, ale ją uplastycznia, kreuje ją. Autentyzm nie polega na tym, żeby np., pisząc jakiś dialog, zreprodukować jakąś rozmowę, zasłyszaną na ulicy. Były takie próby, ale okazało się to strasznie nudne! Dialog rzeczywisty nie nadaje się do powtórzenia w literaturze w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dialog musi podlegać jakiejś kreacji, skrótom, wyborom – żeby zachować jego autentyczność, ale nie być jego niewolnikiem. Dlatego moi bohaterowie mówią językiem nieliterackim, mówią językiem plebejskim, ale – plebejskim językiem literatury. Ja nigdy nie używałem gwary, dla mnie ważny jest duch języka (bo język ma swoją duszę) i temu duchowi języka starałem się być w moim pisaniu wierny.

ILE MYŚLIWSKIEGO W MYŚLIWSKIM?

– W sensie prostej reprodukcji – nic ze mnie nie weszło do moich powieści. Żeby móc na własnej biografii zagrać, to trzeba się w niej oddalić, nabrać do niej dystansu, my tymczasem mamy do swoich biografii stosunek liryczno-sentymentalny, jesteśmy zdolni się nad swoimi przeżyciami rozpłakać. Otóż, dopóki to w nas dominuje,



Wiesław Myśliwski i Wojciech Bonowicz (fot. Rafał Mielnik)

nie jesteśmy w stanie używać autobiografii do pisania książek. Chłód i dystans – bez nich nie będziemy w stanie użyć jej w swoim pisaniu. Bo tylko wtedy ta materia autobiograficzna poddaje się kreacji, a jednocześnie ona domaga się od nas wierności.

Takich motywów, które stały się podstawą kreacji, motywów z mojego życia, jest sporo w moich książkach, ale nie są to motywy dosłowne. Próby rozliczania mnie, na podstawie moich książek, z mojej autobiografii, są nieporozumieniem. Zwłaszcza przy „Widnokregu” miałem takie kłopoty: tę powieść uznano absolutnie za powieść autobiograficzną. Znalazło się nawet mnóstwo ludzi, którzy znali, potwierdzali to, co napisałem... Byli tacy, którzy jeździli do Sandomierza, chodzili po miejscach, które opisałem...

Nikt już nie pamięta Sandomierza, jaki ja pamiętam z moich licealnych lat, a nawet wcześniejszych. W latach 60. cała skarpa, na której stoi katedra i całe Stare Miasto, obsuwała się. Wzgórze sandomierskie jest lessowe, łatwo nasiąkało wodą, a były w nim jeszcze tunele podziemne. Wszystko to sprawiało, że co jakiś czas to tu, to tam zapadała się ziemia. Wtedy tę dziurę ogradzano płotkiem,

z czasem sypano tam piasek. Opisałem w „Widnokregu” taki przypadek: facet kupował w kiosku papierosy, a kiedy kioskarsz schylił się, żeby mu wydać resztę, okazało się, że faceta nie ma... Zapadł się w dziurę. To jest zdarzenie autentyczne! Ówczesny rząd – trzeba mu tu oddać sprawiedliwość – rzucił ogromne pieniądze na ratowanie Sandomierza. Sprowadzono najlepszych górników ze Śląska, z Bytomia, sprzęt, nawet ze Związku Radzieckiego. I wtedy w Sandomierzu zjawił się wybitny profesor Romuald Cebertowicz z Gdańska – to on uratował kościół św. Anny w Warszawie, który też się obsuwał, jak budowano trasę W-Z. Profesor opracował metodę, nazwaną od jego nazwiska cebertyzacją: w skarpie drążono bardzo długie tunele, do których pod ciśnieniem wciskano płynny cement. I tak uratowano sandomierskie wzgórze, które później zniwelowano – za czasów mojej młodości ono było znacznie bardziej strome. A ludzie dziś szukają tam stromych schodów, po których w „Widnokregu” Piotr z chorym ojcem wspinają się, idąc do szpitala. Już nie ma dawnej stromizny, schody dziś są eleganckie, prowadzące łagodnymi zakosami.

KIM BYŁY PANNY PONCKIE?

– I jeszcze jeden przypadek konfrontacji „Widnokregu” z moim dzieciństwem. Otóż na promocję mojej książki w Sandomierzu przyjechała Lena Zaworska, nieżyjąca już, znana krytyk, pisująca w „Twórczości”, a potem w „Wyborczej”, bardzo dowcipna kobieta. Stoimy na rynku, a ona pyta: „Słuchaj, a gdzie to się przeniosły panny Ponckie po tym, jak przestały uprawiać ten zawód i stały się krawcowymi?”. Obróciłem się w prawo, potem w lewo, i pokazuję: „o tu, w tym domu”. Wybuchła awantura. Bo w tym właśnie domu mieszkała bardzo zająca rodzina postszlachecka, oburzona, jak ja mogłem przenieść do ich domu panny Ponckie, wprowadzić już jako krawcowe, ale jednak... Nawet w prasie o tym pisano.

I nikt mi w Sandomierzu nie wierzył, że panny Ponckie są postaciami fikcyjnymi. Rozpoczęto nawet poszukiwania pań Ponckich, i to pośród starszych pań. Jedna z kobiet zapowiedziała mi: „Pan nie chce powiedzieć, ale my i tak dojdziemy”. Mówię: „Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu, sam je chętnie poznam”. Tak to jest z moją biografią.

SŁABOŚCI I POCZUCIE SZCZĘŚCIA

– Bardzo lubię jedną moją słabość: papierosy. I odkąd nie wolno palić w miejscach publicznych – nie lubię kawiarni. Bez papierosa nie jestem w stanie wysiedzieć przy kawie, przy rozmowie.

Nie ma stanu szczęścia. Może być poczucie szczęścia. I poczucia szczęścia zaznałem trochę w życiu. Ale stanu szczęścia nie umiem sobie wyobrazić. Czym byłby taki stan? Czasy licealne. To był okres mojego życia najszczęśliwszy i najtragiczniejszy zarazem. Najtragiczniejszy, bo umarł niedawno mój ojciec, a miał dopiero 48 lat. Matka nie miała z czego żyć, była bez zawodu... A jednocześnie ja się zakochałem. W licealistce, która miała 16 lat. I to tak się zakochałem, że do dnia dzisiejszego mam tę samą żonę.

JEDNI ROŚLI, INNI SPADALI

– Mam trzech pisarzy bardzo dla mnie ważnych. Dostojewski, ale nie wszystkie jego powieści... Największym jego dziełem jest dla mnie „Idiota”. Dalej – Franz Kafka, jego opowiadania, a zwłaszcza jedno, które niedawno odkryłem – „Budowanie muru chińskiego”. Mało się o tym opowiadaniu mówiło, tymczasem to jest majstersztyk. Gdyby Kafka napisał tylko to jedno opowiadanie – już byłby wielkim pisarzem. I trzeci – Marcel Proust. Jestem chyba jedną z nielicznych osób w tym kraju, które przeczytały wszystkie siedem tomów Prousta, i to dwukrotnie. Pierwszy raz w młodości, drugi – trzy lata temu. Bo postanowiłem sobie ponownie przeczytać książki tych wielkich pisarzy, które czytałem jako młody człowiek. To była niewiarygodna lekcja: doszedłem do wniosku, że wielkich książek nie powinno się w młodości czytać. Bardzo mi też urósł Stendhal. Odkryłem, już nie pamiętam w której jego książce, rzecz, która mnie bardzo mile poślaskowała, bo miałem ją za swoje odkrycie. Otóż ja, jak piszę książkę, nie mam żadnego planu. Nie wiem, o czym ona będzie, nie robię żadnego szkicu, pisząc, dowiaduję się, o czym ona będzie... I okazało się, że Stendhal powiedział to samo: że gdyby miał plan książki, to by jej nie napisał.

I tak jedni pisarze rośli we mnie, inni spadali. Z polskich książek odkryciem jest dla mnie „Pan Tadeusz”, którego nie znośm. Dziesięć lat temu, czytając go ponownie, doszedłem do wniosku, że to wielka książka, to literatura języka, a więc szczególnie mi bliska. Bo ja literaturę dzielę na literaturę idei i języka, i w tej drugiej sytuacji również swoje pisarstwo. W „Panu Tadeuszu” zawsze irytowała mnie ta błaża fabułka. Teraz doszedłem jednak do wniosku, że ta fabułka, to opowiadanie o zajeździe, to jest właściwie libretto. Bo „Pan Tadeusz” jest operą na słowo. I jak każda opera, może poza „Eugeniuszem Onieginem” Czajkowskiego, ma byle jaką bajędę – byle jaką potę, żeby nie konkurowała z muzyką. W „Panu Tadeuszu” tą muzyką jest słowo. Właśnie ta piękna polszczyzna jest największym aktem ukochania Polski przez Mickiewicza.

I Jan Kochanowski. Długo dojrzywałem, żeby to dostrzec, choć zawsze go ceniłem, uważałem za jednego z największych europejskich pisarzy. On brzmi tak, że człowiek gotów przed nim uklęknąć.



Edward Stachura – jedno z ostatnich zdjęć poety (z archiwum rodziny)

GRZEGORZ BANASIK

OD EKSTAZY DO ROZPACZY

Chorobę psychiczną zdiagnozowano u Edwarda Stachury dopiero po pierwszej próbie samobójczej

Ziemowit Fedeki w artykule *Moda na Stachurę* napisał: „Czytelnik zauważył zapewne, że w niniejszych uwagach pomijam sprawę choroby nerwowej Stachury i związanej z nią jego tragicznej śmierci. Czynię tak nie tylko ze względu na drażliwość tematu, ale również dlatego, że moja wiedza w tym zakresie jest skąpa. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że kołtun skwapliwie włączył do swojej stachurowskiej legendy te straszne cierpienia, że na nich żeruje, że kliniczne niemal świadectwo choroby wysuwa na miejsce naczelne w twórczości pisarza”. Odnosząc się do cytowanych słów, jak również ubiegając ewentualne zarzuty o kołtuństwo, cyniczne traktowanie twórczości Stachury czy próbę dezawuowania jego pisarskich osiągnięć, chciałbym na początku wyjaśnić powody mojej próby spojrzenia na jedno z dzieł tego pisarza przez pryzmat jego choroby.

Otóż, jak słusznie zauważył Fedeki, choroba pisarza jest kwestią drażliwą, a czyniąc ją niejako przedmiotem literaturoznawczej interpretacji, siłą rzeczy wkraczamy w intymną przestrzeń psychiki człowieka. Jednak nie mniej drażliwą kwestią jest np. publikowanie intymnych zapisków pisarzy. Mimo to badacze literatury dokumentu osobistego już dawno poddali się tej pokusie. Pokusie tej uległa też już w 1980 roku – a zatem świeżo po tragicznej śmierci poety – ówczesna redakcja „Twórczości”, publikując po raz pierwszy *Pogodzić się ze światem* i *List do pozostałych*. Później publikacji doczekały się też tzw. zeszyty podróżne i listy Stachury do najbliższych mu osób. Trudno te zabiegi redaktorów i wydawców nazwać żerowaniem na wizerunku pisarza. Są one raczej wyrazem troski, próbą ocalenia tego, co po nim zostało, a co może rzucić nowe światło na jego pisarstwo i uruchomić kolejną falę recepcji tej twórczości. I tym też chce być niniejszy tekst: próbą spojrzenia na jeden z ostatnich utworów autora *Wszystko jest poezją*, spojrzenia od strony jego zmagania z chorobą psychiczną, której istnienie zresztą sam w tym utworze sobie uświadomił.

Istotą patografii – jak przekonuje Jarosław Fazan w książce o schizofrenii w twórczości Tadeusza Peipera

– „jest analityczne zarysowanie biografii badanej postaci, ujmowanej przez pryzmat udokumentowanych lub zrekonstruowanych z niezwykłą wnikliwością, ale i subtelnością, epizodów psychopatycznych oraz ich wpływu na zachowane dzieła”. Tym, czym u Peipera była schizofrenia, tym u Stachury jest choroba afektywna dwubiegunowa, zdiagnozowana u niego po pierwszej próbie samobójczej. Charakteryzuje się ona częstymi zmianami nastroju u chorego, przejściami od stanów manii do depresji. O tym, z jaką częstotliwością zmieniało się samopoczucie Stachury, najlepiej przekonać się, czytając jego „zeszyty podróżne”. Nie uchodzi to uwadze Janusza Drzewuckiego, który w recenzji tychże dzienników pisze, iż osobowość narratora jest „rozpięta pomiędzy diamentralnie przeciwstawnymi stanami i nastrojami psychicznymi, pomiędzy optymizmem a sceptycyzmem, miłością a nienawiścią, emocjonalnością a refleksyjnością, euforią a depresją, wiarą a niewiarą”. Z jednej strony poeta popada w ekstatyczne wręcz stany i bezwzględną afirmację życia, z drugiej daje świadectwo „wyobcowania i samotności, rozpacz i lęku”. Toteż Drzewucki sugeruje, iż „zeszyty podróżne” należy czytać pod kątem „rodzącego się w umyśle poety obłędu, narastającego szaleństwa”.

Rozdwojoną psychikę pisarza można pokazać też na przykładzie jego osobistych kontaktów z francuskim pisarzem i poetą – Michelem Deguyem. Otóż Stachura, którego Deguy poznał, był osobą bardzo żywą, wesołą, oryginalną i utalentowaną. Natomiast druga osobowość Stachury, z ostatniego okresu życia, niewiele przypominała tamtego człowieka. Autor *Się* – jak określił go jego francuski przyjaciel – stał się osobą chorą, monotematyczną, podszytą obsesją i zafiksowaną na punkcie własnej twórczości. Przytaczający tę opinię w biografii poety Marian Buchowski w innym miejscu nadmienia też o jego apodyktyczności z tzw. okresu mistycznego. Objawem tego może być łatwość w zrywaniu kontaktów z nieraz bardzo bliskimi poecie ludźmi. Bowiem, jak wyznaje chora również na psychozę maniako-depresyjną Terri Cheney, w okresie manii nie słucha się nikogo oprócz siebie.

Trop choroby psychicznej u Stachury podejmował też przed laty Jan Marx. W tym kontekście widział on jego dramat egzystencjalny, zdeterminowany – jak sam to określił – „pęknięciem psychicznym, które doprowadziło do manii samobójczej”. Innym razem próbowano w samej analizie twórczości Stachury doszukiwać się przejawów oddziaływania patologii psychiki. Na przykład odejście od pierwszoosobowej formy narracji w tomie *Się* odczytywano jako przejaw dezintegracji osobowości autora. Z kolei Mieczysław Orski, w rozmowie z Marianem Buchowskim, zwrócił uwagę na słabo eksponowany przez interpretatorów i czytelników dzieł Stachury jego zaborczy i „chyba chorobliwy” narcyzm.

Choroba afektywna dwubiegunowa – jak informuje nas literatura medyczna – charakteryzuje się występowaniem ostrych epizodów manii i depresji przeplatanych stanami eutyimii (wyrównania nastroju). Fazy depresji trwają zazwyczaj dłużej niż okresy manii. W *Pogodzić się ze światem* najistotniejszą rolę odgrywają stany tzw. dużej depresji. Aby ją medycznie stwierdzić, trzeba zaobserwować u pacjenta przynajmniej jeden z wymienionych objawów: obniżenie nastroju, utratę zainteresowań czy też zdolności odczuwania przyjemności. Ponadto należy stwierdzić jeszcze kilka z objawów, do których mogą należeć: znaczny spadek lub wzrost masy ciała, wzrost lub spadek łaknienia, bezsenność lub nadmierna senność, pobudzenie lub spowolnienie psychoruchowe, uczucie zmęczenia, braku energii, nieuzasadnione lub nadmierne poczucie winy, zmniejszenie sprawności myślenia, koncentracji i podejmowania decyzji, nawracające myśli o śmierci i myśli samobójcze. Co bardzo ważne, objawy te muszą występować niemal codziennie i być zaobserwowane nie tylko subiektywnie (tj. przez samego pacjenta), ale i obiektywnie przez otoczenie. Wymienione objawy w niniejszej pracy traktuję raczej jako pomoc w analizie tekstu. Moim celem nie jest bowiem kompletne zdiagnozowanie stanu psychicznego pisarza, nie należy to wszak do kompetencji literaturoznawców. Kategorie i pojęcia psychiatryczne potrzebne są do analizy sytuacji psychicznej i egzystencjalnej autora.

Dziennik Stachury z ostatnich tygodni życia znany pod tytułem *Pogodzić się ze światem* nie należy już do tzw. mistycznego okresu jego twórczości. Gdyby jednak wspomniany okres, w którym to powstawały takie dzieła, jak *Fabula rasa* czy *Oto*, interpretować w sposób psychopatologiczny, tj. jako wyraz dezintegracji osobowości twórcy, wówczas nietrudno byłoby zauważyć bliski zwią-

zek wymienionych tekstów z analizowanym dziennikiem poety. To właśnie w *Pogodzić się ze światem* Stachura uświadamia sobie, iż swoje postępowanie z tamtego okresu, m.in. utożsamianie się z „człowiekiem-nikt”, spowodowane było chorobą psychiczną.

Napisany po wypadku kolejowym i pobycie w szpitalu psychiatrycznym dziennik – obejmujący okres od końca maja do 19 lub 20 lipca 1979 roku – ukazuje dramatyczne zmaganie się pisarza z własną psychiczną, ale i fizyczną ułomnością. W tych niezwykle poruszających i na wskroś autentycznych zapiskach Stachura próbuje powrócić do swojej pierwotnej osobowości. Jest to zatem poniekąd tekst rozrachunkowy, albowiem pisarz przeprowadza tu swoisty rozrachunek z samym sobą, to znaczy ze sobą z okresu, gdy uważał się za „człowieka-nikt”. Obecny swój stan określa następująco: „Nie jestem ani człowiekiem-nikt, ani Edwardem Stachurą. Jestem cieniem Edwarda Stachury”. Stachura – dystansując się od „człowieka-nikt”, dystansuje się od własnej twórczości z tamtego okresu. Był to zarazem – jak się wydaje – czas najostrzejszych huśtawek nastroju i epizodów maniakałnych.

Poeta wraca do czasów tuż sprzed wypadku, kiedy to trapiiony był omamami i urojeniami. „Leżąc na tapczanie, zacząłem słyszeć różne odgłosy: wycie psa, poruszanie drzewami, oddech czyjś, płacz małego dziecka, trzask otwieranego i zamykanego okna, szelestne powiewy, wszystko to mrozące krew w żyłach”. Umysł Stachury odbierał je jako bezpośrednio zagrażające życiu. Stany te w konsekwencji doprowadziły do próby samobójczej na torach pod Bednarami. Stachura wraca do tego zdarzenia, twierdząc, że do wejścia pod elektrowóz został niejako popchnięty przez prześladowające go tajemnicze głosy. Jego urojenia prześladowcze dają o sobie znać bezpośrednio po wypadku, kiedy to wydobywających go spod pociągu ludzi – maszynistę i kilku innych pomocników – uznaje za wrogów i chce od nich uciec.

Stachura żywi resztki nadziei, że uda mu się znaleźć spokój ducha i umysłu. Jego stan psychofizyczny nadziei tej nie pomaga. „Jestem słaby i dziwnie chodzę. Tak, jakby nogi osobno szły, a góra osobno. I jakby ręce też osobno”. Takiego rozbicia integralności psychofizycznej poeta doświadczał już wcześniej. Chyba jednak nigdy nie odczuwał – tak permanentnie i na taką skalę – wewnętrznej pustki i totalnego wypalenia, braku chęci do podejmowania jakichkolwiek działań. Stany poczucia pustki widać niemal w każdym wpisie. Widać to chociażby, kiedy sam porównuje swoją obecną kondycję z okresem, kiedy był

„człowiekiem-nikt”. Beztroska i spokój „człowieka-nikt” kontrastuje ze zmęczeniem, apatią i brakiem wewnętrznego spokoju, którego narrator dziennika stara się jeszcze poszukiwać. Co jednak ważne, Stachura nie odczuwa już jedności z tamtą patologiczną osobowością.

A jednak od „człowieka-nikt” nie sposób tak naprawdę uciec. Stachura ma go jakby z tyłu głowy – i wciąż się z nim porównuje. W *Pogodzić się ze światem* poeta kończy swoją wędrówkę po Polsce i świecie, zaczyna jednak inną podróż. Ale i w tej swojej drodze ku zgodzie ze światem, czy może lepiej zgodzie na świat taki, jaki jest, Stachurze towarzyszy pamięć o jego drugiej osobowości. W jednym z fragmentów pisze: „Człowiekowi-nikt wszędzie było dobrze. Edwardowi Stachurze tu i ówdzie było nieźle. Mnie, cieniowi Edwarda Stachury, wszędzie jest teraz źle”.

Fatalny stan narratora jeszcze lepiej widać w zestawieniu z kondycją jego matki. Pomimo podeszłego wieku (kobieta ta ma wówczas 72 lata), jest ona osobą ruchliwą, sprawną i prosto, a zarazem trzeźwo myślącą. Stanowi niemal doskonałe przeciwieństwo swojego syna, zmagającego się ze śmiertelnym strachem na samą myśl o tym, iż prześladowające go głosy mogą powrócić. Matka dla poety staje się przykładem harmonijnego współistnienia człowieka ze światem i naturą. Przebywanie z nią daje Stachurze namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Jest ona jakby ostatnią nicią, łączącą go ze światem. To jedynie w relacji z matką poeta odnajduje okrucy egzystencjalnego sensu, który może być zaczątkiem nowego życia. Ze wzruszeniem wyznaje: „Ale nie jestem całkiem bez uczuć. Jest we mnie jedno uczucie. Do matki. To już jest coś – chciałoby się powiedzieć. To uczucie jest wyraźne i nie wmawiam tego sobie, żeby się ratować”.

Można by uznać, iż od pewnego czasu o życie poety toczy się walka między jego najbliższymi a chorobą. Ci wszyscy ludzie, którzy w ostatnich tygodniach jego życia wspierali go i opiekowali się nim, próbowali przeciągnąć go na swoją stronę – na stronę życia. Po drugiej stronie mieli jednak poważną przeciwniczkę – chorobę, która wyzwałała w Stachurze zniechęcające go uczucia wszechogarniającej pustki, bezsensu istnienia i samotności.

A jednak walkę z chorobą podejmuje sam Stachura – czego wzruszającym świadectwem jest właśnie *Pogodzić się ze światem*. To właśnie już sama czynność pisania dziennika ma funkcję terapeutyczną. Nie będzie przesadą, jeśli uznamy, iż w całym niemal dojrzałym życiu Stachury pisanie wysunięte było na plan

pierwszy; stanowiło esencję jego życia. Tak jak nie wyobrażamy sobie Stachury bez pisania, tak trudno nam sobie wyobrazić bez pisania jego próbę powrotu do równowagi psychicznej i próbę przezwyciężenia stanów głębokiej depresji. Zauważa to sam zainteresowany, notując w swoim dzienniku: „Kiedy piszę, jest nieźle, nienajgorzej”.

Stachura, żeby pogodzić się ze światem, musiał także pogodzić się ze swoim szaleństwem. Z pokorą przyjmuje do wiadomości to, co jeszcze rok wcześniej, w trakcie pisania *Oto*, zapewne przyjąłby z oburzeniem: mianowicie fakt, że jego euforyczne stany, „przebywanie na wielkiej górze” (jak sam to określał), były właśnie objawami choroby psychicznej. Poeta oswaja się z tym stopniowo. Niekiedy o swoich psychotycznych stanach pisze nie wprost, nazywając je „tamto”. Kiedy indziej jednak owo „tamto” nazywa po prostu obłądem. W konsekwencji choroba ta – jak sam opisuje – pozbawiła go sił witalnych, zrujnowała psychikę i wreszcie doprowadziła do kresu egzystencji.

Odjęło mi rozum, odjęło mi prawą rękę, odjęło mi zmysły, odjęło mi smak życia, odjęło mi wszelką radość, odjęło mi siłę w nogach, napelniło mnie lękiem psychicznym i bólem fizycznym, a ja pomimo wszystko trwam. Nie jak szaleniec, bo trochę przywróciło mi rozum. Czy przez to jest mi lepiej, czy gorzej? Szaleniec nie wie, że jest szaleńcem, więc on sam dla siebie szaleńcem nie jest.

Stachura w swoim dzienniku długo nie mówił o śmierci. W pewnym momencie wyznaje: „Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie myślę często o samobójstwie jako o wyzwoleniu się z mojego piekła. Ale nie jest to dla mnie oczywiste. Nie ma w mojej biednej głowie ani jednej oczywistości. Więc nie popełniam samobójstwa”. Trzy dni później myśli te powracają, kiedy poeta wymienia osoby, wspierające go i darzące miłością. On jednak nie potrafi cieszyć się tym, co od nich otrzymuje. I wyznaje: „Jedyna nadzieja we mnie to umrzeć. Nie jestem już z tego świata. Jedyna nadzieja we mnie to zjednoczyć się z Bezimiennym”. O coraz gorszym stanie psychicznym autora informuje nas też forma wpisów. Są one coraz krótsze i mniej regularne. Początkowo Stachura stara się notować codziennie, z czasem pisze rzadziej, z parodniowymi przerwami, tak jakby pisanie nie było już sposobem na pogodzenie się ze światem. To tragiczne mocowanie się Stachura najdobitniej wyraża w przedostatnim wpisie z 14 lipca:

Jak ciężko jest dać ten jeden krok. Od paru dni wstaję i mówię sobie: „Gdybym to zrobił wczoraj, dzisiaj już nie musiałbym się męczyć”. Gdybyż to było dla mnie oczywiste! Ale ciągle do końca nie jest.

Cztery dni po ostatnim wpisie do dziennika Stachura umiera śmiercią samobójczą. Odurzony lekami, zapisuje jeszcze swój ostatni wiersz, znany jako *List do pozostałych*. Tym ostatnim aktem twórczym uchyla niejako czytelnikom drzwi do własnej śmierci – która jest, jak stwierdził Michel Foucault – „najbardziej tajemnym i prywatnym punktem egzystencji”. Zarazem samobójstwo jest tragiczną i radykalną konsekwencją zaburzeń psychicznych jednostki. U Stachury zyskuje ono jeszcze jeden wymiar. Jest – jak się wydaje – jedyną możliwą decyzją, konsekwencją porażki, jaką poeta poniósł w próbie przywyknięcia do rytuału życia codziennego, opartego na powtarzalności i zgodzie na to, co przeznaczył los.

Spojrzenie na twórczość autora *Siekierzady* od strony jego choroby psychicznej nie musi wcale oznaczać rozłąki z mitem genialnego poety. Już Schopenhauer przeciwstawiał człowieka mądrego – a więc racjonalnego, człowiekowi genialnemu – noszącemu znamiona obłą-

du. Gdyby pójść dalej, można by za Freudem stwierdzić, iż nie ma tak naprawdę granicy między normalnością a obłądkiem; jedno i drugie stanowi właściwość egzystencji każdego człowieka. Co zaś do wpływu choroby afektywnej dwubiegunowej na twórczość, sądzi się, iż okresy manii i hipomanii są bardzo sprzyjającym okresem dla produktywności twórców. Nie brak też licznych przykładów zasłużonych artystów, którzy – zdaniem psychologów – niemal na pewno doświadczali ciężkich zaburzeń nastroju. Dzieła niektórych z nich, jak Augusta Strindberga – czy na polskim gruncie Tadeusza Peipera – doczekały się odczytań patograficznych. Dlaczego więc i autor *Calej jaskrawości* nie miałby dołączyć do grona wybitnych?

(Skrót referatu zatytułowanego „Pogodzić się ze światem” Edwarda Stachury – próba patografii, zaprezentowanego podczas konferencji naukowej „Edward Stachura. Formy pamięci, znaki czasu”, zorganizowanej 9 października br. w Toruniu przez tamtejszy Uniwersytet Mikolaja Kopernika).

Cytaty i odniesienia dotyczą następujących źródeł:

- Stachura E., *Pogodzić się ze światem w: tegoż, Postscriptum*, wybór i oprac. W. Pogonowski, Warszawa 1990.
 Buchowski M., *Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury*, Warszawa 2014.
 Cheney T., *Na huśtawce emocji. Moje zmagania z chorobą afektywną dwubiegunową*, przekł. B. Markiewicz, Chorzów 2009.
 Drzewucki J., *Arcydzielny wojownik, „Twórczość”* 2012 nr 5.
 Fazan J., *Od metafory do urojenia. Próba patografii Tadeusza Peipera*, Kraków 2011.
 Feddecki Z., *Moda na Stachurę w: Kaskaderzy literatury*, red. E. Kolbus, Łódź 1986.
 Foucault M., *Historia seksualności*. T.1, przeł. T. Komendant i in., Warszawa 1995.
 Goodwin G., Sachs G., *Zaburzenia afektywne dwubiegunowe*, red. wyd. pol. T. Zyss, tłum. J. Palarczyk, Bielsko Biala 2006.
 Marx J., *Polscy poeci przeklęci, „Poezja”* 1981 nr 9.



Fragment rzeźby Joachima z kościoła „Na Górcie” (ok. 1750 r., autor nieznan). Fot. Grzegorz Gajos

AGNIESZKA KANIA

NIESPODZIEWANE

Na dobrą parę to oni nie wyglądają, niby tacy święci, a ciągle się kłócą. Artysta dokonał niemożliwego: ożywił rzeźby. Patrzącemu wydaje się, że wpuścił w nie krew, nadał im cielesność (może nawet umieścił w statuach cząstkę potężnego fiat, którym Stwórca wyzwolił świat z chaosu), wprowadził ruch, spotęgował wrażenie dziania się, sprawił, że trwanie i nietrwanie przecinają się, przedwczoraj przenika teraźniejszość. XVIII-wieczne posągi z kościoła „Na Górcie” to podwójny portret intymny, wizerunek pełen emocji. Z pasją wyrzeźbiona – pasja. Anna zdjęła maskę skromnej niewiasty, odrzuciła kostium zgodnej żony. Stoi zacięta i niepokorzona. Czyż nie przypomina trochę Nemezis?

ZA JAKIE WINY

Ta dziwna pani (Hezjod mówił o niej – „utrapienie śmiertelnych”) wpadła Zeusowi w oko (podobno pociągały go sprytnie kobiety). Nie zdążył jeszcze dobrze zejść z Olimpu, a ona już zmieniła się w rybę. I to w ukleję – śliską, wrzcionowatą, ani jej objąć, ani pocałować; chciał ją złapać na

haczyk, lecz się wywinęła, uszyła z łusek piórka i poleciała nad stawem jako gęś gęgawa (Anser Anser). Przebiegłość bogini tylko go zachęciła. – Zaraz mi ucieknie na zachód – przestraszył się. – Dajcie mi dziób i skrzydła – poprosił Erynie, sam natomiast wyciągnął szyję i dopadł ją w przebraniu łabędzia.

Nemezis obdzielała ludzi szczęściem (każdemu mniej więcej po równo) i dbała o sprawiedliwość: na gniewnych zsyłała miłość bez wzajemności, skąpym kazała łączyć na biednych, niewiernych karała wieczną tęsknotą, łapczywych głodem, gburów nieświeżym oddechem. A jakie winy miała zmyć bezpłodność?

BRZEMIENNOŚĆ TO SPRAWA BOSKA

Rzeźby z kościoła „Na Górcie” pokazują sprawę pomiędzy dwojgiem. Trzeba było mieć odwagę, tworząc świętych – nieświętych. Anna zdjęła kaptur, rozchyliła płaszcz i otworzyła dziennik oprawiony w skórę, chyba wylicza przyrzeczenia Joachima złożone przed ślubem: miał być czuły i troskliwy, chciał ją żywić i ubierać, zabrać w po-



1. Rzeźba Joachima z kościoła „Na Górcie” (ok. 1750 r., autor nieznan).
2. Rzeźba Anny z kościoła „Na Górcie” (ok. 1750 r., autor nieznan).
Fot. Grzegorz Gajos

dróż po Morzu Śródziemnym, nie oszczędzać na kucharach i fryzjerach. Mówił, że ochroni ją przed mrozem, zdejmie troski, odstraszy żale, obiecał zbudować dom i spłodzić dziecię. I co? Przez dwadzieścia lat nie urodziła ani jednego dziecka, a mieszkanie przy studni miejskiej, co prawda przestronne, ale to żaden pałac. Kobieta nie jest ani czarująca, ani urodziwa. Artysta podkreślił jej temperament. Zatrzymał ją w kontrapoście, silną i posępną, o ostrych rysach twarzy: oddał zapadnięte policzki, wąskie wargi, wydatny podbródek i długi nos. Czy odrzucił hellenistyczne dziedzictwo? Czy oddzielił dobra od piękna? Nie. Anna, choć nie jest dobrotliwa, pozostaje dobra, chociaż jej czoło pokrywają już zmarszczki, wciąż jest piękna. Rzeźbiarz udowodnił, że piękno i dobro mają nie tyle metafizyczny, co ludzki wymiar. Skazy, niedoskonałości, chwilowe słabości nie ujmują lecz dopowiadają pełnię, są ornamentem, dekokorem. I koniecznością.

Mężczyzna zmierzwił brodę, wyciągnął rękę w pojednawczym geście i powiedział nieśmiało: Dałem ci to, co mogłem. A brzemiennosc to już sprawa boska. Spuścił głowę, obrócił się na pięcie, zabrał laskę z sieni i poczłapał w kierunku pustyni. Zatrzymał się na wierzchołku wydmy, owinął płaszczem, skulił, bo targał nim porywisty wiatr i spojrzął na migające plamki miasta. – Jedna z tych kropek świeci się u nas – pomyślał. Długo wędrował, wspinał się na pagórki porośnięte kępami spalonych traw, widział w oddali jeziora (wyschnięte albo z resztkami wody zmienionej w błoto). Raziło go oślepiające słońce, piach wciskał się w usta, przenikał do gardła i zamykał krtań.

Nocował przytulony do kamieni, spał w cieniu kaktusów albo szukał jam wydrążonych w wydmach. On potomek Dawidowy, wychowany w nazaretańskiej willi ozdobionej freskami, gdzie do wieczery przygrywała harfa, przebywał teraz wśród kości jaszczurek i hien. Co robił od świtu do zmroku? Pewnie układał figury z czaszek i żeber, wymyślał nowe byty; te oczyszczone deszczem, wybielone piachem szkielety nie budziły w nim strachu, przeciwnie – dawały mu poczucie przynależności.

Zdany na siebie, na własny spryt i przebiegłość, zmęczony i wystraszony, zziębnięty i głodny, wyczekujący jakiegoś znaku, chyba pierwszy raz poczuł się naprawdę człowiekiem. W poszarpanym płaszczu i przydeptanych sandałach przemierzał bezdroża, rozniecał ogień i liczył dzikie wielbłądy ciągnące na północ. Marzył. Cierpiał. Szlochał, czasem ryczał jak zranione zwierzę.



Czy Anna chodziła do wróżek, czy odwiedzała pocieszycielki? Czy tłumaczyła sąsiadom, że posprzeczała się trochę z Chimkiem, więc pojechał do wód na odpoczynek? Czy układała wiersze, albo pisała piosenki jak ponad dwa tysiące lat później robiła to inna Anna (Amy Winehouse) po rozstaniu z Blakiem? Musiała się martwić, nie było go przecież tydzień, dwa tygodnie, miesiąc. Nie mogła zadzwonić ani wysłać gołębia pocztowego (czy ktoś kiedyś widział na pustyni ptaka z obrączką?). Rabusię zaglądali do jej okien, plotkowały praczki, gadali sklepiarze, w końcu znaleźli nowy temat, ona zaś pogodziła się ze stratą.

A na co liczył Joachim? Według Złotej Legendy Jakuba de Voragine z 1275 roku, a także pism apokryficznych, protoewangelii Jakuba i ewangelii pseudo-Mateusza obciążał on siebie hańbą bezpłodności. Czy mimo poczucia winy oglądał się za żoną, wierzył, że ona tęskni i wypatrzuje go w oknie na poddaszu? A może marzył mu się jakiś cud? Przysiąc trzeba, że miał szczęście. Bo archanioł Gabriel wybrał się w te strony, przechadzał się po niebie, karcił słońca za pożary na wschodzie, chłodził oceany i przesiewał przez palce piach. Nagle zobaczył starca. Poklepał go po ramieniu i polecił, by jak najszybciej udał się do Jerozolimy.

ANIOŁKIEM TO ON NIE BYŁ

Posągowa Anna twardo stąpa po ziemi. Na pierwszy rzut oka nie przypomina lewitującej Teresy z kościoła Santa Maria della Vittoria w Rzymie. Czy tylko pofałdowana suknia łączy te niewiasty? Giovanni Lorenzo Bernini wyrzeźbił kobietę młodą, urodziwą i delikatną. Uchwycił ją w chwili uniesienia, kiedy odrzuciła głowę do tyłu, przymknęła oczy, rozchyliła wargi i mocno przycisnęła język do podniebienia. Przełyka ślinę pomieszaną ze łzami i skarży się: Żyję, a życia już w sobie nie czuję. (A może takich słów użyła Anna, kiedy się żaliła mężowi?).

Ołtarz Berniniego (z 1652 roku) przedstawia dwie postacie. Wyrażono tu uczucie gwałtownej, chorobliwej ekstazy zmysłowej – pisał w „Obrazach Włoch” Paweł Muratow. Na wprost zakonnicę ustawił się młodzieniec – jedną ręką odsłania jej pierś, w drugiej zaś trzyma złotą włócznię. Ten chłopiec to prawdziwy anioł, ma nawet skrzydła, chociaż z miejsca, gdzie znajduje się święta, prawie ich nie widać (czyżby specjalnie ukrył piórka?). Wyrzeźbiony sto lat później Joachim aniołkiem nie jest,

nie przypomina tamtego barokowego czarusia. Postarztał się, utył, nie dba o swój wygląd. Twarz ma pobrużdżoną, włosy w nieładzie, brodę przyciętą nierówno. Patrzący zauważa obszerny płaszcz ułożony w skrzydła i grubą, zamkniętą księgę. Może to znak, że ten rozdział życia uważa za skończony. Co miałoby się stać, żeby obduziła się ich dawna zażyłość? Czyżby autor opolskich posągów odwiedził Rzym, a potem nawiązał dialog z Berninim i w geście mężczyzny ukrył pytanie: Jakiż grot musiałbym zanurzyć w tobie Anno, byś na mnie spojrzęła? Nie zawsze musimy pojąć, przecież Jerzy Nowosielski tłumaczył, że „sztuka wychodzi poza sens [...], wychodzi poza rozumowanie ludzkie”.

KTO MALUJE W TAKĄ POGODĘ!

Anna i Joachim rzadko się pojawiają się na obrazach i rzeźbach. Na początku XIV wieku ich spotkanie przy Złotej Bramie w Jerozolimie uwiecznił Giotto di Bondone. W Kaplicy Scrovegnich w Padwie namalował pocałunek, który wywołał skandal, ale zapoczątkował serię pocałunków w sztuce. XV-wieczne wizerunki rodziców Maryi można oglądać w Rheinbergu; siedzą tam na ławie pokrytej czerwonym atłasem, on nosi płaszcz ozdobiony kamieniami szlachetnymi i kapelusz w kształcie wieży Babel. Malarz pozbawił go nimbu, ale włożył do ręki wstęgę papieru (nie ma na niej żadnej inskrypcji ani jednej litery czy znaku) i kazał mu nią wymachiwać. Muzeum Narodowe w Krakowie posiada w swoich zbiorach dzieło Johannesa Koerbeke'a z 1457 roku przedstawiające małżonków prowadzących córkę do świątyni, podobne motywy mają też Wiedeń i Stuttgart. Ciekawe, że w kościele „Na Górcie” znalazło się kilka portretów tych świętych. Każdy z nich inny.

Osiemnastowieczna Alegoria Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny wisi wysoko nad sklepieniem nawy głównej. Żeby ją zobaczyć, trzeba mocno zadzierać głowę, lecz chociaż obraz jest ogromny (4 × 1,8 m), trudno dostrzec szczegóły. Kiedyś ozdabiał on ołtarz główny w kolegiacie stanisławowskiej, tej samej, którą Henryk Sienkiewicz rozświetlił w Trylogii, tam odbyła się msza za duszę małego rycerza. To spod stóp Najświętszej Pani-ki ksiądz Kamiński wołał: Panie pułkowniku Wołodyjowski! (...) Dla Boga, panie Wołodyjowski! (...) Larum grają!

Anna i Joachim już się nie kłóca, ale wspólnie podtrzymują blejtram. On zachwiał się trochę i teraz ze wszyst-

kich sił próbuje wrócić do równowagi. Wygląda, jakby ćwiczył na drążku: unióś prawą rękę, rozczapierzył palce i cały ciężar ciała oparł na jednej nodze. Poprawił uchwyt na krawędzi płótna, które i tak się chybotce, chwieje, bo Anna tylko udaje, że pomaga dźwigać. Tak ją ciekawia i obraz, i malarz, że nachyla się i podgląda.

Kto maluje w taką pogodę? Ciemno, buro i zbiera się na deszcz. Niebo aż stwardniało od chmur, takich zbrzydlonych, zbitych, przypominających płyty październikowe. Tylko gdzieś gdzieś pęcznią, puchną bańki błękitu. Rozkwitają, nadymają się i pękają jak ziarnka fasoli. A w każdym pęczeryku mieszkają anioły, właściwie putta – prosto z barokowych obrazów. Latają boso, przewracają się, huśtają się na ołowianych hamakach, a ich kolorowe tuniki porywa wiatr. To się bawią w chowanego, to kręcą lody z obłoków albo tarzają się w bitej śmietanie nieba. I podpatrują malarza ciekawie, czasem dla żartu przysiadają na blejtramie i robią fikołki, jak na osiedlowym trzepaku. Gubią szkice, rozlewają farby, potrącają artystę. On jednak nie zwraca na nie uwagi. Końcem pędzla nanosi ostatnie poprawki i lekko odchylony ocenia swoje dzieło. Przygląda się z zachwytem, bo przecież portret wykonał z największą troską.

ZBAWIENNE PIĘKNO

Trudno się oprzeć wrażeniu, że namalowana postać przypomina Wenus Botticellego, właśnie zrodzoną z piany. Zdążyła się już ubrać, bardzo skromnie zresztą, w stonowane granaty i purpurę, bez jednej choćby perły. Van Eyck, Memling czy Mantegna byliby zgorszeni, widząc taką biedę. Ich prace migoczą od klejnotów, lamówek i kosztownych materiałów. A tu jedynie szaty miękko opadają i kryjąc kształty, nie kryją powabu. I tło mieni się i błyszczy, kokietuje grą światła, jakby mistrz był uczniem złotnika (podobnie jak Botticelli) i zamiast podkładu użył złota, oczyszczonego wcześniej w ogniu.

Zatrzymajmy się przy portreciście. Spójrzmy na jego twarz o szlachetnych rysach, lekko wydęte usta w cieniu prostego nosa. Zwróćmy uwagę na wysokie czoło i wystające kości policzkowe, na równo przyciętą brodę oraz gładko zaczesane włosy opadające na ramiona. Nie spo-

sób przeoczyć aureoli, tym jaśniejszej, że odcinającej się od ciemnego drugiego planu.

To święty Łukasz! – nasuwa się pierwsze skojarzenie – a namalowana piękność to Najświętsza Panienka. Według bizantyjskiej legendy Łukasz był lekarzem i artystą, serdecznie przywiązanym do Maryi. Kogo by więc mogła poprosić o portret? Pewnego dnia, chyba w samo południe, przyszła odświętnie ubrana, włosy spleciała w koronę, usiadła na stołku albo stanęła przy oknie – dziś trudno zgadnąć. Rozejrzała się po pracowni, przeczytała tytuły ksiąg medycznych, wreszcie skinęła głową na znak, że można zaczynać.

Tyle razy malarze próbowali oddać tę scenę. Na obrazach Rogiera van der Weydena i Dierica Boutsy ewangelista na klęczkach szkicuje niezwykłą modelkę. Giorgio Vasari wprowadził na płótno anioły – poprawiają fałdy sukni, zasłaniają nagie stopy Dziewicy, wdzięczą się do widzów i zaczepiają świętego. Zaś Quinten Massys, Michael Damaskenos i Giuseppe Antonio Petrini mieli inny pomysł. Przedstawili artystę w chwili twórczej ekstazy i największego skupienia. Kiedy wszystkie mięśnie i zmysły podporządkowane są natchnieniu. Kiedy można się zatracić, zagubić, przepaść i się odnaleźć.

Ale to nie Łukasz maluje, tylko sam Pan Bóg, bardzo jeszcze młody. A Najświętsza Panienka skłoniła głowę, spuściła oczy, modli się albo liczy cekiny na księżycu, który upadł pod jej stopy. Ma najwyżej kilkanaście lat, twarz niemal pozbawioną kolorów, ożywioną jedynie cienkimi kreskami brwi i rzęs. Bóg rozmyślnie pozbawił ją glorii, pokazał pokorę i spokój. On na długo przed Dostojewskim rozumiał, że „Świat będzie zbawiony przez piękno”.

Anna i Joachim nie wyglądają na dobraną parę, a mimo to od przeszło dwustu pięćdziesięciu lat strzegą wejścia do kaplicy Maryjnej. Dariusz Czaja udzielił nam kiedyś „Lekcji ciemności” i wyjaśnił, że „Sztuka bywa domeną niebezpieczną: rozbija uładzone schematy myślowe, każe podawać w wątpliwość kanoniczne konstrukcje intelektualne. Jest też moralnie dwuznaczna”. Lecz Jerzy Nowosielski nie wątpił, że to właśnie „Sztuka nas zbawi”.

BARTŁOMIEJ KOZERA

MOJE KSIĄŻKI

Fizyk czy chemik uczy się z przyrody, studiuje świat. Filolog czy filozof uczy się z książek. Jako filolog z pierwszego wykształcenia, miałem kult książki, jako filozof ceniłem szczególnie książki mądre, a nie ładne, choć nie zawsze konsekwentnie. Jest kilka książek, które odcisnęły na mnie szczególne piętno. Będę mówił o książkach, które były wielkie i bliskie równocześnie. Są bowiem dzieła wielkie, ale nie bliskie, są dzieła bliskie, ale nie wielkie, a mnie interesują tylko takie, które spełniają to podwójne kryterium.

Trzy najwybitniejsze dzieła antyku to Platona „Fedon”, Arystotelesa „Metafizyka” i Plotyna „Enneady”. „Fedon” zawiera koncepcję teologii zachodniego świata. „Metafizyka” rozważa Samomyślącą się Myśl. Ale najważniejsze jest dzieło Plotyna. Szczególnie księga szósta, najgłębszy tekst antyku, idący dalej niż Stagiryta. Najwięcej razy przeczytałem „Metafizykę”. Księgę Lamda (Λ) znam niemal na pamięć. To są księgi wielkie, ale nie bliskie. Najbliższa mi jest Arystotelesa „Etyka nikomachejska”. Nic na to nie poradzę. Szczególne piętno wywarła na mnie jego koncepcja przyjaźni, bo przyjaźń zawsze jest dla niego celem, a nigdy środkiem. A z Platona najbliższa mi jest „Obrona Sokratesa”. Na wykładach cytuję z pamięci spore fragmenty, bo mnie godność mędrca ateńskiego porusza. Platona mogę czytać na okrągło. Nawet jego ironia mi nie przeszkadza. Już to powiedziałem kiedyś, że na starość za Platonem podążam, choć życie upłynęło mi w miłości do Arystotelesa.

W średniowieczu natomiast dzieła najwybitniejsze to Augustyna „O państwie Bożym”, (zaliczam go do tej epoki, choć ukształtował się na antycznych wzorcach) i Tomasza z Akwinu „Suma teologii”. I znów los spletał mi figla, bo najbliższe mi dzieło Piotra Abelarda to „Sic et non”. Będąc z natury spokojny, pokochałem niespokojnego Abelarda. Ale on mnie nauczył łagodzić spory, szukać trzeciej drogi.

Z literatury pięknej znacznie trudniej mi wskazać to, co szczególnie lubię. Jest bowiem tego sporo. W młodości zaczytywałem się Sienkiewiczem, a teraz mam go za szkodnika. I kibicuję Gombrowiczowi. Sienkiewicz nauczył mnie pisać i mówić jasno. Gombrowicz – myśleć krytycznie. Szczególnie mu dziękuję za „synczyznę”, choć w moim przypadku lepiej mówić o „córczyni”.

I poezję lubię. Tajemniczość Gałczyńskiego i sztuka słowa Tuwima, głębię myśli Norwida. Słowem, lubię wiele. A teraz czytam ciągle o ekologii. To ostatnia, mam nadzieję, moja pasja. Na starość odchodzę od ludzi, a zbliżam się ku przyrodzie. W młodości ludzie mnie ciekawili, teraz nie. Może to dlatego, że – jak Plotyn mówił – pod koniec życia wchodzimy w wieczność. Z nią związana jest pełna niepamięć tego, co było. Starość to częściowa utrata pamięci, więc takie przygotowanie do wieczności.

A ja trochę zapominam ludzi.

DYPLOM IZABELI KOZŁOWSKIEJ NAJLEPSZY W POLSCE!

INDEKSOWA GALERIA SZTUKI

W III edycji konkursu: PROJEKT EDUKACJA ARTYSTYCZNA 2015, organizowanego przez Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu i Centrum Kultury Zamek, pierwszą nagrodę przyznano **Izabeli Kozłowskiej** za pracę dyplomową pt. „Gnicie”, której promotorem jest dr Grzegorz Gajos. Tym samym już po raz drugi kapituła konkursu uznała dyplomowy projekt powstały w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Opolskiego za najlepszy w Polsce, zrealizowany na kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych w latach 2013–2014. Do finałowej wystawy zakwalifikowano 20 reprezentantów z 9 uczelni prowadzących kierunek edukacja artystyczna. Dodatkowa satysfakcja wiąże się z wyróżnieniem dyplomowej pracy teoretycznej **Anny Pytlik** pod tytułem „Interaktywne dzieła sztuki maksymalnie wykorzystujące potencjał odbiorcy” – napisanej pod opieką dr. hab. Kazimierza Ozoga.

Wystawę można było zobaczyć w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu do 29 października 2015.

<http://www.nton.pl/wiadomosci/opole/art/9023655,dyplom-absolwentki-instytutu-sztuki-uo-najlepszy-w-polsce,id,t.html>

Fot. Grzegorz Gajos



Fragment dyplomu Izabeli Kozłowskiej prezentowany w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu. Wystawa dyplomantów DYPLOMY 2014



ADAM WIERCIŃSKI

ZA SZYBKIE PISANIE (39)

Znany antropolog i eseista o dawnych cnotach polskich: *Poszukując polskich cnot, poszedłbym tropem Czesława Miłosa, który twierdził, że niewyzyskany skarbem dyskusji o polskości jest Wielkie Księstwo Litewskie. To dla mnie zupełnie niezrozumiałe, że przemilczamy te czasy. Przecież to wzór tolerancji, rozwiązywania kwestii społecznych, etnicznych, religijnych, rasowych. Językiem urzędowym był polski, ale i litewski [sic!], i łacina. W jednym świecie funkcjonowały różne style życia, dopuszczano odstępstwa, odmienności. To fenomen wart porządnego opisanie (Polacy, wolni ptacy. Z prof. Wojciechem Bursztą rozmawiała Agnieszka Kublik, „Gazeta Wyborcza” 2015, nr 263, s. 36).*

W Wielkim Księstwie Litewskim litewski język nigdy nie był urzędowym. Paradoxy historii. *Podbita Ruś podbiła Litwę* – przypominał Ludwik Kolankowski. Od czasów ks. Witolda językiem kancelarii wielkksiążęcej był ruski (interdialekt – *lingua ruthenica*), dopiero w 1697 roku sejm Rzeczypospolitej uznał język polski za urzędowy w Wielkim Księstwie. A w sąsiednich Inflantach, należących do Litwy i Korony obowiązywał i po roku 1561 ciągle język niemiecki.

Na fotografii grupa Żydów w charakterystycznych strojach i podpis: *Sztetł gdzieś na ziemiach polskich lat I wojny: ubóstwo, brak perspektyw i wierność przodkom* („Rzeczpospolita” 2015, nr 249, s. 36). Nie chciało się podpisującemu przyjrzeć uważniej, dostrzegłby wtedy w prawym rogu zdjęcia objaśnienie po niemiecku: *Czenstochau. 2.4. [19]15*. Częstochowa to tam, a nie *gdzieś na ziemiach polskich*.

Wspominałem już kilka razy o za szybko napisanej i nazbyt łagodnie ocenionej przez recenzentów wewnętrznych książce Kate Brown – *Kresy. Biografia krainy, której nie ma. Jak zniszczono wielokulturowe pogranicze* (zob. „Indeks” 2014, nr 9–10; „Pamiętnik Literacki” [Londyn] 2014, t. XLVIII); jeszcze o jednej sprawie dopisek. Na okładce *Kresów...* zdjęcie rynku miejskiego; na stronie redakcyjnej wyjaśnienie: *Fotografia na okładce: miasteczko kresowe, pierwsza połowa XX wieku, Agencja Forum*. Na okładce widać długie hale targowe, tylko

w Nowogrodzku takie były, powstały na początku XIX wieku, po przebudowie stajen poradziwiłłowskich. A co rynek w Nowogrodzku ma wspólnego z Ukrainą Sowiecką lat międzywojennych (o której pisze w swojej książce prof. Brown), pozostanie tajemnicą erudyty (internetowych?) z poważnego, uniwersyteckiego wydawnictwa.

O sławnym domu Jarosława Iwaszkiewicza na Stawisku: *W latach pięćdziesiątych Iwaszkiewiczowie znajdowali się w podobnej sytuacji finansowej jak rodziny innych pisarzy. Wprawdzie wielu oburzało się, że mieszkają w dworku [sic!] mogącym uchodzić za szlachecki, w czasie kiedy ludzie nie mają dachu nad głową w tylko częściowo odbudowanej Warszawie* (Anna Król, *Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie*, Warszawa 2015, s. 171).

Dworek to nieco większy dom wiejski z sienią na przestrzał, z gankiem od frontu. Z daszkiem ganku na kolumnkach. Czasem z łamanym dachem. To Jerzy Szaniawski miał dworek w Zegrzynku nad Narwią. A dom na Stawisku był duży, piętrowy, kilka rodzin mieszkało w nim przed wojną, a po powstaniu warszawskim znalazło tam schronienie kilkadziesiąt osób. Nazywano ten obszerny dom dworem, a czasem nawet z pewną przesadą czy przekąsem – pałacem. Irena Krzywicka wspominała w *Wyznaniach gorszytelki o schodach prowadzących do „pałacu” w Stawisku*. A uwielbiający plotki Jan Lechoń donosił Annie Jackowskiej w 1925 roku: *Hania [Anna z Lilpopów Iwaszkiewiczowa – A.W.] dostała od ojca jakieś pieniądze ze szczęśliwie przeprowadzonej parcelacji i buduje sobie piękny pałac w Podkowie*.

Józef Piłsudski pisał o sobie w 1903 roku: *Urodziłem się na wsi, w szlacheckiej rodzinie, której członkowie zarówno z tytułu starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani „bene nati et possessionati”. Jako „possessionatus” nie zaznałem długo żadnej troski o materialne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem. Zdziwiłby się zapewne, gdyby mógł przeczytać co napisano o jego rodzonym bracie, znanym etnografie, znawcy kultury dalekich Ajnów: Bronisław Piłsudski urodził się*

w Zułowie na Wileńszczyźnie, gdzie Piłsudscy mieli niewielki [sic!] majątek ziemski (Marek Borucki, *Wielcy zapomniani. Polacy, którzy zmienili świat*, Warszawa 2015, s. 306).

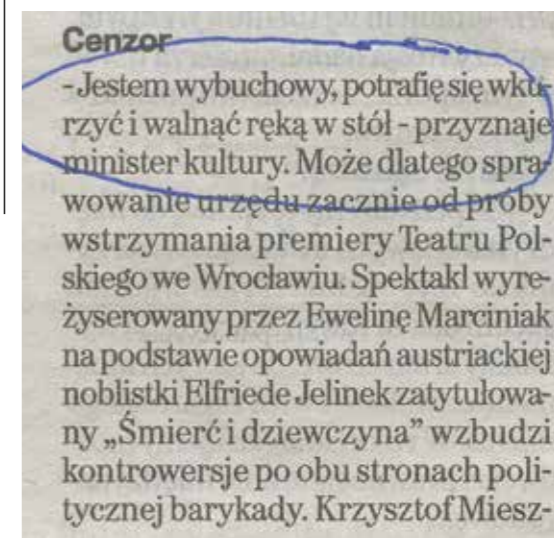
Niewielki majątek ziemski to kilkadziesiąt czy nawet kilkaset hektarów ziemi, ale nie kilka tysięcy (tyle ich było w Zułowie). Tłumaczył Wacław Jędrzejewicz: *Maria Billewicz, wychodząc za mąż za Józefa Piłsudskiego [Józefa Wincentego – ojca przyszłego marszałka – A.W.], wniosła w posagu parę majątków, liczących przeszło 8,000 hektarów. Była to więc zamożna na owe czasy rodzina, osiadła w Zułowie, gdzie Józef Piłsudski (ojciec), chociaż wszechstronnie wykształcony i zdolny, stopniowo swymi inwestycjami doprowadził swe majątki do ruiny* (Wacław Jędrzejewicz, *Józef Piłsudski 1867–1935. Życiorys*, wydanie piąte, Londyn 1986, s. 1).

Gdzie indziej o Piłsudskich z linii mosarskiej: *Ksiądz Walerian Meysztowicz wspominał, że widział jeszcze w Mosarzu zapadający w ruinę, saskie czasy pamiętający, piękny pałac Piłsudskich, piękny kościół ich fundacji* (Joanna Wieliczka-Szarkowa, *Józef Piłsudski 1867–1935. Wszystko dla Niepodległej*, Kraków 2015, s. 9).

Nie można przyjmować bezkrytycznie wszystko, co napisał ks. Walerian Meysztowicz w *Gawędach o czasach i ludziach* (wyd. zwarte, Londyn 1993). Dobra mosarskie nabyli Piłsudscy w latach siedemdziesiątych XIX wieku dopiero; pałac w Mosarzu (spalony i splądrowany w 1918 roku) zbudował w latach 1775–1790 kasztelan połocki Robert Brzostowski, klasycystyczny kościół św. Anny ufundowali w 1792 roku Anna i Robert Brzostowski.

Rozmyślenia nad hymnem: *Polacy przed takim zagrożeniem (całkowita zagłada) stawali parokrotnie, dlatego mają chyba najdziwniejszy hymn na świecie, w którym starają się przekonać wszystkich, że skoro jeszcze żyją, Polska jeszcze istnieje. Treścią polskiego hymnu jest zdziwienie samym faktem, że my, Polacy, po tym, cośmy przeszli, jeszcześmy nie zostali starci z powierzchni ziemi, co parę razy „obcy” już próbowali to zrobić* (Stefan Chwin, *Europa i „polska ksenofobia”*, „Rzeczpospolita” 2015, nr 266, s. 36).

Najdziwniejszy hymn? Przesada. Czyż nie dziwniejszy był ten o niezłomnym związku swobodnych republik (które się usamodzielniały przy najbliższej okazji)? Powstał w 1944 roku i nie przeżył półwiecza. Tylko melodia została. A *Mazurek Dąbrowskiego* to niegdysiejsza, jakże optymistyczna, poetycka polemika z oświeceniowymi



Gazeta Wyborcza 2015, nr 275, s. 12
Ministrowi kultury nie wolno się publicznie „wkurzać” (eufemizm wulgarny, zamiennik fonetyczny paskudnego słowa „wkur..ać”; minister może się najwyżej unieść gniewem albo zdenerwować

BLAŻEJ STRZELCZYK PYTA,
CZY BÓG MA EMOCJE

odpowiada

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK:

Nie ma. Nie czuje, bo „czucie” jest biologiczno-chemicznym procesem, zachodzącym w naszym ciele. Natomiast **gdy pytasz o Boga wkurzonego**, to trzeba najpierw zrozumieć, że wkurzenie jest emocjonalną reakcją na niekorzystną sytuację, która ma prowadzić do zmiany. **Mówimy, że ktoś jest nieobojętny**, gdy odczuwa taką reakcję. Przenosimy zatem na Boga, przez analogię, nasze emocjonalne pojęcia. Oczekujemy, że się emocjonalnie zaangażuje. Bez wcielenia, bez krzyża

Tygodnik Powszechny (wydanie specjalne. Kanon: Sztuka rozmowy) 2015, nr 2, s. 27. Nowy język teologii, czarny humor, czy tylko głuchota językowa?

teoriami. Wyrażał przekonanie (rewolucyjne w tamtych czasach), że naród może istnieć także bez własnej państwowości.

W pięknie wydanej, zilustrowanej ze znanostwem i ze smakiem książce o Lwowie (Ryszard Jan Czarnowski, Eugeniusz Wojdecki, *Lwów. Dzieje miasta*, Kielce 2015), nie zabrakło, niestety, i kilku łyżek dziegciu. Autorzy przypomnieli po swojemu zebranie pisarzy w okupowanym przez Sowieców Lwowie jesienią 1939 roku: *Zajrzyjmy więc do budynku Ossolineum [w ratuszu – A.W.], gdzie 28 września odbyło się zebranie inicjatywnego „nowego” związku pisarzy sowieckich. Z nadania Wandy Wasilewskiej i Jerzego Goldberga-Borejszy, zebraniu przewodniczyli: Ostap Ortwin (Oskar Katzeľenbogh) i Teodor Parnicki. Udział Ortwina – potomka żydowskiej, bankierskiej rodziny, przybyłej do Lwowa z Niemiec, dwa pokolenia wstecz, był sporym zaskoczeniem, jako że nie ukrywał on przed wojną swej pogardy dla idei komunistycznych. Mniejszym – obecność Parnickiego, który przed wojną współpracował ściśle z grupą komunistów, skupionych wokół pisma „Sgynały”. Właściwie to on prowadził zebranie. Chcąc się jeszcze bardziej legitymizować w oczach nowych włodarzy, referat założycielski przeczytał po rosyjsku i narzucił zebranym prowadzenie „dyskusji” w tym języku (s. 342).*

Pomieszanie z poplątaniem. Ortwin i Parnicki, sprawiedliwi w Sodomie, którzy nie zapisali się do nowego związku pisarzy, zostali uznani za kolaborantów. Jaka szkoda, że Autorzy książki o Lwowie (właściwe nazwisko Ortwina okazało się dla nich za trudne i za mało znane: nazywał się Oskar Katzenellenbogen, nie „Katzeľenbogh”) przebieg zebrania opisali tylko na podstawie wspomnień Beaty Obertyńskiej. Gdyby zaglądnęli do innych prac (*Inżynierowie dusz* Michała Borwicza, *Moje przygody literackie* Jana Brzozy, *Polska kultura literacka Lwowa lat 1939–1941* Mieczysława Ingłota, opowiadania Adolfa Rudnickiego, szczególnie *Wielki Stefan Konecki, Kolaboranci* Jacka Trznadła, *Mój wiek* Aleksandra Wata), to by się dowiedzieli, że było inaczej, że Oskar Ortwin i Teodor Parnicki nie splamili się kolaboracją za pierwszych Sowieców, należeli nadal do Związku Zawodowego Literatów Polskich (prezes i sekretarz), do nowego

związku nigdy nie wstąpili. Wspominał Aleksander Wat w *Moim wieku*: *Zgłosiłem się do Ortwina, gdy tylko przejechałem do Lwowa. W jego mieszkaniu był lokal dawnego Związku Literatów. Jak to się wtedy nazywało, Związek Zawodowy Literatów Polskich, sekcja lwowska, prezes Ortwin przyjmuje w takie i takie dni, sekretarz Parnicki o tej i tej godzinie. [...] Gdy założono ten org-komitet, Ortwin dostał polecenie, aby rozwiązał Związek. Nie rozwiązał. Parę razy jeszcze u niego byłem, potem bałem się już chodzić ze względu na niego i na siebie. Ale na początku, w dniach kiedy miał przyjmować, siedział i czekał na interesantów. Interesantów tych było coraz mniej, bywali, przychodzili, ale coraz mniej. Parnicki też urzędował. Nie wstąpił do nowego związku, natomiast mnóstwo endeków, po-endeków, to wszystko do związku wstąpiło, to wszystko zabiegało o dobre stosunki itd. Jacek Trznadel pisał po latach: Nie uległ szantażowi kolaboracji Ostap Ortwin, prezes lwowskiego przedwojennego oddziału Zawodowego Związku Pisarzy [powinno być: Literatów – A.W.] Polskich, ani Teodor Parnicki, który Ortwinowi sekretarował (aresztowany niedługo potem i deportowany), ani Herling-Grudziński, który zarejestrował się właśnie u Ostapa Ortwina, w przedwojennym oddziale ZZLP, a nie w sowieckim klubie. Został później aresztowany i skazany na łagier. To są istotne nazwiska w literaturze polskiej (Jacek Trznadel, *Kolaboranci. Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939–1941*, Warszawa 1998, s. 156).*

Autorzy książki o Lwowie zabawili się też, nie wiedzieć po co, w genealogów; ułożyli *bolesną listę* pisarzy należących w okupowanym Lwowie do nowego Związku, na liście znalazł się m.in. *Jerzy Putrament – przyjaciel Czesława Miłosza-Rosenthala* [sic!] z *wileńskich Żagarów* (s. 342). Pomylili Oskara Miłosza, wybitnego poetę francuskiego (pisał się tak: Oscar Vladislas de Lubicz Miłosz) o polsko-żydowskim rodowodzie (matką była Miriam z Rosenthalów), który po 1918 roku przyznał się do narodowości litewskiej i został ambasadorem Litwy, z polskim poetą Czesławem Miłoszem. Po co mylić skuzynowanych Miłoszów. Jedni byli znad Niewiaży, inni znad Dniepru. Trzeba było poczytać wspaniałą księgę Andrzeja Franaszka (tam prawie wszystko o Czesławie Miłoszu; o matce Oskara też znalazła się wzmianka).

KLEMENS RICHTER

MÓJ SEN SIĘ SPEŁNIŁ

Tekst wygłoszony podczas uroczystości wręczenia prof. Klemensowi Richterowi dyplomu profesora honorowego Uniwersytetu Opolskiego, 24 października br.

24 października br., na Wydziale Teologicznym, prof. Klemens Richter otrzymał dyplom profesora honorowego Uniwersytetu Opolskiego – decyzja o nadaniu tego zaszczytnego tytułu została podjęta przez senatorów naszej uczelni, w uznaniu zasług profesora Richtera, w tym wieloletniej współpracy z Uniwersytetem Opolskim.

Laudację z tej okazji wygłosił ks. prof. dr hab. Helmut J. Sobeczko, podkreślając znaczenie dorobku naukowego profesora (jego wykaz bibliograficzny do roku 2006 liczy 1387 publikacji, w tym 80 zwartych, dotyczących głównie teologii liturgii i jej znaczenia w posoborowej praktyce duszpasterskiej oraz posoborowych ksiąg liturgicznych i ich recepcji w Kościołach lokalnych), a także zaangażowanie w pogłębianiu więzi z Kościołem w Polsce, w tym ze środowiskiem opolskim.



Na zdjęciu (od lewej): dziekan Wydz. Teologicznego ks. prof. Tadeusz Dola, prodziekan ks. prof. Dariusz Krok, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prodziekan ks. prof. Rajmund Porada, prof. Klemens Richter (fot. Jarosław Mokrzycki)

Kiedy po raz pierwszy byłem w Opolu, w 1972 roku, i spotkałem się z biskupem Franciszkiem Jopem – krótko po objęciu przez niego rządów, po oficjalnym ustanowieniu diecezji opolskiej – wówczas, nawet we śnie, nie mogłem przypuszczać, że po 43 latach otrzymam tutaj tytuł profesora *honoris causa*, i to na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego, o powstaniu którego nikt wtedy poważnie nie myślał. To, co w tym momencie się dzieje, jest dla mnie wzruszającym wydarzeniem, czymś między snem a rzeczywistością.

Moje podziękowania kieruję najpierw do wszystkich, którzy przyczynili się do tego, że to wielkie wyróżnienie mogę otrzymać dziś z rąk Jego Magnificencji Rektora prof. Stanisława Nicieji i księdza dziekana prof. Tadeusza Doli. Powody, jakimi kierował się Wydział, przedstawił już w laudacji ks. prof. Helmut Sobeczko – mój kolega-liturgista, który z biegiem lat stał się również moim przyjacielem. Za wszystko, a zwłaszcza za Twoją laudację, dziękuję Ci z całego serca.

Dzisiejsze wyróżnienie, dotyczące przede wszystkim współpracy i wymiany między naszymi wydziałami, w Opolu i w Monasterze (Münster), przeze mnie zainicjowanej, przyjmuję również w imieniu moich wydziałowych kolegów, którzy włączyli się do współpracy, i którzy przez ostatnie dziesięciolecie, po moim przejściu na emeryturę, ją kontynuują. Dziękuję dziekanowi R. Feiterowi.

To, że nasze kontakty stały się możliwe, było czymś wyśnionym, marzeniem, mającym niewątpliwą więź z wymianą listów polskich i niemieckich biskupów, do której doszło pod koniec Drugiego Soboru Watykańskiego w roku 1965, czyli dokładnie pięćdziesiąt lat temu. Dla katolickiego Ruchu Pokoju *Pax Christi*, w którego prezydium, do roku 1980, byłem odpowiedzialny za kontakty z Polską, odpowiedź niemieckich biskupów na orędzie polskiego Kościoła z istotnym zdaniem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, nie była w pełni wystarczająca.

Członkowie stowarzyszenia *Pax Christi* w Republice Federalnej Niemiec w większości byli za kościelnym i politycznym uznaniem granicy na Odrze i Nysie, gdyż jedynie w tym widzieli możliwość rozpoczęcia pokojowego sąsiedztwa z Polską. *Pax Christi* jest organizacją kościelną, na czele której stoi biskup, a większość biskupów niemieckich musiała sprawować opiekę duszpasterską nad przesiedleńcami ze Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich, stąd organizacja wołała oficjalnie nie opowiadać się za

uznaniem granicy. Powołaliśmy zatem nowe stowarzyszenie katolików, tzw. *Bensberger Kreis*, które wydało w 1968 roku specjalne memorandum, w dużej mierze zgodne z orędziem Kościoła ewangelickiego w Niemczech z roku 1965, a które zatytułowaliśmy: „W sprawie sytuacji przesiedlonych i stosunku narodu niemieckiego do swoich wschodnich sąsiadów”. Memorandum podpisali znani intelektualiści, m.in. z kręgu profesorów, jak Karl Rahner i Joseph Ratzinger.

Pax Christi miało znaczący wpływ na zmianę świadomości niemieckich biskupów, a także całego Kościoła katolickiego w Niemczech, jeśli chodzi o politykę na drodze pojednania polsko-niemieckiego. Na szczęście, w tych ważnych dla pojednania latach prezydentem *Pax Christi* był monachijski kardynał Julius Döpfner, który – jako przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec – był decydującym partnerem w rozmowach z kardynałem prymasem Stefanem Wyszyńskim.

Wówczas mój sen zaczął się spełniać, a całkiem niewyobrażalne marzenie stawało się rzeczywistością. Pozwólcie te moje odczucia opisać słowami zmarłego przyjaciela, byłego ministra spraw zagranicznych, Władysława Bartoszewskiego, wyjętymi z jego książki *Und reiß uns den Hass aus der Seele, Die schwirige Aussöhnung von Polen und Deutschen* (Deutsch-Polnischer Verlag, Warszawa 2005), któremu wydarzenia ostatnich dziesięcioleci jawiły się również jak spełniony sen: „Gdyby ktoś w 1941 roku, mnie, jako 18-letniemu więźniowi w Auschwitz, powiedział na placu apelowym, że moimi najlepszymi i najwierniejszymi przyjaciółmi będą Żydzi żyjący na wolności i Niemcy żyjący w innych Niemczech, byłoby to dla mnie czymś niewiarygodnym. A jednak tak się stało”. Również ja jestem dziś tak szczęśliwy, jak Bartoszewski, bo ten sen, ta nadzieja, wbrew wszelkim oczekiwaniom, się spełniły.

Już bezpośrednio po podpisaniu Układu Warszawskiego, w 1970 roku, byłem w delegacji *Pax Christi* w Polsce, aby pogłębić kontakty z Klubami Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu, Toruniu i przede wszystkim w Krakowie, gdzie partnerem rozmów była Redakcja „Tygodnika Powszechnego”. Do tego doszło jeszcze Koło Poselskie Znak. Szczególnego znaczenia nabrały spotkania z arcybiskupem Bolesławem Kominkiem we Wrocławiu i z kardynałem Karolem Wojtyłą w Krakowie – byli to najbardziej otwarci na pojednanie z Niemcami polscy biskupi, zwłaszcza arcybiskup Kominek, który odpowiedzialny był za napisanie listu



Prof. Klemens Richter – profesorem honorowym Uniwersytetu Opolskiego. Na zdjęciu (od lewej): ks. abp Alfons Nossol, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Klemens Richter z żoną, ks. prof. Helmut J. Sobeczko, dziekan Wydz. Teologicznego ks. prof. Tadeusz Dola, ks. bp Andrzej Czaja (fot. Jarosław Mokrzycki)

w imieniu polskiego episkopatu, przedstawionego podczas kończącego się Soboru Watykańskiego, odegrał więc w tym pojednaniu decydującą rolę.

Następstwem tych spotkań były m.in. wspólne seminaria naukowe członków *Pax Christi* i Koła Znak – pierwszym przewodniczył profesor Bartoszewski, na terenie dawnego obozu Auschwitz. Tematyka tych seminariów koncentrowała się na psychologicznych następstwach obozu oświęcimskiego w stosunkach niemiecko-polskich, następstwach dotyczących także powojenne pokolenia. Te tzw. seminaria oświęcimskie odbywały się przez ponad dziesięć lat, naprzemiennie w Niemczech i w Polsce, a jedno z ostatnich miało miejsce w opactwie tyńskim. Spotkania te dotyczyły zawsze aktualnych tematów, np. sytuacji rodzin lub znaczenia mediów w obu krajach. Treści te, dzięki „Tygodnikowi Powszechnemu” i mediom niemieckim, wywierały wpływ na świadomość ludzi Kościoła obu naszych narodów.

Kolejnym krokiem ku pojednaniu było powołanie do życia, w 1973 roku, przez grupę niemieckich katolików, stowarzyszenia im. Maksymiliana Kolbe (*Maximilian-Kol-*

be-Werk), które do dziś robi wszystko, by pomóc byłym więźniom obozów oraz robotnikom przymusowym.

W 1972 roku, na nasze zaproszenie, doszło do pierwszej oficjalnej wizyty w RFN czołowych przedstawicieli Koła Znak. Tadeusz Mazowiecki i Mieczysław Pszon odwiedzili mnie wtedy w Münster – nie przeczuwałem wówczas, że gościć w moim domu przyszłych przywódców pierwszego wolnego rządu polskiego. W tamtych latach często bywałem w Polsce, również z gościnnymi wykładami, jako liturgista na ATK w Warszawie i na KUL w Lublinie, pełniłem także rolę listonosza, pomagając w wymianie listów między przewodniczącymi obu Konferencji Biskupich – kardynałem Juliuszem Döpfnerem i Stefanem Wyszyńskim.

Podejmując te wszystkie starania o nawiązanie porozumienia z Polakami, mieliśmy zawsze na uwadze szczególną sytuację Górnego Śląska, z jego katolicką mniejszością niemiecką. I tu ogromną pomocą służyli mi ks. Wolfgang Globisch, odpowiedzialny później za duszpasterstwo mniejszości w diecezji opolskiej, a także ks. wikary Joachim Obronzka z Bytomia, z którym później

uczęszczałem na liturgiczne seminarium doktoranckie w Münster.

Szybko zrodziła się idea nawiązania kontaktów między wykładowcami i studentami Wydziału Teologicznego w Münster i w Opolu, i to dużo wcześniej, nim w 1994 roku powstał Uniwersytet Opolski. Nie pamiętam, kiedy rozpoczęły się nasze pierwsze, regularne spotkania. Jednakże te usiłowania od 1977 r. zyskały całkowite poparcie biskupa prof. dr. Alfonsa Nossola. Tu, na opolskim Wydziale Teologicznym, nie muszę nikogo przekonywać, jakim szczęściem była i jest ta nominacja biskupa dla polsko-niemieckich stosunków, i dla wszystkich narodowości na Śląsku. Kiedy w maju 1989 roku przybyłem tu z ponad 40-osobową grupą młodych ludzi studiujących teologię, byliśmy chyba jednymi z pierwszych, którym biskup Nossol oznajmił, że na Górze św. Anny regularnie, w każdą niedzielę, będzie odprawiana msza św. w języku niemieckim.

Naturalną konsekwencją był więc wniosek o nadanie biskupowi Nossolowi tytułu doktora honorowego Uniwersytetu w Münster. Byliśmy i jesteśmy dumni z tego, że nasze wyróżnienie zostało przez niego przyjęte (uroczystość odbyła się 17 stycznia 1991 r., miałem zaszczyt wygłosić laudację). Tym wyróżnieniem chcieliśmy uhonorować – tu cytat z dyplomu: *teologa, który konsekwentnie uprawiał teologię w duchu II Soboru Watykańskiego jako służbę człowiekowi; biskupa, który przez swoją działalność stał się budowniczym mostów między Polakami i Niemcami; promotora pojednania i przebaczenia w łączności z ekumenicznie ukierunkowaną teologią*. To wszystko, przez lata, przyczyniło się do wielkiego zbliżenia między nim a mną, co poczytuję sobie za wyjątkowy zaszczyt.

W ciągu tego czasu odbyło się wiele spotkań i wspólnych sympozjów. Jedno, które odbyło się w Opolu przed dziesięć laty, pamiętam bardzo dobrze. Temat brzmiał:

„Rozum i wiara” (*Ratio et fides*), a sympozjum przewodniczył ks. prof. Dola. Wychodząc z założenia, że wiara i rozum muszą być ze sobą ściśle powiązane i nie można ich sobie przeciwstawiać, powiedziałem, że *celem każdej teologii musi być doksologia. Dociekania teologiczne to przede wszystkim refleksja nad słowem Bożym, która winna prowadzić do liturgii i modlitwy, a właściwie do doksolologii*. Oczywiście, jest to szczególne zadanie naukowca liturgisty. Może nie był to żaden przypadek, że za współpracę naszych wydziałów w pierwszych dziesięcioleciach odpowiadało dwóch liturgistów: ksiądz profesor Sobeczko i ja, jeśli mogę to nieco nieskromnie przypomnieć.

Cieszę się również, że za moją sugestią, w roku 2008, szanowany przez moich niemieckich kolegów Instytut Liturgiczny zorganizował na waszym wydziale tygodniową konferencję naukową (w Opolu i Kamieniu Śląskim) dla Stowarzyszenia Katolickich Wykładowców Liturgiki Krajów Niemieckojęzycznych. Tematem obrad była: „Liturgia w kontekstach kulturowych – reforma mszału w europejskich Kościołach lokalnych XX wieku”, była więc okazja do pokazania ok. 80 naukowcom z różnych krajów niemieckojęzycznych, jak uprawiana jest u was teologia.

Tych kilka wspomnień o różnorodnych spotkaniach i wspólnych sympozjach teologicznych obu naszych wydziałów przepełnia mnie wielką wdzięcznością. Poniekąd symboliczne wyróżnienie mnie przez wasz wydział i Uniwersytet Opolski tytułem Profesora *honoris causa* traktuję jako wyzwanie i zobowiązanie, że raz rozpoczęte działania będą kontynuowane przez moich następców.

(Tłumaczenie: ks. H. J. Sobeczko)

Sanatorium Seiffen
im Wildgrund bei Neustadt, O.-S.



Sanatorium Seiffen na pocztówce z 1910 r.

KRZYSZTOF SPĄŁEK

ZDROWOTNE HEKTOLITRY

Historia rozlewnictwa wód mineralnych ma Śląsku

Pierwsze wzmianki o napełnianiu pojemników glinianych wodą mineralną w celu jej sprzedaży pochodzą z 1514 r. z Göppingen w Niemczech. Wraz z rozwojem uzdrowisk niemieckich, w tym śląskich, gdzie mineralne wody lecznicze spożywano w ramach krenoterapii (kuracyj pitnej), zaczęto je wozić i sprzedawać w miejscowościach dalej położonych. Pierwsze przedstawicielstwa znanych uzdrowisk powstały m.in. w Pradze, Wiedniu, Norymberdze, Świdnicy. W 1789 r. sprzedano w Niemczech milion dzbanów wody mineralnej. Popularność zyskały w owym czasie także źródła sudeckie, stąd też już pod koniec XVIII w. we Wrocławiu można było nabyć lecznicze wody z Kudowy, Dusznik i Szczawna. Dynamiczny rozwój rozlewnictwa nastąpił w drugiej połowie XIX w. Prawny i największy monopol na handel w Europie miały wody Appolinaris z Göppingen (0,8 mln butelek w 1870 r., a w 1900 r. 28 mln). Założona w 1867 r. rozlewnia Mattoniego w Kiselee koło Karlovych Varów produkowała 4 mln butelek wody mineralnej rocznie.

NASTĘPCY AMFOR

Pierwszymi znanymi naczyniami do transportu wody były amfory – wypalane z gliny dzbanki kamionkowe. Naczynia zaopatrzone były w wąską gardziel. Po wypaleniu zawijano je w płótno, aby nie dostało się do nich siano lub słoma podczas transportu. Początkowo amfory były okrągłe, później graniaste, aby większa ich liczba mogła się zmieścić w skrzyniach; często zaopatrzone były w uszka. Na dzbankach wytłaczano pieczęć z nazwą wody i miejscem jej pochodzenia.

Nieprzejrzyste butelki ze szkła hialitowego pojawiły się w Niemczech w XVI w. Produkowano je w różnych wielkościach, głównie jednak o pojemności 1,5 i 2 litry. Pod koniec XIX w., dzięki rozwojowi hutnictwa szkła, masowa produkcja butelek wyparła całkowicie dzbanki kamionkowe.

Początkowo wodę do dzbanków i butelek nalewano ręcznie, z czasem, zwiększając wydajność, rozlewano je mechanicznie. Problemem europejskich uzdrowisk, jak również sudeckich, było zamykanie dzbanków i butelek



Porcelanowe zamknięcia do butelek wytwórni sztucznych wód mineralnych z Opola i Kamiennej Góry z końca XIX w.

tak, by nie ulatniał się zawarty w wodzie dwutlenek węgla. Pewną szczelność pojemników zapewniły dopiero zatyczki korkowe, które wbijano młotkiem dla lepszego uszczelnienia i obcinano wystającą część. Następnie szyjkę pokrywano pergaminem lub białą jagnięcą skórą i zanurzano w smole lub laku, i stawiano pieczęć z nazwą wody lub miejscem napełniania, a nieraz z rocznikiem. Od połowy XIX w. korek obwiązywano drutem lub odciśniano go za pomocą cynowego kapsla. Po zamknięciu butelki leżały poziomo do 24 godzin, celem sprawdzenia szczelności korka. Dużym postępem było zastosowanie pod koniec XIX w. zamknięć drucianych o wielu wzorach.

Korkowane butelki z wodą mineralną sudeckich uzdrowisk były bardzo popularne na przełomie XIX i XX w. W tym czasie pojawiły się też szklane pieczętki na butelkach, z informacją miejsca pochodzenia wody mineralnej. Można było je zakupić praktycznie w każdej pijalni wód leczniczych. Pod koniec XIX w. pojawiają się różnobarwne butelki, zazwyczaj zielone, rzadziej kobaltowe, mleczne lub bezbarwne, które obok funkcji leczniczej, pełniły również rolę pamiątek. Często, szczególnie na początku XX w., ich zdobienia nawiązywały do cech specyficznych dla danego uzdrowiska.

Pod koniec XIX w. korek zamykający butelki wód mineralnych został wyparty przez porcelanowe zamknięcie na drucianym kabłąku z gumową uszczelką, która zaciskała wylot butelki. Początkowo produkowała je jedynie firma Akt. Ges. F. Glasindustrie z Drezna. Pomimo tej innowacji trwałość butelkowanych wód była nadal niewielka. Handlarze butelek z wodą mineralną musieli płacić odszkodowania za skażone i nieświeże wody, a niesprzedane butelki rozdawano biednym za darmo. Jednakże niemiecka ekspedycja, badająca w 1883 r. środkową Afrykę, zabrała ze sobą znaczną liczbę butelek z wodą ze Szczawna, która zachowała swą świeżość podczas dwumiesięcznej podróży do Luandy w Angoli.

AQUAMODA

Na Śląsku organem nadzorującym proces rozlewania i sprzedaży wód było Collegium Medicum et Sanitatis we Wrocławiu. Do XVIII w. handel wodami mineralnymi w Prusach zwolniony był z opodatkowania, a od końca XVIII w. podlegał nadzorowi policyjnemu. Rozkaz



Ozdobna butelka wody mineralnej ze Szczawna Zdroju z początku XX w.

wydany w 1793 r. mówił, że dziekan najbliższego fakultetu medycznego miał przeglądać każdy wóz poddawany kontroli celnej i sprawdzać, czy wywożona woda jest odpowiedniej jakości. Wody w opakowaniach początkowo dostarczane były zwykle do konkretnych, zazwyczaj szlacheckich miejsc (zamki, pałace, dwory itp.), później, ze względu na modę picia tego typu wód, rozwinął się mieszczański rynek rozprowadzania butelkowanych wód mineralnych. Początkowo głównymi odbiorcami były uzdrowiska, gdzie lekarze zapisywali do kuracji pitnej także wody z innych kurortów. Często w uzdrowiskach powstawały przy pijalniach pawilony, gdzie można było kupić butelkę miejscowej wody mineralnej i zabrać ze sobą do domu lub podarować w prezencie. W 1880 r. apteka w Łądku zaopatrzona była w liczne wody mineralne, w tym zagraniczne, zwłaszcza francuskie i czeskie, a pod koniec XIX w. w dużych miastach sudeckich, m.in. Świdnicy, Jeleniej Górze, Kłodzku, zakładano specjalistyczne składy kupieckie, sprzedające wody mineralne na Dolnym Śląsku.

W 1890 r. rozpoczęto butelkowanie wody mineralnej ze źródła Georg (Jerzy) w Polanicy i jej wysyłkę. W latach 1905-1910 powstała tam nowoczesna rozlewnia wód mineralnych, która zaopatrywała w wodę mineralną całe Niemcy oraz kraje ościenne. Wodę z Jedliny w szklanych lub kamionkowych butelkach można było nabyć we Wrocławiu, Pradze i Hradcu Kralove, podobnie jak wody mineralne ze Szczawnicy, Cieplic i Kudowy. Szklane butelki o pojemności 0,27 l przechowywano na miejscu w skrzyniach po 24 lub 12 sztuk, zakorkowane, opieczutowane i zalepione smołą. Z czasem w zamykaniu pojemników osiągnięto coraz lepsze rezultaty. Równocześnie zwiększał się eksport wód europejskich. W XIX w. masowa produkcja wód oraz rozlewanie ich w powszechne już szklane butelki wymusiły postęp w technice rozlewnictwa. Oprócz saturatorów, zaczęły się pojawiać myjki mechaniczne (szczotkarki), początkowo o napędzie nożnym. Następnie zmechanizowano moczenie butelek, wprowadzono płuczarki i etykieciarki ręczne. Gdy weszły do użycia zamknięcia koronowe (kapsle), zaczęto stosować kapsłownice nożne.

OPOLSKIE BADY

Na Śląsku Opolskim wody mineralne butelkowano w zdroju w Trzebinie (Bad Wachtel-Kunzendorf) oraz w sanatorium Seiffen w Pokrzywniej. Położona koło Prudnika miejscowość Trzebinia przez wiele lat nie wyróżniała się niczym szczególnym wśród innych wiosek śląskich, jednak dzięki zdrojowi, znajdującemu się na terenie dawnego szlacheckiego majątku, w pierwszej połowie XIX w. uzyskiwała status uzdrowiska. W 1808 r. właścicielem majątku został marszałek Gebhard Blücher von Wahlstatt, a już rok później na dziedzińcu zamkowym w 1809 r. odkryto źródło wody mineralnej, która miała właściwości lecznicze.

Napotkano je przypadkowo, podczas kopania nowej studni. Zarządca majątku, który należał do zakonu Bożogrobców w Nysie – Georg Hübner doszedł do wniosku, że woda zawiera składniki mineralne i nakazał zbadać wodę przez fizyka miejskiego dr. Josefa Reimanna, a ten stwierdził w wodzie składniki mineralne. Analiza wody, przeprowadzona przez dr. Reimanna, wykazała, że w jednym funcie wody znajdowało się 6 gramów tlenków żelaza i tylko tyle kwasu węglowego, ile było potrzebne do rozpuszczenia tego żelaza. Za 120 talarów niemieckich w 1811 r. postawiono budkę z 10 kabinami kąpielowymi i z taką samą liczbą drewnianych, prymitywnych wanny i leżanek. Wkrótce źródło w Trzebinie znalazł się pod stałym nadzorem lekarza zwanego wówczas „fizykiem”. Jego umiejętności, wiadomości i kwalifikacje musiały być znacznie wyższe od wiedzy przeciętnego lekarza. Podlegali mu także inni lekarze, którzy również musieli wykazywać się kwalifikacjami, tzn. specjalizacją kliniczną. Pierwszym lekarzem uzdrowiskowym został dr Ludwig Preiss z Prudnika, który pełnił początkowo funkcję radcy sanitarnego. W 1812 r. ogłosił w *Schlesische Zeitung* swoje wyniki i doświadczenia lecznicze z okresu dwóch lat. Pisał, iż *woda była krystalicznie jasna, bezbarwna, a smak miała łagodnie ściągający, nieco musujący, potem przechodzi w łagodnie słony. Świeżo nabrańca czuć dość mocno siarkowodorem i tak samo odbija się po spożyciu.*

Jednak wciąż istniała konieczność uregulowania opieki lekarskiej nad pacjentami. Stały lekarz musiał otrzymywać wynagrodzenie, gdyż nie mógł, jak dotychczas, liczyć na dobrą wolę pacjentów lub okolicznościowe prezenty. Sprowadzono więc dr. Georga Biefela z Prudnika, który przyjeżdżał dwa razy w tygodniu. Jego wynagrodzenie wynosiło 12 talarów rocznie, oprócz tego

otrzymywał 30 kąpeli gratis i zwrot kosztów przejazdu. Po śmierci Biefela stanowisko to objął dr Paul Hübner z Głogówka, sprawujący je do 1836 r., a następnie lekarzem uzdrowiskowym został internista, a zarazem fizyk powiatowy, dr Johannes Wüstefeld z Prudnika, który pracował na tym stanowisku ponad 40 lat.

Pod koniec 1812 r. marszałek Blücher otrzymał od Hübnera 50 talarów niemieckich czystego zysku za cały rok i najprawdopodobniej z tego względu polecił mu rozpocząć przygotowania do budowy nowego domu kąpielowego. Jego budowa przeciągnęła się na kilka lat, gdyż dopiero w 1820 r., a więc już po śmierci marszałka, oddano do użytku nowy, dwupiętrowy dom zdrojowy z 22 miejscami do kąpeli w wannach i pod prysznicami. W tym samym roku oddano również do użytku nowy dom z kwaterami dla gości. Posiadał on jadalnię, salę do tańców, salę bilardową, wspólną kuchnię i 22 pojedyncze pokoje z niezbędnym wyposażeniem. W każdym pokoju była m.in. spluwaczka, nocnik, a w droższych sofa. Oprócz tego w zamku urządzono 4 pokoje rodzinne i wiele pojedynczych pokoi o łącznej liczbie 41. Była też stajnia dla koni przyjezdnych i oranżeria.

Oplata tygodniowa za pokój, w zależności od wielkości i wyposażenia, wynosiła od 12 groszy do 2 talarów i 10 groszy. Utrzymanie w gospodzie także było tanie i dobre. Całodzienny posiłek hotelowy kosztował 10 groszy, a każdy kuracjusz mógł układać sobie jadłospis według własnego uznania. Każda bez wyjątku kąpiel zażywana w wannie kosztowała 4 grosze, podobnie jak inny rodzaj kąpeli: natrysk, kąpiel kropelkowa, deszczowa lub bicz wodny. Głównie stosowano je w przypadku zwiótczenia mięśni, schorzeń ginekologicznych i okołoporodowych, nieprawidłowej menstruacji, paraliżu, chronicznych podrażnień i zaparć, schorzeń reumatycznych gośćca, dolegliwości bólowych po zagojonych ranach, hipochondrii, obrzęków kończyn dolnych.

ŚWINIE W ŁAŻNI

Już w pierwszych latach funkcjonowania zdroju pojawił się problem, który z biegiem lat stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Otóż wraz z napływem kuracjuszy, źródło odkryte w 1809 r. nie nadążało dostarczać wymaganej ilości wody, a okresowo nawet wysychało. Wobec tego uporczywie szukano nowego źródła, które, ku radości wszystkich mieszkańców, odkryto w 1817 r. w „ogrodzie

chmielowym”. Jednak do głównego źródła dotarto dopiero w 1818 r. Rok później dokonano, pod kierunkiem dr. Biefela, ocembrowania i chemicznego przebadania wody pod kierunkiem aptekarza Carla Benjamina Burgunda. Badania pozwoliły zaliczyć to źródło do gatunku wód solankowych, zawierających siarkę oraz związku żelaza. W 1823 r. w publikacji *Nachrichten über die neue Heilquelle zu Kunzendorf bei Neustadt in Oberschlesien* (Wiadomości na temat nowego źródła leczniczego w Trzebinie koło Prudnika na Górnym Śląsku) zamieszczono dokładny skład chemiczny wody odkrytej w nowym źródle.

Od samego początku istnienia uzdrowiska Bad Wachtel-Kunzendorf nie oszczędzono kosztów i wysiłku, aby spopularyzować ten zdroj i zapewnić w ten sposób jego dalszy rozwój. W 1831 r. lekarz uzdrowiskowy dr Paul Hübner opublikował w „Schlesische Provinzialblätter” informacje na temat kąpieliska w Bad Wachtel-Kunzendorf, a w 1876 r. dr Johannes Wüstefeld przypomniał istotę leczniczą „Źródła Blüchera”, zamieszczając artykuł pt. *Das Mineralbad Kunzendorf* (Kąpielisko mineralne Kunzendorf) i od tego czasu przez wiele lat nie pojawiła się żadna informacja poświęcona temu uzdrowisku.

Od tego momentu zauważa się powolny zastój w rozwoju zdrojowiska i kąpieliska, do czego przyczyniła się silna konkurencja ze strony innych sudeckich uzdrowisk. W 1906 r. w łożysku potoku odkryto kolejne źródło żelaziste, a na dnie stawu źródła bogate w dwutlenek węgla. Zaczęto ją wtedy butelkować i sprzedawać na całym Śląsku. Na początku XX w. rozpoczął się regres tego miejsca, jednak uzdrowisko funkcjonowało do 1945 r.

Po drugiej wojnie światowej zdroj w Trzebinie uległ systematycznej dewastacji. Właściciel utworzonego na jego terenie PGR-u założył w budynkach łaźni hodowlę świń. W 1994 r. dokonano kolejnych badań składu chemicznego wody z dwóch studni znajdujących się na terenie byłego uzdrowiska i ustalono, że jest to woda o właściwościach leczniczych (1907,3 i 1002,8 mg/l składników mineralnych).

WODA Z BĄBELKAMI

Sanatorium Seiffen było początkowo drewnianą chałupą położoną w dolinie Bystrego Potoku, którą w 1906 r. przedsiębiorczy murarz Ferdinand Nickel kupił od weterana wojennego Franza Grossa i uruchomił w niej

gospodę z atrakcyjnym ogrodem dla licznych turystów, idących znakowanym szlakiem na Biskupią Kopę. W sąsiedztwie gospody wypływało źródło, którego woda wykazywała ponoć właściwości lecznicze, stąd też Nickel w niedługim czasie nazwał swe obejście Sanatorium Seiffen, od dawniej nazwy doliny Bystrego Potoku – Seiffental, pochodzącej od średniowiecznego słowa seiffe, które określało miejsce płukania złota.

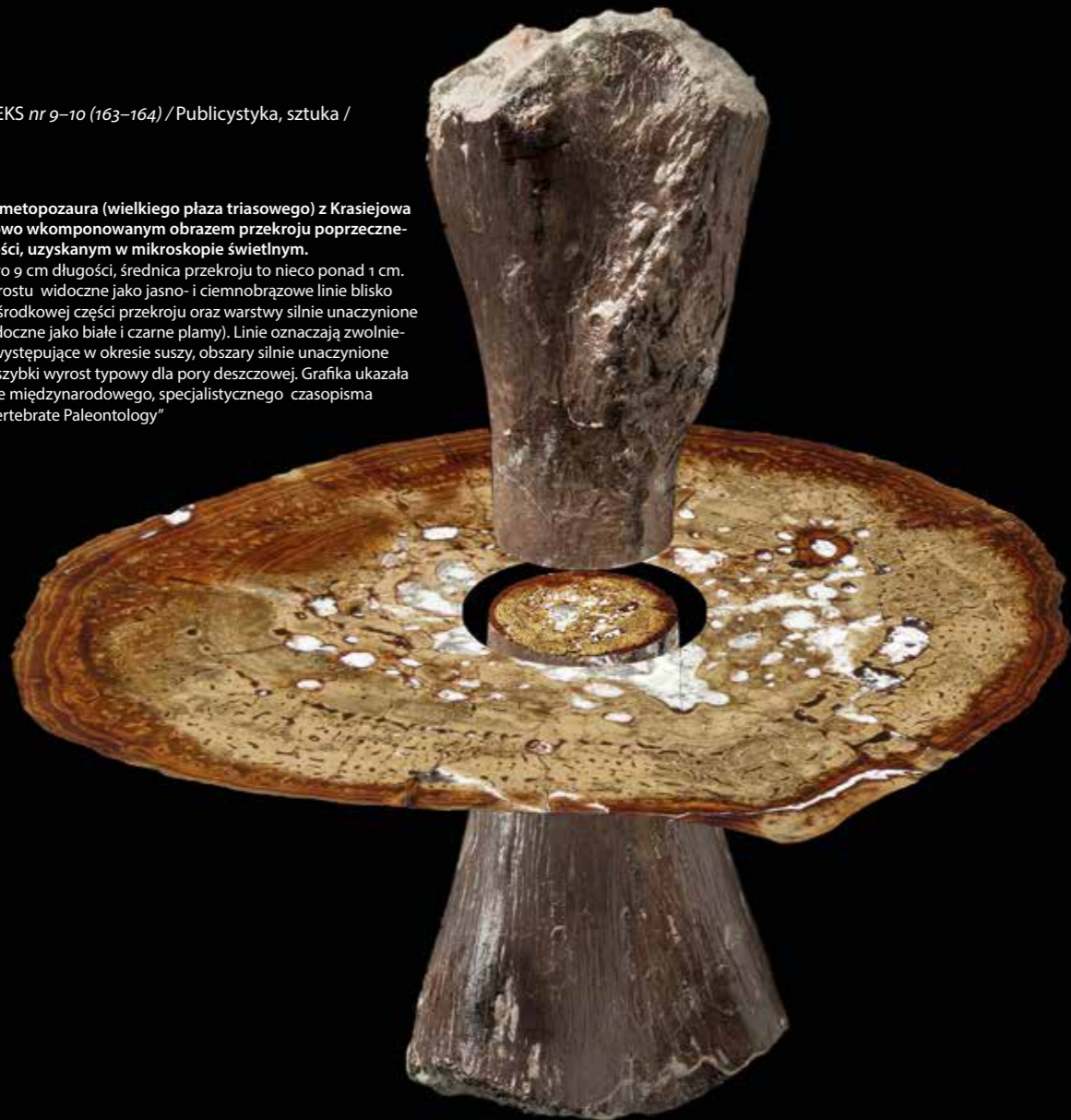
Przez krótki okres wykonywano w nim lecznicze kąpiele i prysznic. W tym celu zostały zakupione wanny metalowe oraz, dla gości uboższych, balie z drewnianych klepek. Do Sanatorium Seiffen przyjeżdżali kuracjusze ze schorzeniami układu ruchu, reumatyzmem i ogólnym osłabieniem. W sanatorium zadbano nie tylko o leczenie pacjentów, ale również o dobre wyżywienie i urozmaicenie wolnego czasu. Organizowano przejażdżki po okolicy, jazdy konne, polowania i koncerty orkiestry. Skuteczność leczenia nie była chyba jednak najlepsza, skoro szybko zaprzestano praktyk leczniczych. Przez dłuższy czas właściciel sanatorium butelkował i sprzedawał tutejszą wodę, zachwalając jej cudowne właściwości lecznicze. Woda ta cieszyła się ogromną popularnością wśród licznie odwiedzających te okolice turystów i kuracjuszy. Niestety, z powodu sąsiedztwa wielu bardziej znanych zakładów leczniczych, Sanatorium Seiffen nigdy nie rozwinęło się w pełni i nie miało też szans na dłuższe utrzymanie.

Od końca XIX w., dzięki butelkowaniu wód, rozpoczęła się wielka moda na krenoterapię, która spowodowała również powstanie licznych wytwórni sztucznych wód mineralnych – *Mineralwasserfabrik*. Najczęściej były one tylko nasycane dwutlenkiem węgla, rzadziej dodawano do nich związki chemiczne, występujące w naturalnych wodach mineralnych, produkując sztuczne pochodzenia, wysoko zmineralizowane wody lecznicze. Jako jedne z pierwszych wytwórni wód mineralnych na Śląsku powstały pod koniec XIX w. w Opolu, Brzegu oraz Kamiennej Górze – Wilhelm Vogt. Właścicielem opolskiej wytwórni był Fedor Heymann, brzeskiej – Victor Doering, a w Kamiennej Górze – Wilhelm Vogt. Na początku XX w. do największych wytwórni wód mineralnych należał zakład w Lubaniu, którego właścicielem był kupiec, a następnie fabrykant wody mineralnej Hermann Just, oraz w Chocianowie, gdzie produkował ją aptekarz Paul Bach.

W połowie XX w. wody nasycane dwutlenkiem węgla w Polsce zwane były wodą sodową i były jedynymi, zazwyczaj, wodami mineralnymi na rynku.

Kość udowa metopozaura (wielkiego płaza triasowego) z Krasiejowa z komputerowo wkomponowanym obrazem przekroju poprzecznego trzonu kości, uzyskany w mikroskopie świetlnym.

Kość ma około 9 cm długości, średnica przekroju to nieco ponad 1 cm. Znaczniki wzrostu widoczne jako jasno- i ciemnobrązowe linie blisko krawędzi i w środkowej części przekroju oraz warstwy silnie unaczynione (naczynia widoczne jako białe i czarne plamy). Linie oznaczają zwolnienie wzrostu występujące w okresie suszy, obszary silnie unaczynione wskazują na szybki wzrost typowy dla pory deszczowej. Grafika ukazała się na okładce międzynarodowego, specjalistycznego czasopisma „Journal of Vertebrate Paleontology”



DOROTA KONIETZKO-MEIER

DRUGIE ŻYCIE MARTWYCH KOŚCI

Każdy oglądał albo przynajmniej słyszał o filmie „Park Jurajski” i jego najnowszej odsłonie – „Jurassic World”. Jurajskie filmy wzbudzają gorące emocje nie tylko wśród miłośników sensacji w kinie, fanatycznych sympatyków dinozaurów, ale również wśród poważnych naukowców. Całkiem niedawno na forach, tych popularnych, i tych naukowych, głównym tematem dyskusji były pióra, a raczej ich brak u dinozaurów filmowych. Ostatnie doniesienia wskazują bowiem, że teropody były opierzone i do tego kolorowe! Proszę sobie więc wyobrazić ikonę paleontologii popularnej: wielkiego i groźnego tyranozaura, okrytego błękitno-czerwonymi piórami. Czyż nie odbiera to królowi jego grozy i dostojności? Czy ten

szary, łuskowaty potwór, do którego się przyzwyczailiśmy, był w istocie kolorową, pierzastą przytulanką? Nic bardziej mylnego, na szczęście zmiana wizerunku nie zmieniła charakteru króla i T-rex pozostaje T-rexem, zachowując swoją pozycję władcy dinozaurów. Ale na poważnie, czy zastanawiali się państwo, skąd filmowcy wiedzieli, jak wyglądały dinozaury: czy ich filmowy wizerunek to czysta fantazja, czy też ma jakieś podstawy naukowe?

Na podstawie wielkości i morfologii kości można odtworzyć wygląd zwierzęcia, zęby natomiast zdradzą nam, w jaki sposób się odżywiało. Ale czy możemy określić, ile lat miało dane zwierzę, jak szybko rosło, w jakiej kondy-

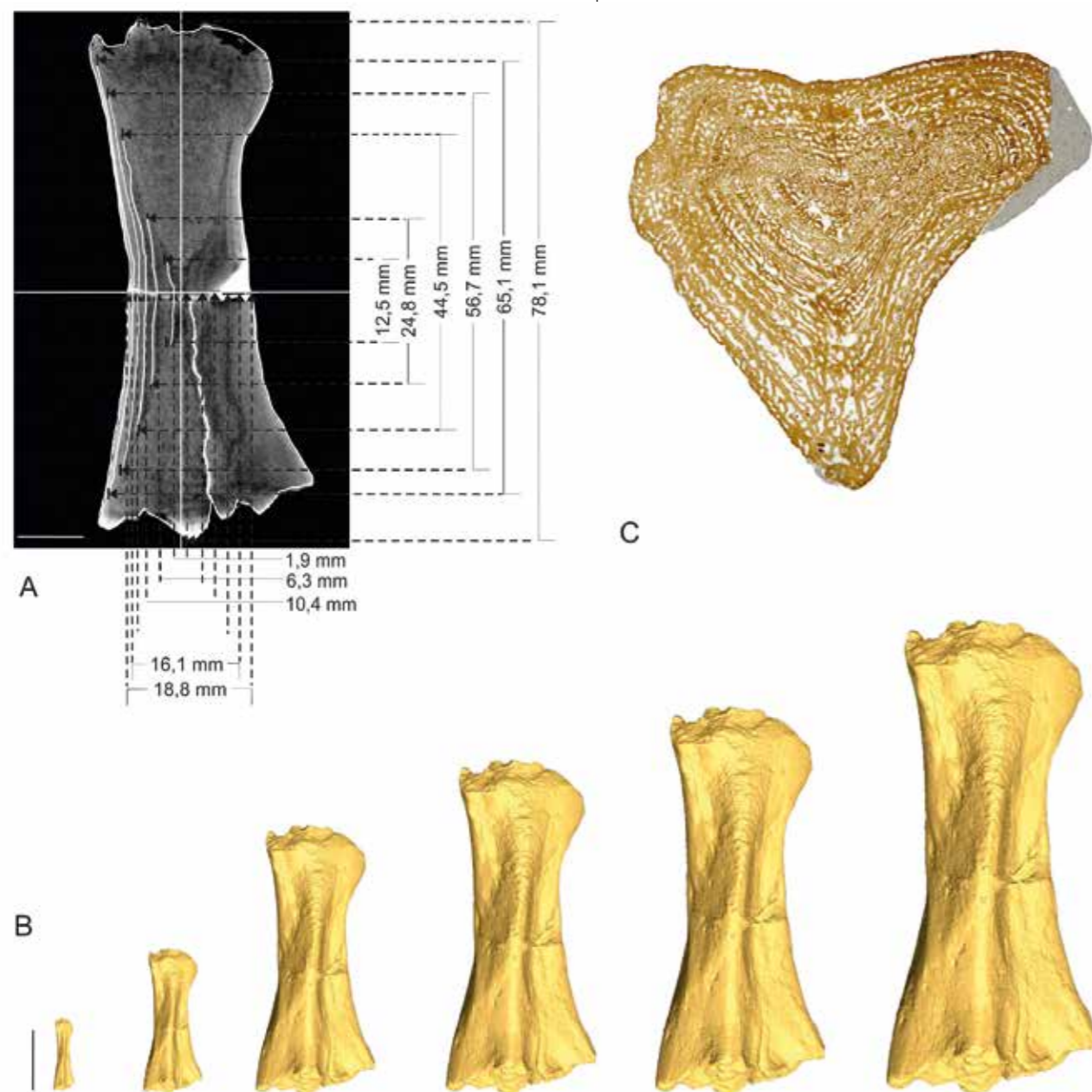
cji zdrowotnej było? Możemy! Okazuje się bowiem, że struktura wewnętrzna kości ujawnia wiele tajemnic życia ich właścicieli. Dziedzina, która rozszyfruje znaczenie sygnałów ukrytych w mikroanatomii kości i zębów kopalnych kręgowców jest paleohistologia. Sama histologia, czyli nauka opisująca budowę komórkową tkanek, jako nauka jest prawie tak stara, jak mikroskopy umożliwiające jej badanie. W XIX wieku każdy szanujący się badacz natury, oprócz cech morfologicznych żywych organizmów, standardowo badał mikroskopową strukturę roślin i zwierząt. Do badania histologii kości mikroskop został po raz pierwszy wykorzystany przez austriackiego anatoma Josefa R. Schaffera (1861–1939). Historia paleohistologii rozpoczyna się w momencie, kiedy Richard Owen, opisując w 1861 roku dinozaury, włożył pod mikroskop skrawek kości jednego z nich – scelidozaura (*Scelidosaurus*). Ale rozwój paleohistologii jest zasługą włoskiego profesora Rodolfo Amprina (1912–2007), który zaczynał swoją karierę w Turynie, zajmując się biologią porównawczą kręgowców i histologią kości. Koronnym dziełem Amprina jest opublikowana w 1947 roku *La structure histologique de l'os envisagée comme expression de différences dans la vitesse de l'accroissement* – opisał w niej histologię kości kopalnych płazów i owodniowców. Istotna dla rozwoju paleohistologii była również tzw. niemiecka szkoła histologiczna, stworzona przez Franza Weidenreicha (1873–1948) i Waltera Roberta Grossa (1903–1974).

Po latach wczesnej fascynacji, późniejszy rozwój biologii molekularnej i genetyki przyćmił znaczenie histologii w ogóle – jako staromodnej i niewnoszącej niczego nowoczesnego do nauki. Histologia, a razem z nią paleohistologia, została sprowadzona ponownie do roli nauki uzupełniającej badania morfologiczne i anatomiczne. Dopiero w latach 60. XX wieku zaczęto dostrzegać, że w kościach są zakodowane również inne informacje, nie tylko te przydatne w diagnostyce medycznej. I – co najważniejsze – informacje te mogą przetrwać miliony lat w niezmięnionej formie, dostarczając wiedzy o historii życia danego osobnika. Jest to potencjał niedostępny przy zastosowaniu klasycznych badań morfologicznych. Paleohistologia odkrywa bowiem zupełnie nowe oblicze kopalnych zwierząt, pozwala badać ich historię na poziomie osobniczym: określić wiek zwierzęcia w momencie śmierci, prześledzić szybkość wzrostu, stan zdrowotny, pozwala pośrednio wnioskować o środowisku, w którym zwierzę żyło, o pokrewieństwach i o ścieżkach ewolucji.

Pojawił się jednakże problem: jak przetłumaczyć te skomplikowane, skamieniałe układy komórkowe na język życia? Bo mimo że skamieniałe kości badano mikroskopowo od niemal wieku, wciąż nie prowadzono systematycznych, przekrojowych badań bazujących na większej liczbie okazów. Dotychczasowe badania były raczej przypadkowe, oparte na fragmentach kości, często o wątpliwej przynależności taksonomicznej, więc wszelkie generalizacje i uogólnienia były dość wątpliwe. Pionierem nowoczesnej paleohistologii jest paryski profesor Armand de Ricqlès, który wyprowadził ją z poziomu badań ciekawostkowych, dodatkowych – do rodziny nauk podstawowych, stworzył też podstawy interpretacji skamieniałych tkanek.

Najbardziej interesujące naukowo są kości niessaków, w szczególności płazów kopalnych i gadów, a więc również dinozaurów! Kość ssaków jest biologicznie kością wtórną, czyli silnie przebudowaną. Kość pierwotna, najbogatsza w zapis dziejów, u ludzi i u większości ssaków występuje bowiem tylko w okresie płodowym i bardzo wczesnie ulega przebudowie. Nie oznacza to jednak, że z punktu widzenia paleohistologii kość wtórna jest zupełnie nieprzydatna – wymaga ona jednak innej metodologii czytania. Ale to właśnie kości dinozaurów są najlepiej poznane histologicznie wśród kopalnych kręgowców. Wynika to z dwóch głównych powodów. Powód pierwszy: dinozaury są grupą unikatową pod względem biologii – to do niej należały największe żyjące na Ziemi kręgowce, które ze względu na rozmiary musiały wytworzyć specyficzne adaptacje w zakresie budowy szkieletu i fizjologii. Paleohistologia pozwoliła znaleźć odpowiedzi na wiele czysto biologicznych pytań, jak stałocielność, tempo wzrostu, wytrzymałość mechaniczna szkieletu takich olbrzymów czy długość ich życia. Powód drugi jest bardzo prozaiczny: dinozaury były i są medialne – więc po prostu łatwiej znaleźć fundusze na ich badanie. Paradoksalnie (ale i korzystnie dla nas, o czym później) prawie zupełnie nieznana jest histologia kości wielkich płazów kopalnych.

Jak jednak interpretować zapis widoczny w kościach? Na przestrzeni lat okazało się, że najlepsza do badań historii życia jest kość udowa. Jest to kość stosunkowo wczesnie kostniejąca podczas tworzenia szkieletu, zawiera więc najdłuższy czasowo zapis życia zwierzęcia. Jest również kością anatomicznie stosunkowo prostą, więc zaburzenia zapisu, wynikające z przebudowy struktury kości podczas wzrostu, są też najmniejsze. Po ustabilizo-



Przykład zastosowania nowoczesnych technologii w badaniach histologicznych

Kość udową triasowego płaza plagiozaura zeskanowano przy użyciu rentgenowskiego mikrotomu komputerowego. Na rycinie A) widoczny jeden z 1200 uzyskanych obrazów przekroju podłużnego kości. Zachowanie kości było na tyle dobre, że w technice rentgenowskiej znaczniki wzrostu widoczne były jako białe linie. Umożliwiło to dokładne określenie wielkości kości w poszczególnych latach i szybkości jego wzrostu. Po odpowiedniej obróbce komputerowej możliwe też było przygotowanie trójwymiarowego schematu rozwoju kości (B) od około pierwszego roku życia do śmierci zwierzęcia po szóstych urodzinach (skala - 1 cm). Mikrografia C) przedstawia klasyczny szlif poprzeczny wykonany z trzonu tej samej kości. Pewne cechy histologiczne wskazują, że zwierzę nie osiągnęło jeszcze maksymalnej wielkości.

waniu naszej eksperymentalnej kości w żywicy, należy wykroić ścinę w przekroju poprzecznym (jak plasterek ogórka) ze środka trzonu kości, a więc w miejscu, gdzie w ontogenezie zaczyna ona swoje kostnienie. Pobrany wycinek szlifuje się do pożądanej grubości, najczęściej około 130 do 180 mikrometrów, uzyskując tzw. szlif cienki. I w zasadzie można przystąpić do obserwacji...

Czego można się dowiedzieć? – tak naprawdę interpretacja każdego slajdu jest bardzo indywidualna i zależy od wielu czynników. Najogólniej jednak mówiąc: u zwierząt zmiennocieplnych mamy szansę zaobserwować znaczniki wzrostu, widoczne jako różnie zorganizowane pierścienie tkankowe. W najbardziej klasycznej postaci możemy obserwować regularnie następujące po sobie sezonowe zahamowania wzrostu, widoczne jako ciemne linie, tkankę bogato unaczynioną, odpowiadającą strefom szybkiego wzrostu oraz strefy przejściowe (mniej unaczynione), obrazujące zwolniony przyrost. Strefy zahamowania wzrostu odpowiadają niekorzystnym dla danego zwierzęcia warunkom życia, np. z powodu zbyt wysokiej lub zbyt niskiej temperatury, powodzi czy suszy, albo niedoboru pokarmu. Wysoko unaczyniona tkanka rośnie bardzo szybko, co oznacza, że zwierzę miało optymalne dla siebie warunki wzrostu. U zwierząt zmiennocieplnych wahania tempa wzrostu są najczęściej zależne od pogody. Na podstawie liczby i grubości poszczególnych pierścieni możemy wnioskować pośrednio o wieku osobniczym (liczba cykli: szybki wzrost – brak wzrostu) i o lokalnym klimacie (grubość danej strefy oznacza długość danej pory roku). Wszelkie stany chorobowe są widoczne bezpośrednio w samej histologii (np. regeneracja po złamaniach) lub jako zaburzenia regularności cyklu wzrostowego. Pusta jama szpikowa i cienka, kompaktowa kora kości są typowe dla zwierząt lądowych, natomiast jama szpikowa wypełniona kością gąbczastą (nie tylko w nasadach kości) i porowata kora kości są typowe dla zwierząt wodnych. Wśród zwierząt wodnych wyraźne zgrubienia kory kości, prowadzące do zaniku jamy szpikowej, świadczą o powolnym i dennym trybie życia, podczas gdy ekstremalnie gąbczasta kość jest typowa dla aktywnych pływaków.

Porównując histologię grup spokrewnionych, ale żyjących w różnym czasie geologicznym, możemy wnioskować o ewolucji danego taksonu, wykształcaniu adaptacji do danego środowiska, itp. Porównując kości należące do jednego gatunku, możemy prześledzić rozwój ontogenetyczny danego organizmu, określić, w jakim wieku

zwierzęta osiągały dojrzałość płciową czy kiedy przestawały rosnąć, czasami można nawet określić płeć danego osobnika. Musimy jednak pamiętać o statystyce – aby móc określić jakikolwiek trend i odróżnić zdarzenie przypadkowe od tendencji, musimy dysponować odpowiednio dużą liczbą zdarzeń. W paleontologii jest to niezwykle trudne, bowiem niektóre taksony są znane z pojedynczych kości, i to w zasadzie stanowi główny faktor hamujący rozwój badań paleohistologicznych. Paleohistologia w swojej klasycznej postaci ma bowiem jedną wielką wadę – prowadzi do mniejszego lub większego uszkodzenia okazu. Oczywiście, przy obecnych możliwościach technicznych i rekonstrukcyjnych uszkodzenia można zminimalizować i zamaskować do poziomu niewidocznego gołym okiem. Jednakże sama świadomość poświęcenia okazu dla badań paleohistologicznych (w domyśle – narażenia okazu na uszczerbek) wzbudza u kuratorów kolekcji paleontologicznych nieopanowany (i w zasadzie zrozumiały) odruch sprzeciwu. W konsekwencji badania paleohistologiczne są wciąż dość elitarną dziedziną. Kuratorzy, jeżeli zgadzają się poświęcić okrusz swoich skarbów, powierzają analizy tylko uznanym ośrodkom naukowym (a tych jest bardzo niewiele w świecie) – bo to daje gwarancję efektywnego wykorzystania materiału.

Nasza uczelnia ma to szczęście, że niedaleko Opola, w Krasiejowie, odkryto bogate złoża kostne triasowych kręgowców. Ogromna liczba kości otwiera zupełnie nowe możliwości badawcze triasowej fauny, w tym również możliwość prowadzenia seryjnych badań paleohistologicznych, zakrojonych na skalę nieznaną dotychczas na świecie. Szczęśliwie dla nas, badania paleohistologiczne kopalnych płazów, tych dominujących w Krasiejowie, właśnie ze względu na znikomą ilość dostępnego materiału, praktycznie do tej pory nie istniały. Wykorzystując ten fakt, przy współpracy z ośrodkami z Niemiec i Francji, w Opolu rozwija się obecnie jeden z przodujących w świecie ośrodków badania struktury kości tej grupy.

Fascynacja i próba rozwikłania tajemnicy życia, zaktualizowanej w kościach, trwa od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. I mimo że obecnie paleohistologia korzysta nie tylko z pomocy klasycznego mikroskopu świetlnego, ale sięga po wysoko rozwinięte technologie, jak mikroskopia elektronowa, mikrotomografia komputerowa czy cyklotrony, wciąż jeszcze wiele starych pytań pozostaje bez odpowiedzi, a nowe ustalenia rodzą nowe pytania.

W tym budynku przy ul. Krakowskiej do niedawna mieściły się „Delikatesy” (rys. autor)



ANDRZEJ HAMADA

ZACOFANIE I WODA OGNISTA W POSTĘPIE

W czasach budowy socjalizmu ważną rolę odgrywały kolejne budowle, które miały świadczyć o wyższości tego ustroju nad kapitalizmem. A więc dużo propagandy, terminy oddawania inwestycji na święta państwowe, nieustanne poszukiwanie oszczędności. A jednocześnie częste „braki mocy przerobowej”, „wyskakiwanie inwestycji z planu”, jakieś prekluzje i poślizgi, no i oczywiście roboty dodatkowe oraz nieprzewidziane koszty. To wszystko mściło się, bo bywały wpadki, kompromitacje.

Spektakularna wpadka miała miejsce przy budowie krytej pływalni w Opolu, przy ulicy Ozimskiej („Akwarium”). Obiekt sztandarowy, pierwszy w historii basen kryty w Opolu, oddanie go do użytku było więc wielkim wydarzeniem w dziejach miasta. Zaprojektowany przez warszawskie biuro specjalistyczne, z nowatorską konstrukcją przekrycia hali basenu i zastosowaniem kablobetonu (zbrojenie żelbetu wstępnie sprężane). Pośpiech, termin oddania na wielkie państwowe święto. Tylko że zamówione agregaty klimatyzacyjne miały inne terminy dostaw. Nie zdążyły, a pływalnia musi być otwarta. Pod naporem chwili inwestor instaluje agregaty zamiennie, o znacznie mniejszej wydajności, ale też i dużo tańsze. Pływalnia w terminie otwarta, olbrzymi sukces! Opole szczęśliwe i rozgłos na całą Polskę.

Szczęście trwało osiem lat. Inwestor, w glorii sukcesu, pozostawił zamontowane naprędce agregaty, bo działały dobrze. Ale nagle okazało się, że w kablobetonie nad basenem postępuje groźny proces rdzewienia stali, są już duże wżery, dach grozi zawaleniem. Ekspert z Wrocławia nie dawał gwarancji, pływalnię zamknięto. Wyłączenie z eksploatacji trwało jakieś trzy lata. Wykonano trudny i kosztowny zabieg: przy każdej belce sufitu dodatkowy naciąg kablowy, w szczelnej rurowej osłonie. I pływalnię cichcem ponownie otwarto.

Zbudowany w 1959 roku w eksponowanym miejscu, przy placu Wolności, budynek mieszkalny z kawiarnią „Teatralna” wyposażono, ze względów oszczędnościowych, w ogrzewanie piecowe. Centrum miasta wojewódzkiego, dwudziesty wiek, pełna nowoczesność, a tu... piece kaflowe. I noszenie węgla z piwnicy na piętra, pieszo, bo do pięciu kondygnacji wind nie budowano. Mieszkańcy

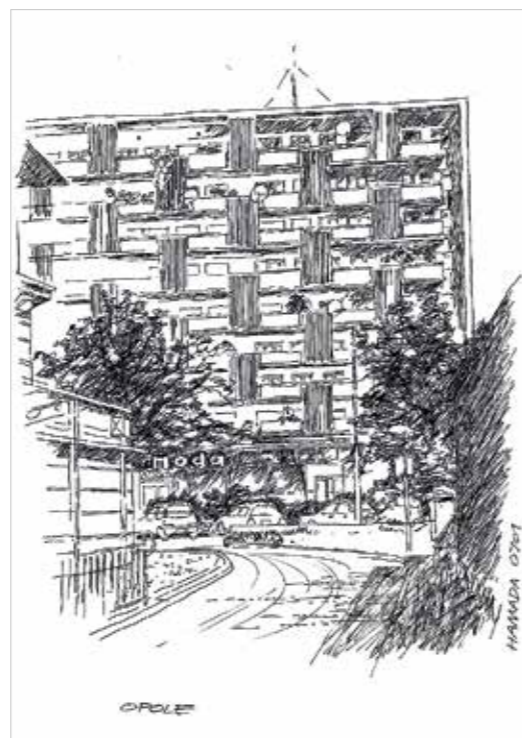
latami się męczyli, przeklinali budowlanych; co sprytniejsi wmontowywali w paleniskach grzałki gazowe i elektryczne. A że projektantami budynku byli nasi opolscy architekci – Stanisław Chałupnik i Jerzy Chrzanowski, ich koledzy zaraz dowcipkowali, że zaprojektowana chałupa została schrzanią.

Blamażu udało się uniknąć przy oddawaniu do użytku reprezentacyjnej restauracji „Festiwalowa” w nowo wzniesionym budynku „Akwarium” przy ulicy Kościuszki. Koniec robót, wnętrza piękne, termin otwarcia przewidziany na święto państwowe – tuż-tuż. Komisja odbioru liczna, w pełnym składzie: inwestor, wykonawca, projektanci, władza budowlana, jakieś związki zawodowe, i bhp, i sanepid. I kominiarz. Kiedy behapowiec zapytał o dźwig (bo kuchnia jest w piwnicy, a lokal na parterze z dużą antresolą, to razem trzy kondygnacje i dźwig musi być dla transportu potraw) – inwestor potwierdził istnienie, wskazując w ścianie drzwiczki do urządzenia dźwigowego. I już by było po wszystkim, ale docieklivy behapowiec poprosił o otwarcie i pokazanie tego dźwigu. A za drzwiczkami pusto, bo dostawca urządzenia miał swoje plany i swoje terminy. Behapowiec stanowczo odmówił zgody. Zarządzono więc krótką przerwę dla zapoznania służbisty z dokumentacją i zaproszono go do biura. Po przerwie wychodzący z biura pan inspektor bhp, w dziwnie pogodnym nastroju (przekonująca musiała być ta dokumentacja) oznajmił, że w drodze wyjątku zgadza się na otwarcie lokalu, wyjednał bowiem dodatek pieniężny dla kelnerki za uciążliwe warunki pracy, czyli noszenie potraw po schodach. I lokal w terminie otwarto.

Udało się w latach 60. uniknąć blamażu związanego z budową „oszczędnych” domów mieszkalnych według wzoru gdańskiego (osiągnięto tam rekordowo niski w skali krajowej koszt jednego metra powierzchni użytkowej). Akurat mnie, niejako z urzędu, przypadło w udziale być delegowanym do Gdańska, by rozpoznać przyczyny „gdańskiego sukcesu” w celu przeniesienia ich na nasz opolski grunt. Okazało się na miejscu, że cała tajemnica tkwi w rezygnacji z podpiwniczenia budynku. Ale: budynki wysokie, tzw. punktowce, brak komórek piwnicznych, więc mieszkańcy własnym sumptem po-



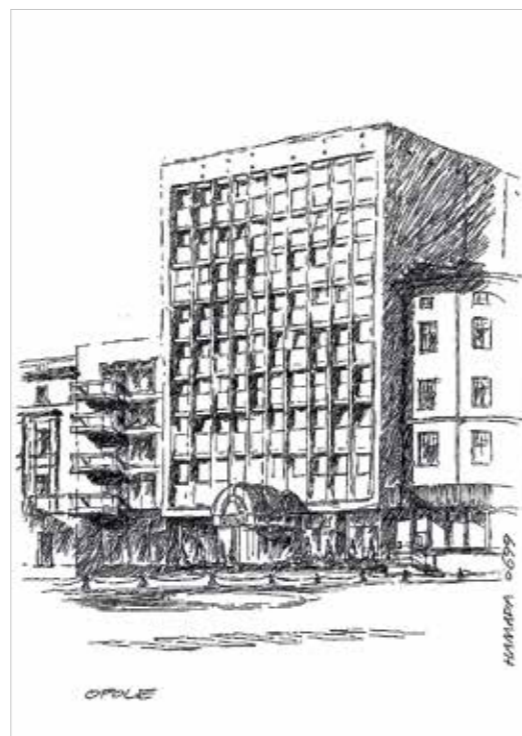
Wieżowce przy ul. Książąt Opolskich (rys. autor)



„Akwarium” przy ul. Kościuszki (rys. autor)



Budynek przy pl. Wolności (rys. autor)



Hotel „Mercure” (rys. autor)

budowali całe ciągi drewnianych komórek wokół budynków. I zaraz przyjęła się żartobliwa nazwa tych domów: dookołakomórkowiec zamiast dotychczasowych – wieżowiec czy punktowiec. Po mojej krytycznej relacji władze wojewódzkie zrezygnowały z wprowadzania u nas doświadczeń gdańskich.

Przy okazji mojego wyjazdu służbowego do Gdańska byłem świadkiem małego blamażu lotniczego. Leciałem pierwszy raz po wojnie samolotem z Wrocławia do Gdańska, był to niewielki „Antek”, wewnątrz jak w autobusie; oczekiwałem – znając takie sytuacje z filmów – ukazania się pięknej stewardessy. Nie było jak w kinie. Kiedy ktoś z pasażerów wezwał obsługę, drzwi od kabiny pilota zgrzytnęły, wyłoniła się głowa faceta i usłyszeliśmy: „I czeeeego!”

Humorystycznie zakończył się komisyjny odbiór dużego malowidła ściennego na placu Wolności. W pośpiechu porządkowano i dekorowano cały plac, bo tu będzie stała trybuna 1-majowego pochodu. Na nowym, świeżo otynkowanym murze obok Filharmonii, opolscy plastycy namalowali piękne kolorowe paneau. Rewelacja! W komisji odbioru brylowali prominenci, a jakże, partyjni. Na ogół się podobało, ale któryś z działaczy zapytał, co to malowidło ma właściwie przedstawiać (bo było nietematyczne, jakieś tęczkowe esy-floresy zamiast przyzwoitego robotnika czy chłopca). I wtedy zabrakł głos sam Władysław Początek, już wówczas nestor opolskich plastyków, prezes ZPAP: „Tu, ten wielki łuk z lewej strony, to jest, towarzysze, tęcza wschodzącego socjalizmu”. „A co to ma być tam z prawej, na dole, te plamy?” – zapytał jeszcze notabl, wskazując brudne wykwyty na świeżym tynku. „A to są, towarzyszu, resztki gnijącego kapitalizmu” odparł niezbity z pantałyku prezes Początek.

Brałem kiedyś udział, jako projektant, w komisji odbioru nowej piekarni w małym miasteczku na Opolszczyźnie. Na zakończenie szczęśliwego odbioru inwestor przygotował dla szanownej komisji niespodziankę: pierwszy uroczyście wypiek. Otwiera drzwiczki pieca, a tu obok bułek i chleba... Iśniące kiszki i kiełbasy. Pierwszy wypiek i zakrapiany odbiór były wielce udane.

Jako projektant dużej wytwórni wód gazowanych w Postępie pod Częstochową uczestniczyłem w posiedzeniu KOPI, czyli Komisji Oceny Projektów Inwestycyjnych w Warszawie; zatwierdzane miały być założenia projektu i koncepcja architektoniczna. Inwestor z Częstochowy obawiał się o losy inwestycji ze względu na jej duży koszt. A kiedy komisja wydała w końcu pozytywny werdykt, inwestor zaproponował spróbowanie smaku wody

głębinowej z odwiertu w Postępie. Wyjął z walizeczki flaszki i... kieliszki oraz słoiki z kiszonymi ogórkami. Próbowanie było wielce udane, woda była niebiańska, może trochę za mocna. Takim to pięknym akcentem zakończyło się nudne resortowe KOPI.

Wizytujących Opole dygnitarzy z Warszawy też spotykały nieraz zabawne sytuacje. Panowie towarzysze z Komitetu Centralnego PZPR zostali kiedyś zawiezieni przez miejscowych notabli do Turawy, żeby zobaczyli, jakie to i my mamy piękne jezioro. Bardzo się podobało, ale też padło normalne nad wodą pytanie: „Czy są tu ryby?”. Odpowiedź należała do najwyższego rangą, ale ten zwrócił się do swego zastępcy: „No, są tu ryby?”, a ten znowu do następnego. I tak kolejno doszli do ostatniego z gromadki opolskiej, a ten, rozkładając ręce, rzekł: „Ale ja, towarzysze, to już nie mam kogo zapytać”.

Przyjechał kiedyś z wizytą wiceminister od budownictwa Manfred Gorywoda. Przybył do Opola wczesnym rankiem, jeszcze przed rozpoczęciem godzin pracy i wstąpił na przypadkowo napotkaną budowę. Stróż nocny nie chciał go wpuścić, więc użył najmocniejszego argumentu, że jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Budownictwa. Ale nieugięty stróż powiedział: „Żebyście wy byli pierwszy sekretarz, to jeszcze, a jak tylko podsekretarz, to nie!”. I nie wpuścił. Głośno było o tym w kraju, bo pan minister przytaczał na odprawach to opolskie zdarzenie jako przykład dyscypliny na budowie i niezłomnego stania na straży mienia państwowego.

Uzgodnienia projektów były zmorem projektantów, było ich multum, zwykle kilkanaście, z przeróżnymi instytucjami. Nic dziwnego więc, że próbowano nieraz różnych ułatwień. Pamiętam posiedzenie KOPI dla zatwierdzenia projektu wstępnego szpitala ginekologicznego przy ulicy Reymonta w Opolu (architekt: Zdzisław Arct z Krakowa). Na pytanie, czy jest uzgodnienie z wykonawcą robót, padła odpowiedź twierdząca. Kiedy jednak pytający poprosił o pokazanie dokumentu, okazało się, że są w nim poważne zastrzeżenia do rozwiązań projektowych. Projekt nie uzyskał więc klauzuli zatwierdzenia.

Jak widać, budowanie w czasach PRL-u, choć siermiężne i trudne, miało też swoje uroki. Znawcy powiadali, że każda większa inwestycja ma pięć etapów:

- wielka radość,
- wielki smutek,
- poszukiwanie winnych,
- wsadzanie niewinnych,
- nagradzanie niezasłużonych.



JAN TRZOS

KAROLINKA BYŁA Z GRODŹCA?

W ostatnich latach ukazało się kilka artykułów, próbujących wyjaśnić genezę pięknej ludowej piosenki, wywodzącej się ze Śląska Opolskiego, o Karolinie, która szła do Gogolina. Interesowała się nią i prasa centralna („Gazeta Wyborcza”), i kolorowe tygodniki („Życie na Gorąco”), i „Nowa Trybuna Opolska” (18.09.2009 r.), a także inne czasopisma regionalne.

I tak oto redaktor z Katowic kilkanaście miesięcy temu zdecydowanie przekonywał czytelników, że piosenka nie jest żadnym zabytkiem folklorystycznym, tylko wytworem artystycznym dwóch górnośląskich twórców: muzykę miał napisać kierownik zespołu folklorystycz-

nego „Śląsk” Stanisław Hadyne, a słowa śląski poeta i autor tekstów Zdzisław Pyzik z Katowic. Najdziwniejszym jednak tekstem o powstaniu piosenki i jej bohaterach jest artykuł, który ukazał się 24 lipca ubiegłego roku w tygodniku „Życie na Gorąco” pt. *Prawdziwa historia Karolinki...* Opowieść ilustrowana jest licznymi fotografiami... krewnych i przodków Karolinki i Karliczka. Jak czytamy – *mało kto wie, że jej bohaterowie nie są wytworem wyobraźni anonimowego autora. Oni byli ludźmi z krwi i kości. Karolinka, czyli Karolina Kleinert, z domu Karliczek, spoczywa na starym cmentarzu husyckim w Bzinicy Nowej na Opolszczyźnie.*

Więc słów kilka o Karolinie Kleinert, którą wykreowano na bohaterkę piosenki „Poszła Karolinka do Gogolina” – jak sądzę, z powodu jej nazwiska panieńskiego, które brzmiało: Karliczek. Karolina Karliczek urodziła się w roku 1884 w Grodźcu, zmarła w Lublińcu w roku 1933. Nie mogła być więc, w żadnym wypadku, prototypem Karolinki, która spotkała Karliczka, bowiem ta ludowa piosenka powstała o wiele wcześniej przed jej narodzinami. Znana jest od przeszło dwustu lat – zapisał ją w pierwszej połowie XIX wieku młody lekarz niemiecki Juliusz Roger, niezwykle człowiek, który jako pierwszy podjął się utrwalenia i zarejestrowania w piśmie śląskich pieśni ludowych. Urodził się w Ulm (Niemcy), w roku 1818. Na Górnym Śląsku trafił w wieku 29 lat. Został lekarzem rodzinnym raciborskiego księcia Wiktora. Piotr Świerc, w swojej monografii o Rogerze, pisze: *Roger położył wielkie zasługi w dziedzinie badań przyrodniczych. Był zapalonym entomologiem. Jednak w pamięci śląskiej ludności pozostał jako zbieracz ginącej wówczas śląskiej pieśni ludowej samorodnej. Język polski opanował w mowie i piśmie do tego stopnia, że dostępne stało się dla niego zbieranie i zapisywanie tekstów śpiewanych przez lud polski piosenek. Chodził od wsi do wsi, od chaty do chaty i spisywał pieśni prawie zapomniane, śpiewane przeważnie przez niewiasty i ludzi spotkanych przygodnie. Śpiewane w czasie obrzędów, uroczystości rodzinnych i dorocznych, przy kołysce i przy pracy.*

W swoim krótkim, ale niezwykle aktywnym społecznym i naukowym życiu, Roger zebrał 546 pieśni śląskich. Jeszcze za jego życia (zmarł młodo, nagle, w wieku 47 lat, w Rudach na Śląsku) ukazał się drukiem jego zbiór „Pieśni ludu polskiego w Górnym Szląsku z muzyką”. W tym wydanym w 1863 r. zbiorze pieśni, pod numerami 129 i 131, utrwalaony został w druku najstarszy tekst piosenki „Poszła Karolinka do Gogolina” – co jest ostatecznym dowodem na to, że piosenka w druku ukazała się na wiele lat przed urodzinami Karoliny Kleinert z Grodźca.

Ważną rolę w badaniach etnografii śląskiej odegrał Józef Lompa, który przyjaźnił się z Rogerem i z nim współpracował. Juliusz Roger utrzymywał również bliskie kontakty z poetą niemieckim, zbieraczem pieśni ludowych A. H. Hoffmannem-Fallerslebenem, profeso-

rem literatury niemieckiej i języka na uniwersytecie we Wrocławiu. To właśnie A. H. Hoffmann-Fallersleben jest autorem przedwojennego hymnu niemieckiego „Deutsche Lieder” – za ten utwór pozbawiono go w cesarskich Niemczech profesury i zmuszono do opuszczenia Wrocławia. Hoffmann-Fallersleben gościł w Rudach u Rogera, zachęcał go do pogłębiania studiów etnograficznych poprzez włączanie do swoich badań również śląskich przysłów, baśni, bajek, powiastek i ludowych utworów o treści żartobliwej i szyderczej.

W swoim zbiorze „Pieśni Ludu Polskiego w Górnym Szląsku z muzyką” Roger zamieścił dwie wersje piosenki o Karolinie. Obie wersje są poprzedzone zapisem melodii. Większość melodii ludowych piosenek śląskich, w obecności Rogera, zapisywał kapelmistrz z Rud – Karol Schmidt. Pierwsza wersja „Karolinki” poprzedzona jest wpisem: „wesoła, z powiatów rybnickiego i gliwickiego”. Jak się jednak okazuje, w tej wersji piosenki Karolinka wybrała się wcale nie do Gogolina, ale do Bogumina (Oderberg), tj. obecnego Bohumina, co oznacza, że pieśń ludowa o Karolinie była popularna po stronie czeskiej już w końcu XVII w. i początkach XIX wieku. Dopiero w drugiej wersji Roger podaje, że Karolinka szła jednak do Gogolina, zaznaczając na wstępie: „z powiatu opolskiego”.

Tymczasem w zamieszczonym przed kilku laty w „NTO” tekście „Poszła Karolinka do Gogolina” czytamy, że autorami piosenki są: Z. Pyzik (słowa) i S. Hadyne (muzyka). Czyżby wymienione osoby przywłaszczyły sobie popularną „Karolinkę”? Nie, oni przyczynili się do popularności tej przepięknej piosenki i na zawsze utrwaliли pamięć o niej. Stanisław Hadyne jako dyrygent i współtwórca Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” i Zdzisław Pyzik, który tekst skrócił i przerobił literacko.

Resumując, można postawić pytanie, czy tego typu zabiegi wokół „Karolinki” szkodzą ludowej piosence? Czy powstające mity i legendy na jej temat obniżają jej popularność i wartość artystyczną? Nic podobnego! Te wszystkie zabiegi, łącznie z poszukiwaniem pierwowzoru Karolinki, co poszła do Gogolina, sprawiają, że ta najstarsza, kojarzona z naszym regionem piosenka wciąż budzi ogromne zainteresowanie.



Rektor Jerzy Ślupecki odwiedził opolskich studentów na obozie wojskowym w Koźuchowie (15 sierpnia 1963 r.)

NASI ABSOLWENCI

ALFRED MICHLER

MOJE SZKOŁY, MOI NAUCZYCIELE

Zawrotne tempo życia i natłok najprzeróżniejszych wydarzeń powodują, że z pola widzenia umykają nam wydarzenia o niezwykłym ciężarze gatunkowym; media z reguły koncentrują się na wydarzeniach politycznych lub ich rocznicach. Zauważyłem na przykład, że zwróciły wprawdzie uwagę na 70. rocznicę powrotu do Polski Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur, ale bez choćby chwili refleksji nad tym, co to praktycznie oznaczało w niektórych dziedzinach życia, np. w oświacie. Walczę o to w mojej lokalnej prasie, ale ze skutkiem niezbyt budującym. Owszem, po raz 70. odbyła się inauguracja roku szkolnego, ale nikt nie usłyszał, że dzwoni, które 1 września 1945 r. rozległy się w śląskich szkołach, po raz pierwszy odezwały się „po polsku”. Na Zie-

miach Odzyskanych nie była to kontynuacja roku szkolnego (jak np. na Mazowszu czy Lubelszczyźnie). Tu odbyła się gwałtowna rewolucja oświatowa – ten sam był tylko budynek, nauczyciele byli zupełnie inni. O podręcznikach w pierwszych miesiącach nie było w ogóle mowy; owszem, w szkole pozostały jakieś książki niemieckie, ale polskich było tyle, ile zdołali przywieźć na zachód polscy nauczyciele, pochodzący z Kresów lub z centrali. Dokładnie znam sytuację w dolnośląskim powiecie zlotoryjskim, gdzie w pierwszych miesiącach na jednego ucznia przypadło 0,4 jakiegokolwiek polskiej książki. Przypuszczam, iż podobnie – jeśli nie gorzej – było na Opolszczyźnie i w moim rodzinnym Broźcu.

BROŻEC – PODSTAWÓWKA

Moim krajanem jest późniejszy arcybiskup opolski Alfons Nossol. W odstępie kilku lat urodziliśmy się w tej samej miejscowości, ale wieś nazywała się zupełnie inaczej. Arcybiskup przyszedł na świat w Broschütz, a ja już w Schobersfelde, ponieważ elitom brunatnej władzy, która rozpanoszyła się w Niemczech po roku 1933, brzmienie tej pierwszej było gorsząco słowiańskie, przypominające najstarszą nazwę średniowieczną (Brosce). Stąd też szeroka akcja zmiany nazw i nazwisk przeprowadzona na Śląsku (1936). Równocześnie (i z tych samych powodów) rodowe nazwisko mojego ojca – Michna – zmieniono na porządnie brzmiące – Michler. Z imieniem mi się jednak udało, gdyż w moim roczniku (1941) we wsi urodziło się już aż trzech Adolfów – prawdopodobnie urzędnicy mocno zachęcali, aby chłopcom nadawać imię Führera. I pomyśleć, że taki potwór tak zożydził ładne skądinąd imię królów szwedzkich. Według opowiadań matki, moje imię przeformował dziadek, który po lekturze książki uległ fascynacji postacią króla angielskiego Alfreda Wielkiego (w moim domu rodzinnym było dużo książek, jak na biedną i prostą wiejską rodzinę; moja matka do późnej starości rozczytywała się w *romanach*, nawet kosztem snu).

Po II wojnie matka podjęła starania, aby wrócić do rodzimego nazwiska jej męża (Michna). Ale urzędnik z Prudnika (wówczas powiat), zamiast pomóc prostej kobiecie, zapytał szyderczo: *To teraz znowu pani chce być Polka?* Matka jest dumną i odważną kobietą – trzasnęła drzwiami i już nigdy ani do Prudnika, ani do sprawy nie wróciła. A my z bratem uszanowaliśmy jej postawę. A więc moje nazwisko zawdzięczam dwóm totalitaryzmom: brunatnemu i czerwonemu.

I z takim nazwiskiem i imieniem zostałem zaprowadzony do brożeckiej szkoły (1948). Bardzo nie chciałem tam pójść, do czego w dużym stopniu przyczynili się moi kuzyni, którzy jako starsi załapali jeszcze 3–4 klasy szkoły niemieckiej, a teraz przyszło im chodzić do zupełnie innej i *nic w niej nie rozumieć*. Oczywiście kłamali, gdyż w domach mówiło się po śląsku, trzeba było jednak trochę się wysilić, żeby zrozumieć mówiących trochę inaczej (pewnie czystą polszczyzną) nauczycieli przybyłych z Kresów. A byli to bohaterowie tamtych czasów, pionierzy polskiej oświaty na tej ziemi: Antoni Budzicki – kierownik, jego żona Stefania oraz szwagierka Zofia Paczosa. Jedynym uczniem, z którym mogli się porozumieć bez przeszkód, był ich syn Janusz, który w trakcie przerw udzielał nam korepetycji. Pamiętam,

jak pewnego razu żona kierownika wysłała mnie do swojej pomocy domowej z poleceniem, aby *dała kurom jeść*. Ja tych słów nie rozumiałem. Pobiegłem jednak, powtarzając je sobie po drodze. Być może ze strachu coś przekreśliłem, bo służąca mnie nie rozumiała – poszła sama do pani Budzickiej, dopytać się o co chodzi. A mnie było wstyd – prawie się rozbeczałem. Bo ja nie wiedziałem wówczas, że kury (i inne zwierzęta) mogą jeść; na całym Śląsku kury przecież żrą, a właściwie *żerą*.

Po trzech latach rodzina Budzickich przeniosła się do wsi Kujawy, a mój ziomek Alfons Nossol, będąc już ordynariuszem opolskim, opiekował się naszą nauczycielką Zofią Paczosa do końca jej życia. Ja natomiast podziękowałem pośrednio moim mistrzom z Kresów, zakładając i organizując w Złotoryi, prawdopodobnie pierwszą na Dolnym Śląsku, „Izbę Kresową”. Zresztą Kresy bardzo wcześnie pojawiły się także w mojej rodzinie. Oto Jan Dobrowolski przywdrował do Broźca spod Lwowa jeszcze w latach 40. XX wieku i ożenił się z siostrą mojej matki. Obydwie strony nieco ryzykowały, ale wszystko potoczyło się dobrze i szczęśliwie, a moi trzej kuzyni Dobrowolscy w domu rozmawiają wyłączenie gwarą śląską. Także ja ożeniłem się z kresowianką (również absolwentką WSP).

W mojej dawnej i obecnej rodzinie nie dostrzegam żadnych śladów ksenofobii. Moja babcia Florentyna nigdy nie pozostawiła bez pomocy Romów, dzieliła się z nimi, czym tylko mogła. Pamiętam z chłopięcych lat, że zostawiała w znanym Cyganom miejscu klucz do mieszkania i Cyganka Róża zawsze mogła do domu wejść i wziąć sobie tyle chleba, mleka czy sera, pod warunkiem, żeby i nam coś zostało – a sami nie mieliśmy dużo. Tak samo postępowała moja matka, a obecnie do mojego brata przychodzi wnuczka Róży. Albo trzeba było zobaczyć, i usłyszeć, jak przyjaźnie rozmawiały ze sobą dwie moje matki: ta śląska Elżbieta z tą kresową spod Kołomyi – Heleną (teściową).

Dzieło rodziny Budzickich kontynuowało troje nauczycieli, w tym dwoje z Kresów: kierownik Adam Szczepański (namiętny palacz) oraz Anna Kowalska i młoda nauczycielka z centrali – Kazimiera Traka. Lekcję historii Anny Kowalskiej o Władysławie Jagiellie i Jadwidze widzę i pamiętam jeszcze dzisiaj. Trudno mi rozstrzygnąć, czyja to zasługa, że po dziesięciu (od tej lekcji) latach zameldowałem się na historii w opolskiej WSP: młodej historyczki z ogólniaka czy może właśnie Anny Kowalskiej. Pamiętam też, że kiedy w trzeciej klasie zostałem ministrantem, przekonałem się, że w czasie kolędy Kowalska przyjmowała księdza, zaś kierownik szkoły w tym czasie gdzieś zniknął. Ale kiedy mini-

stranci prosili o zwolnienie z lekcji z powodu pogrzebu lub ślubu (odbywały się także rano), nigdy się nie sprzeciwił.

Tacy byli moi pierwsi nauczyciele. W tej gmatwaninie śląsko-niemiecko-polskiej zachowywali się wspaniale. I nikomu nie wyszukiwali ojca lub dziadka z Wehrmachtu. Właśnie dlatego, że byli mądrymi i dobrymi ludźmi.

Nie wiem, co powiedziałyby o swoich nauczycielach moja babcia Florentyna Malkowsky (ur. 1890) z Zabierzowa (gm. Walce). Z jej opowiadań wywnioskowałem, że dzieci musiały się bardzo bać swojego nauczyciela ze szkoły w Walcach, dokąd na piechotę chodziły (to było około 1900r. i szkoła była niemiecka). Po śląsku i po niemiecku powtórzyła mi ich groźne polecenie: *Nie wolno w domu rozmawiać po polsku (Wehe dem, der zu Hause polnisch spricht)*. Nakaz był uzasadniony, co doskonale ilustruje następujące zdarzenie: oto Karol, ojciec Florentyny, udał się do spowiedzi w Walcach, ale wcześniej wstąpił na *sznapsa* do gospody. Jest wysoce prawdopodobne, że nie skończyło się na jednym, ponieważ ksiądz (Niemiec) wprawdzie go wysłuchał, ale rozgrzeszenia dać nie chciał. Tak to mojego pradziadka rozsierdziło, że prawie wyciągnął spowiednika z konfesjonału, pomstując: *To tyj tu siedzisz am Gotten Stuhl, a nie chcesz mi rozgrzyszynioł dać*. To takie migawki językowe, prawdopodobnie charakterystyczne dla wszystkich podopolskich wiósek, do których po II wojnie dodatkowo jeszcze zawitał zaśpiew kresowy. A propos Kresów: nie wiem, kto jest autorem zwrotu „kresowanie zachodni”, ale znalazłem go w jednej z prac ks. abp. A. Nossola. Nie ze wszystkim muszę się z nim zgadzać, ale to przyjmuję jako trafne, gdyż najdalej na zachód z językiem polskim sięgała właśnie Opolszczyzna. W moim rodzinnym domu do dziś, od niepamiętnych czasów, znajduje się bardzo stary, prawie zmuszały obraz, z polskim napisem wokół postaci Matki Boskiej Częstochowskiej: *Chroń, o Maryjo, łaskawie ten dom i wszystkich, którzy tu wchodzą i wychodzą*. Ani matka, ani babcia nie potrafiły mi odpowiedzieć, kiedy ten obraz się w domu pojawił i jak tu przetrwał lata 1933–1945.

GŁOGÓWEK – OGÓLNIAK

W Brożcu wszyscy byliśmy jednakowi, równi w każdym calu. Teraz (1955) w 42-osobowej klasie łatwo można było wyodrębnić trzy zasadnicze grupy: Ślązacy, kresowianie (głównie z Kazimierza, Szonowa i Raclawic) oraz ci z Głogówka. Różniliśmy się ubiorem, a głównie językowo. Dzieci miejskie górowały nad dwoma pozostałymi grupami po-

prawnością językową i znajomością języka niemieckiego. Bardzo często porozumiewały się w tym języku na przerwach, co doprowadzało do interwencji ze strony wychowawczyni oraz dyrektora. Wychowawczyni, Janina Pawliszyn, bardzo starała się nas scalić – i to się generalnie udało, w czym bardzo pomogły zajęcia sportowe, a także wspólny pobyt w internacie. Głogówek w tym czasie nazywano, z pewną przesadą, „małym Berlinem” – właśnie z uwagi na dość powszechne używanie języka niemieckiego. W niedługim czasie wiele rodzin wyjechało do Niemiec, w tym kilka osób jeszcze przed maturą, a kilka zaraz po niej.

Nie przypominam sobie, żeby z powodu różnic etnicznych dochodziło do większych zdrażeń. Poza jednym wydarzeniem, które mnie dotyczyło. Byłem wtedy w ósmej klasie. Któregoś dnia przywołał mnie Wacek Dziaduch, przerośnięty dwudziestolatek. Wszedłem do pokoju, Wacek akurat prasował.

– Ty jesteś Ślązakiem?

– Tak.

– To ty jesteś Niemiec. A wiesz, co Niemcy robili w czasie wojny?

I w tym samym momencie przystawił mi do piersi gorące żelazko.

Uciekłem, bo Wacek był o wiele silniejszy. Nikomu się z tego nie zwierzałem. Młodszy brat Wacka, dowiedziawszy się o zdarzeniu, przyszedł do mnie; smarował to oparzone żelazkiem miejsce kremem. A Wacek w końcu zdał maturę i został milicjantem. Pewnie dobrze się w tej pracy zasłużył.

W „małym Berlinie” o nauce języka niemieckiego nie mogło być wtedy mowy. Do wyboru mieliśmy łacinę i język francuski. Jako ministrantowi wydawało mi się, że trochę znam łacinę i będzie mi łatwiej! Przez tę moją naiwność trafiłem na Wincentego Kowala. Ależ on nas przeczłowiwał: metodycznie, precyzyjnie, ustawicznie, ale nigdy złośliwie lub poniżająco. Dystyngowany pan stawał za katedrą, otwierał dziennik i wybierał pierwszą grupę ofiar. Przez minimum 15 minut trwała ostra strzelanina: słówka, odmiana rzeczownika, czasownika... Jeśli starczyło czasu – przywoływał drugą zmianę. Cztery lata takiego rozpoznania walką czyniły z tych, którzy nie polegli, solidnie przygotowanymi.

Nie przypuszczałem, że z moim łacinnikiem spotkam się w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu – tu bowiem przeniesiono Wincentego Kowala jako nauczyciela, który sprosta wymogom uczelni wyższej. I sprostał: podstawy tego, co wkomponował we mnie w Głogówku, wystarczyły na opolskie czasy.

W liceum starałem się nauczyć poprawnej polszczyzny. I prawdopodobnie mi się to udało, chociaż *tabula, wdycki* itp. wymykały mi się w najmniej odpowiednim momencie. Jeszcze dziś, gdy przekraczam próg rodzinnego domu lub spotykam kamratów, zaczynam natychmiast *rzqdzic*.

OPOLE – WSP

Kiedy pod koniec lat 50. kilka osób z klasy wyjechało do Reichu, matka zapytała mnie: *Synek, a co my zrobimy?* A synek miał już drogowskaz: zdać maturę, a później egzamin wstępny. Matka akceptowała moje plany i wspierała mnie. Ojca nie miałem możliwości poznać, gdyż poległ na froncie wschodnim w rocznicę urodzin swojej matki (8 sierpnia 1943). W Wigilię 1944 roku przy stole trzypokoleniowej rodziny, jako niespełna czterolatek, byłem jedynym mężczyzną. To efekt daniny krwi najbliższej rodziny złożonej w I wojnie (trzech mężczyzn, w tym mój dziadek) oraz II wojnie (kolejnych czterech, w tym ojciec).

Moja rodzina była biedna i dlatego nie pojechałem na egzamin wstępny (historia) w pierwszym terminie – sądziłem, że dla matki moje studia będą przeszkodą nie do przebrnięcia. Ale jej upór zламаł moje obawy i Piotrek Andres prawie zawłókł mnie do sekretariatu Wydziału Filologiczno-Historycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. A tu stanąłem przed obliczem samej Aliny Serafin. Podała mi arkusz papieru, na którym miałem się usprawiedliwić z nieobecności w pierwszym terminie i prosić o dopuszczenie w drugim terminie. Kiedy dość bezradnie patrzyłem na podany mi arkusz, najwyczajniej podyktowała mi treść podania i przypilnowała, abym go podpisał.

Lista dopuszczonych do egzaminu w drugim terminie nieco mnie zmroziła: obok mojego nazwiska znalazłem aż 87 nazwisk osób, które miały zaważczyć o 10 miejsc, a praktycznie o 8 (dwa zarezerwowano dla osób nieprzyjętych na KUL z powodu braku miejsc). Zapamiętałem pytanie pisemne z historii: *Stosunki polsko-krzyżackie*. Ustnego egzaminu nie musiałem zdawać.

1 października 1959 r. zainaugurowałem mój pierwszy rok akademicki. Opiekunem roku został prof. Alojzy Gembała – lepiej nie mogliśmy trafić, z czego nie od razu zdaliśmy sobie sprawę. Niewymuszona elegancja (nigdy nie przyszedł na wykład w sweterku), jasny, komunikatywny przekaz.

Na jednym z epitafiów, poświęconych rektorowi słynnego w Europie Gimnazjum Łacińskiego w Złotoryi, po-

mieszczono wielce mówiącą inskrypcję: *Ażeby nauczyli wspaniale, daj dobry Panie*. Wprawdzie wszystkich, oprócz jednego, moich opolskich profesorów zachowałem we wdzięcznej pamięci, to gdybym tę inskrypcję mógł zadeedykować tylko jednemu, to byłby nim właśnie prof. Alojzy Gembała. Artyści nie lubią wyróżnienia *za całokształt*. Ale do naszego opiekuna i specjalisty od starożytności taka formuła nadzwyczajnie przystaje: jako człowieka, pedagoga i profesora, który nauczał wspaniale.

Pod koniec roku 1959 w klubie studenckim „Skrzat” (w DS „Mrowisko”), prof. Gembała miał wykład na temat Śląska. Po wykładzie odpowiadał na pytania z sali. A jedno z nich brzmiało: *To właściwie kim są Ślązacy?* Profesor związał odpowiedź zakończonej konkluzją: *Jeśli nawet Ślązacy nie wiedzą, kim są, to z pewnością są Słowianami*. I od ponad pół wieku trzymam się tej bardzo bliskiej mi formuły. Drugie zapożyczenie to ulubiony zwrot Profesora: *Jest wysoce prawdopodobne*. Używałem go z takim upodobaniem, że teraz przejęli go moi uczniowie.

Zupełnie wyjątkową rolę w okresie studiów, życiu zawodowym, a także w działalności społecznej odegrał doc. Władysław Dziewulski. Trafiłem do niego, na seminarium z historii Śląska, nieprzypadkowo. W końcu jestem stąd i o swojej ziemi chciałem wiedzieć jak najwięcej. O ile w trakcie pierwszych czterech semestrów nie można było mnie zaliczyć do pracusiów, smak studiowania poczułem właśnie na zajęciach doc. Dziewulskiego. Swojej grupie narzucił ostry reżim i tempo; postękiwaliśmy, ale nigdy nie pożałowałem, że jestem w tym zespole. Ciągłe coś podpowiadał, kazał zajrzeć to tu, to tam. I tym sposobem z pozornie prostego tematu („Lisowczycy na Śląsku”) wyszła praca, którą dziekan Dziewulski zdecydował się wysłać na konkurs organizowany przez Instytut Zachodni w Poznaniu. Recenzentem mojej pracy była inna wielka postać tego okresu, prof. Kazimierz Orzechowski. Obrona pracy magisterskiej (6 lipca 1964) była dla mnie najprzyjemniejszym egzaminem.

Matka Elżbieta i babcia czekały na ten dzień z nie mniejszym niż ja napięciem. Po egzaminie, a był to piątek, postanowiłem przez trzy dni zostać jeszcze w „Mrowisku”, aby w gronie przyjaciół świętować ten doniosły moment. A do domu wysłałem telegram, że jestem po obronie, ale – już jako magister – przyjadę za trzy dni. Istotnie, we wtorek koło południa pojawiłem się w domu i... nie dostrzegłem żadnych oznak uznania dla mojego sukcesu. Pierwszy tytuł magisterski we wsi, a tu cisza! Po południu do wsi przybył listonosz – z wysłaną przeze mnie depeszą...

Pewnie nie do końca spełniłem oczekiwania mojego Szanownego Promotora. Pod koniec czwartego roku namówił mnie i przekonał, abym wykonywał proste prace w Instytucie Śląskim i przyzwyczajał się do ewentualnej pracy tamże. Jednak przekazane mi do wykonania prace były dla mnie zbyt statyczne, mało interesujące. Na piątym roku do instytutu już się więc nie zgłosiłem. Miałem 21 lat, brakowało mi późniejszego doświadczenia życiowego, wiedzy, cierpliwości... Nieraz sobie to przypominałem.

Grono wykładowców, których z serdecznością i wdzięcznością chciałbym wspomnieć, jest naprawdę wielkie. Wymienię tylko kilkoro: Maurycy Horn, Witold Kruk-Ołpiński, Leszek Winowski, mój podwójny belfer (z LO i WSP) Wincenty Kował, Stefania Mazurek...

Niejako w opozycji do nich wspomnę adiunkta Kazimierza Krzyżaka, ale tylko dlatego, żeby przypadek, który przedstawię, na mojej (naszej) uczelni już się nigdy nie zdarzył. Trwa egzamin z ekonomii politycznej (czerwiec 1961) i w trójkę wchodzimy do sali. Egzaminator miał dobrą zasadę, że stopniował trudność stawianych pytań. Pierwszym zadaniem było rozpisanie problemu (5 min.). Dochodzi do mnie i pyta: *Pan jest Ślązakiem? Potwierdzam. To niech mi pan powie, kiedy Ślązacy będą Polakami?* Zamurowało mnie, ale zacząłem odpowiadać. Adiunkt Krzyżak w ogóle już mnie nie słuchał i podał mi na kartce zadanie. Zrobiłem je dobrze i szybko. Teraz zajrzał do swoich notatek i zawyrokował: *Ślązacy to ludzie pracy, a pan się u mnie nie pracował* (tu akurat miał rację!). *Nie będę pana dalej pytał – stawiam trójkę, dziękuję panu.* Też podziękowałem, dwóch kolegów pozostało. Tak przebiegał mój egzamin z ekonomii politycznej; niewiele było tu ekonomii, a raczej polityka (jak zresztą w całym przedmiocie). Adiunkt Kazimierz Krzyżak bardziej przypominał mi milicjanta z Szonowa, który sześć lat wcześniej celowo oparzył mnie żelazkiem, niż pracownika naukowego wyższej uczelni pedagogicznej.

Po tym egzaminie przyszedł do mnie Józef Płudowski z Łukowa: *Jutro idziemy do rektora, to skandal.* Józef był chyba najbystrzejszym studentem na naszym roku – niech wybaczą mi inni. Ale nie poszliśmy. Uznałem, że skarga nie ma sensu, a poza tym balem się takiej rozmowy, byłem za mało dojrzały. A rektora Jerzego Ślupeckiego (matematyka) wspominał bardzo sympatycznie. W czasie ospy stulecia przyjechał do Koźuchowa na obóz wojskowy (na egzaminy końcowe, 14–15 VIII 1963) – nie przynieśliśmy mu wstydu, przeciwnie.

Dr Stefania Mazurek także ostro strofowała mnie na lektoracie języka niemieckiego: *Pan, jako Ślązak, musi to robić*

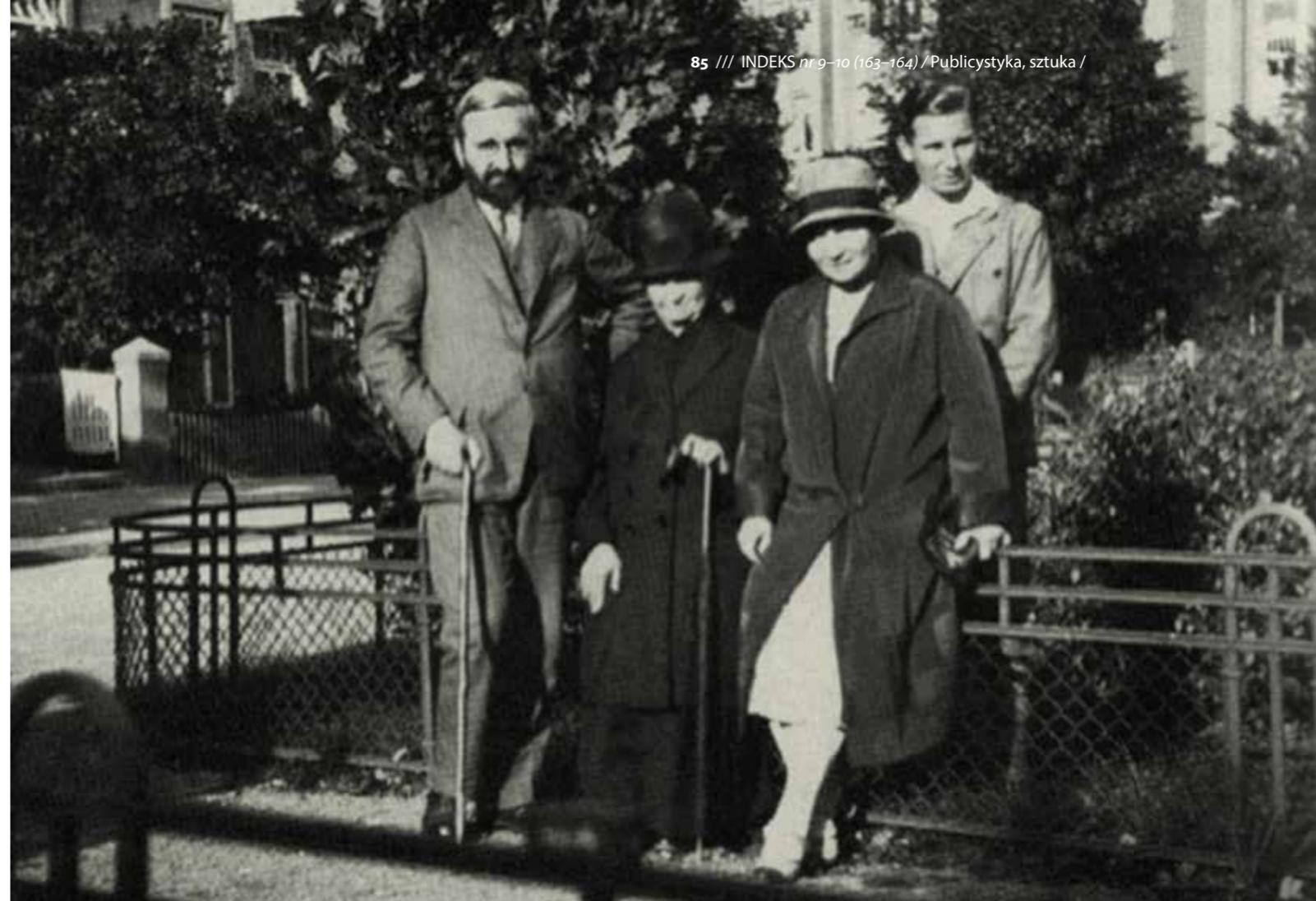
bardzo dobrze, a nie tylko dobrze. Ale ten epizod wspominał z rozrzewnieniem, natomiast wcześniejszy – z bolesnym niesmakiem. Trzy lata temu przejeżdżałem przez Opole i zauważyłem ulicę Stefanii Mazurek. I dobrze, że jest, ale jakaś polna; mam nadzieję, że to uległo zmianie.

Zaś z prof. Kazimierzem Orzechowskim los zetknął mnie jeszcze na początku lat 70. Razem zasiadaliśmy w komisji egzaminacyjnej, a były to egzaminy wstępne na Uniwersytet Wrocławski. Profesor był tej komisji przewodniczącym, ja – członkiem. Było to możliwe dzięki ciekawej inicjatywie władz tej uczelni, aby powoływać w skład komisji tych nauczycieli liceów, których uczniowie na przestrzeni kilku lat pozwolili się pozytywnie zapamiętać (a profesor zapamiętał moich lisowczyków!).

Na zakończenie kilka zwiastunów z oświatowej trasy Opole–Złotoryja. Edmund Salachna w moich czasach studenckich był asystentem na Wydziale Matematyczno-Fizycznym, a po ożenku zamieszkał w Złotoryi i do dziś wspomniany tu jest jako jeden z najbardziej utalentowanych matematyków w złotoryjskim LO. Danuta Piątkowska była moją najzdolniejszą praktykantką historii i nie dziwiło mnie wcale, że została pracownikiem naukowym WSP. Z kolei jej siostra bardzo udanie, lecz krótko, pracowała w LO w Złotoryi – to dzisiejsza prorektor, prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Jerzy Dryzek – nasz wielokrotny złotoryjski olimpijczyk – dziś jest profesorem UO.

W Złotoryi, ze swoim wykładem z okazji dwusetnej rocznicy KEN, był prof. Franciszek Marek. Natomiast bardzo długo ze Złotoryją (LO, ZNP, biblioteka pedagogiczna) utrzymywał stałe kontakty prof. Janusz Sawczuk. W roku 2001 udało mi się (mnie, Ślązakowi!) skrzyknąć złotoryjskich kresowian w Koło Kresowian i zorganizować przy Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej – Koło Kresowe oraz Izbę Kresową. Koło wykazuje się niezwykłą żywotnością i kreatywnością. Mógł się o tym przekonać (w 2015) obecny rektor UO, prof. Stanisław Sławomir Nicieja, przyjeżdżając do Złotoryi na kolejną Biesiadę Kresową. Jego wystąpienie jest mile wspomniane, toteż tego pobytu w Złotoryi nie traktujemy jako jednorazowe zdarzenie. A tymczasem Izbę Kresową nadal wzbogacam o kresowe wspomnienia rektora, publikowane w „NTO”.

A Opole? Nad moim miastem stale świeci słońce. Także nad moją uczelnią. I nad „Mrowiskiem”. Tu zawsze ładuję moje życiowe akumulatory, bo tu zostały moje najpiękniejsze lata, moje niezapomniane miłości.



Na zdjęciu (od lewej): Theodor Kaluza, jego matka Amalia, żona Anna i syn Theodor junior podczas spaceru w Kilonii, w 1931 roku

JÓZEF MUSIELOK

GWIAZDY NA NIEBIE I ZIEMI (część IV)

Uniwersytet w Kilonii, w którym Theodor Kaluza objął swój pierwszy etat *Ordinariusa* (profesora zwyczajnego), został założony przez księcia Christiana Albrechta w 1665 roku. Prawie sto lat później Kilonia znalazła się pod władaniem Królestwa Danii i dopiero po 113 latach ponownie powróciła w granice Prus. Poziom matematyki w Kilonii, w porównaniu z poziomem na Alberinie w Królewcu, był raczej mizerny. Dopiero u schyłku panowania duńskiego, w wyniku sprowadzenia do Kilonii w 1835 roku Heinricha Scherka (1789–1885), a później, w 1920 roku, Ernsta Steinitza (1871–1928), uważanego za najwybitniejszego matematyka swojej generacji oraz wspomnianego już wcześniej Abrahama Fraenkla (1891–1965), kilonńska matematyka osiągnęła oczekiwany wysoki poziom. Od 1874 roku na Uniwersytecie w Kilonii były dwa etaty profesorskie w zakresie czystej matematyki. Nie było natomiast etatu z zakresu matematyki stosowanej. Theodor Kaluza był więc w Kilonii pierwszą osobą, której

powierzono kierowanie matematycznym seminarium z pozycji profesora zwyczajnego matematyki stosowanej. Obowiązki dydaktyczne Kaluzy, w porównaniu do sytuacji w Królewcu, uległy prawie podwojeniu, więc na pracę naukową pozostało niewiele czasu. Przeciętnie w tygodniu wygłaszał trzy wykłady i prowadził dwa semina. Wykłady dotyczyły m.in. następujących tematów: *Teoria liczb, Rachunek różniczkowy, Nieskończone szeregi, Topologia, Teoria funkcji rzeczywistych, Geometria różniczkowa, Analityczna teoria liczb, Sieci punktowe, Szeregi rozbieżne, Rachunek różniczkowy i całkowy, Matematyczne podstawy teorii względności, Mechanika falowa oraz Pojęcie przestrzeni w nowej matematyce i fizyce.* Jak wynika z powyższego zestawienia, do prawie każdego semestru Kaluza musiał przygotować nowe wykłady. W związku z tak dużym obciążeniem dydaktycznym, w czasie pracy na uniwersytecie w Kilonii Kaluza opublikował tylko jedną pracę (w 1933 roku) – w czasopiśmie

„Mathematische Zeitschrift” pt. *Elementarny dowód do-
mniemania K. Friedricha i H. Lewy'ego*.

W chwili objęcia pozycji profesorskiej przez Kalu-
zę, Katedrą Fizyki w Kilonii kierował trzy lata starszy od
niego Hans Geiger (1882–1945). Geiger wraz Ernestem
Marsdenem (1889–1970) pracowali 20 lat wcześniej pod
kierunkiem Ernesta Rutherforda (1871–1939) w Manche-
sterze, wykonując między innymi przełomowe doświad-
czenie nad rozpraszaniem cząstek alfa na folii złota. Hans
Geiger razem z Waltherem Müllerem (1905–1979) zbudow-
wał też powszechnie stosowany w fizyce jądrowej licznik
cząstek.

Wśród poprzedników Geigera na etacie profesora
fizyki w Kilonii byli m.in. Heinrich Hertz (1857–1894)
w latach 1883–1885, a także Max Planck (1858–1947), który
przejął etat po Heinrichu Hertzmu (1857–1894) i pozostał na
uniwersytecie w Kilonii przez cztery lata. Jego następcą
na tym stanowisku został noblista z 1905 roku, znany nie
tylko jako naukowiec, ale także jako skrajny nacjonalista
i antysemita – Phillip Lenard (1862–1947). Kierował on fi-
zyką w Kilonii przez prawie dziesięć lat.

KULECZKI ŻÓLTE CZY ZIELONE?

Kaluza i Geiger bardzo szybko się zaprzyjaźnili, rodziny
odwiedzały się wzajemnie, a syn Theodora uczył się na
wykłady z fizyki doświadczalnej Hansa Geigera. We
wspomnieniach Theodora juniora i córki Kaluzy – Do-
rothei, przytaczanych przez Daniełę Wuensch w mo-
nografii poświęconej Kaluzy, znaleźć można relacje ze
spotkań rodzin Geigerów i Kaluzów oraz anegdoty,
dotyczące okresu współpracy Geigera z Rutherfordem
w Manchesterze.

W jednej z nich, opisując bardzo harmonijną współ-
pracę z Rutherfordem, Geiger stwierdził, że tylko jeden
raz wystąpiła między nimi różnica zdań: *siedząc przy
kominku i spekulując na temat modelu atomu, obaj do-
szliśmy do wniosku, że inaczej wyobrażamy sobie elek-
trony: Rutherford uważał, że są to małe zielone kuleczki,
natomiast ja (Geiger), że są żółte. Skutkiem tego przez cały
kolejny tydzień obaj czuliśmy, że się dobrze nie rozumiemy*.
W tym miejscu warto przypomnieć, że wyniki ekspe-
rymentu z rozpraszaniem cząstek alfa były pierwotnie
przez samych autorów interpretowane jako dowód na
to, że jądro atomowe jest obdarzone ładunkiem ujem-
nym!

Bliskie związki z rodziną Geiger nie trwały jednak dłu-
go, bowiem Geiger przeniósł się do Tybingi, a jego na-
stępcą na fizyce został Heinrich Rausch von Traubenberg
(1880–1944). Również z nim Kaluza utrzymywał bardzo
ścisłe kontakty, żywo interesując się wynikami jego ba-
dań. A były to eksperymentalne badania efektu Starka
w liniach wodoru z serii Balmera – wyniki potwierdzały
przewidywania falowej teorii atomu Erwina Schröding-
era (1887–1961). Poprzez bliskie kontakty z Traubenber-
gem, Kaluza bliżej poznał także kolejną prominentną
postać nowej fizyki, Maxa Borna (1882–1970).

Latem 1929 roku, przy okazji obchodzonego w pół-
nocnych Niemczech Tygodnia Sztuki i Nauki, Uniwersytet
Christiana Albrechta w Kilonii nadał tytuł doktora *hono-
ris causa* laureatowi Nagrody Nobla z 1922 roku, Nielso-
wi Bohrowi (1885–1962). Wieczorem tego wyjątkowego
dnia, Abraham Fraenkel, który był inicjatorem nadania
tytułu, wydał przyjęcie na cześć honorowego doktora,
a małżeństwo Kaluzów było obecne pośród zaproszo-
nych gości.

Do kręgu znajomych rodziny Fraenkelów należał tak-
że urodzony w Zagrzebiu Willy Feller (1906–1970), znany
głównie z teorii prawdopodobieństwa. Feller doktoryzo-
wał się w Getyndze w 1926 roku u pochodzącego z Lub-
lińca Richarda Couranta (1888–1972), a habilitował się trzy
lata później, w katedrze Kaluzy w Kilonii. Willy Feller był
bliskim przyjacielem Theodora juniora i częstym gościem
w domu Kaluzów, gdzie traktowany był jak członek ro-
dziny.

Syn Theodora i Anny, Theodor junior wykazywał
duży talent literacki i muzyczny. Mimo to sam, bez naj-
mniejszych nawet nalegań ze strony ojca, wybrał studia
z matematyki, chociaż – jak wspominał – w szkole na
lekcjach matematyki się nudził. Córka Dorothea wyka-
zywała duży talent w zakresie sztuki. Uczęszczała do
Kunstgymnasium, ale chętnie sięgała też do książek
z nauk ścisłych. Podziwiała umiejętności ojca, kiedy tłu-
maczył jej, na czym polega teoria względności. Przeko-
nywał ją: *nawet jeśli coś jest dla ciebie niezrozumiałe, ale
intuicyjnie możliwe do uchwycenia, to jest to dobry krok do
późniejszego zrozumienia. A na końcu dodaj: „ja też tego
nie rozumiem”*. Córka wspomina: *Ja tak rozumiałam, co
ojciec chciał tymi słowami powiedzieć: tą drogą dociera do
człowieka mniemanie o tajemnicach Natury, a czegoś tak
wielkiego nie rozumieć, jest przecież wspianiałym uczuciem*.

We wrześniu 1930 roku w Królewcu odbył się Kongres
Towarzystwa Niemieckich Badaczy Przyrody i Lekarzy.

Kaluza nie otrzymał wsparcia finansowego z Uniwer-
sytetu w Kilonii, ale mimo to, ze względu na bogaty
i interesujący program, zdecydował się wziąć w tym kon-
gresie udział. W programie były m.in. wykłady matema-
tyka Dawida Hilberta (1862–1943); chemika Otto Hahna
(1879–1968); filozofa Rudolfa Carnapa (1891–1970); filozofa
i fizyka, twórcy pozytywizmu logicznego (neopozyty-
wizmu) i założyciela Koła Wiedeńskiego Moritza Schlicka
(1882–1936) czy logika i matematyka Kurta Gödla (1906–
1978). Udział w kongresie pozwolił mu także spotkać się
ze swymi królewieckimi przyjaciółmi: Kurtem Reidemei-
sterem (1893–1971) i Gáborem Szegő (1895–1985). Był to
ostatni taki kongres, który przebiegał w duchowo wolnej
i nieskrępowanej atmosferze, godnej spotkania ludzi
nauki. Nikt z tam obecnych chyba nie przewidywał, że
niebawem Niemcy przeżywać będą czarny okres nieto-
lerancji, pogardy dla jednostki, zamachów na godność
człowieka, prześladowań i terroru, a środowisko akade-
mickie dotknie akcja usuwania uczonych pochodzenia
żydowskiego z pozycji zajmowanych w uniwersytetach
i w najlepszym razie zmuszania ich do emigracji.

CZAS PRZESTĘPCZEJ GŁUPOTY

Z chwilą dojścia do władzy Hitlera w marcu 1933 roku
ponad 300 profesorów niemieckich uniwersytetów pod-
pisało tzw. Odezwę 300 (*Aufruf der 300*), w której deklaro-
wali udział w „wielkim dziele” narodowosocjalistycznego
ruchu. Podpisy były zbierane przez organizację młodzie-
żowe działające w Niemczech od 1926 roku. Najwięcej
podpisów było z Berlina – 90, z Kilonii – 26, a z Getyndgi
tylko trzy. Wśród 312 podpisów nie było podpisu Theo-
dora Kaluzy. W rozmowach z kolegami – profesorami,
komentując działania nowej władzy i to, co dzieje się
w środowisku, często używał określenia *verbrecherische
Dummheit* (przestępcza głupota). Fakt, że był weteranem
I wojny światowej, dawał mu swego rodzaju ochronę
przed ewentualnymi represjami. Już 7 kwietnia 1933 roku
wprowadzono ustawę, w oparciu o którą profesorowie
pochodzenia żydowskiego utracili swoje etaty na uni-
wersytetach. Uczni tego formatu, co urodzeni we Wroc-
ławiu Max Born i Fritz Haber (1868–1934), a także m.in.
Albert Einstein (1879–1955), Emmy Noether (1882–1935)
i James Frank (1882–1964), zostali zmuszeni do emigracji.
W wyniku tej ustawy do końca 1934 roku ponad tysiąc
profesorów i docentów, czyli ok. 15 proc. kadry na nie-

mieckich uniwersytetach, utraciło swoje etaty. W tym
samym czasie kolejnych ok. 400 uczonych opuściło hit-
lerowskie Niemcy. Z Kilonii odeszło wtedy 35 profeso-
rów, wśród nich bliskich przyjaciół Kaluzy: A. Fraenkel,
W. Feller i H. Rosenberg (1879–1940). W sprawie zwolnienia
Willy'ego Feller interweniował Kaluza, w piśmie do mi-
nistra Rzeszy, w którym podkreślał potrzebę utrzymania
odpowiedniego poziomu nauczania matematyki w Kilo-
nii. Odpowiedzi się nie doczekał. Willy Feller znalazł pracę
najpierw w Kopenhadze, nieco później w Sztokholmie,
a w końcu wyemigrował do USA, do Princeton. Do koń-
ca życia utrzymywał bliskie kontakty z rodziną Kaluzów,
a szczególnie z Theodorem juniorem.

Abraham Fraenkel w tym czasie wykładał także
w Jerozolimie, zdecydował się więc nie wracać do Kilonii.
Kaluza, jako jedyny wtedy *Ordinarius* z matematyki, miał
wpływ na obsadzenie etatu zwolnionego przez Fraen-
kla. Na pierwszych dwóch miejscach uplasował swoich
przyjaciół z Królewca: Kurta Reidemeistera i Wenera
Rogosinskiego (1894–1964). Obaj byli w tym czasie byli
urlopowani, pierwszy z nich był szukanowany ze wzglę-
dów politycznych (sprzeciwił się żądaniom młodzień-
ców bojówek nazistowskich), a drugi był pochodzenia
żydowskiego. Przełożeni Kaluzy, dziekan i rektor uniwer-
sytetu kilońskiego nie zauważyli tych „niestosowności”
i wniosek do ministerstwa został wysłany. Obaj mieli
w związku z tym duże kłopoty w ministerstwie. Samego
wnioskodawcy (Kaluza) bezpośrednio nie dotknęły
żadne reperkusje oprócz tego, że konkurs unieważniono
i etat po Fraenklu pozostał przez prawie cztery lata nie-
obsadzony.

Sytuacja na uniwersytecie w Kilonii stawała się dla Ka-
luzy trudna: na 189 profesorów aż 101 należało do NSDAP.
Kaluza był oczywiście jednym z tych 88 pozostałych. Ter-
ror, inicjowany głównie przez organizację młodzieżową,
przybierał na sile. Dziesiątego maja 1933 roku odbyła się
akcja palenia „złych” książek, nazwanych przez nazistów
zersetzendes Gift („rozkładająca trucizna”) dla ludu. Rodzi-
na Kaluzów szybko odczuła wpływ sił nowego systemu:
brat Anny Kaluza i przyjaciel szkolny Theodora, Leo Beyer,
adwokat z Królewca, pewnego dnia pojawił się w ich
domu w Kilonii, wynędniał i obdarty. Od kilku miesięcy
cała rodzina nie miała pojęcia, co się z nim dzieje – ostat-
ni raz widziano go w królewieckim sądzie, gdzie właśnie
uzyskał wyrok niewinności dla swego klienta. Bezpo-
średnio po wyjściu z sali sądowej ów klient został porwa-
ny przez nieznaną sprawców. Leo Beyer interweniował



Dom przy ulicy Niemannsweg w Kilonii, w którym zamieszkiwała rodzina Kaluzów

w związku z tym w prokuraturze i... sam został zatrzymany, po czym osadzono go w obozie koncentracyjnym. W domu Kaluzów, w Kilonii, znalazł czasowe schronienie, a później rodzina pomogła mu w ucieczce do Belgii.

Mimo tego bolesnego doświadczenia Theodor Kaluza był konsekwentny w swych działaniach akademickich, nie zważając na oczekiwania narodowych socjalistów. Wiosną 1933 roku zaprosił do Kilonii Gábora Szegő, celem wygłoszenia wykładu. Spotkało się to z ostrą reakcją organizacji studenckiej, która skierowała oficjalny protest do rektora, zawierający groźbę, że w przyszłości studenci nie będą tolerowali gościnnych żydowskich wykładów.

We wrześniu następnego roku rodzina Gábora Szegő podjęła decyzję o emigracji. Anna Kaluza bardzo cierpiała z tego powodu i podupadła mocno na zdrowiu. Często musiała wyjeżdżać na leczenie do Bawarii.

W 1935 roku ministerstwo poinformowało Theodora Kaluzę, że zamierza go przenieść do Getyngi. Za tą propozycją stała najprawdopodobniej opinia emerytowanego już wtedy Dawida Hilberta, którego ministerstwo poprosiło o rekomendowanie następcy na miejsce wspomnianego już wcześniej Richarda Couranta. Getynga pilnie potrzebowała wzmocnienia kadrowego: w ciągu trzech lat utraciła bowiem ośmiu światowej klasy matematyków. Znowu nazwisko Kaluzy znalazło się na trzeciej pozycji listy rankingowej. Konkurentami Kaluzy byli: Erich Trefftz (1888–1937), który studiował u Hilberta, Eberhard Hopf (1902–1983), który studiował na Harvardzie i Massachusetts Institute of Technology oraz Konrad Knopp (1882–1957), który studiował głównie w Berlinie, a wypromowany został przez urodzonego we Wrocławiu Friedricha Schottky'ego (1851–1935). Z monografii Daniela Wuensche wynika, że związana z rozstrzygnięciem konkursu korespondencja pomiędzy władzami Uniwersytetu w Getyndze a ministerstwem była bardzo obszerna, wskazująca na różnorodne aspekty (z politycznymi włącznie), które były brane pod uwagę. Ostateczne etat *Ordinariusa* przyznano Theodorowi Kaluzy. Pomimo znanego, krytycznego nastawienia Kaluzy do reżimu, aspekty merytoryczne wzięły górę. Zadecydowały: wszechstronność, głęboka wiedza i bardzo wysokie kompetencje pedagogiczne Kaluzy.

We wrześniu 1935 roku małżeństwo Kaluza przeprowadziło się z mocno nasiąkniętego nazizmem środowiska akademickiego w Kilonii do dużo bardziej przyjaznej pod tym względem Getyngi. Zamieszkali w dzielnicy profesorskiej, w domu przy ulicy Heinholzweg 64. Stąd w pół godziny można było dotrzeć pieszo do budynku Instytutu Matematycznego położonego przy Bunsenstrasse, ulicy przypominającej o znanym fizyku i chemiku, Robertcie Bunsenie, który urodził się w Getyndze w 1911 roku, tam też przeszedł całą drogę edukacyjną: skończył gimnazjum, studiował, doktoryzował się i habilitował. Na stanowisku profesora chemii pracował kolejno w Kassel, Marburgu, we Wrocławiu (1850–1852) i w Heidelbergu, gdzie zmarł w 1899 roku.

JERZY BESKI

TEN NIEBORAK DUCHAMP

Postmodernizm, poststrukturalizm, postmodernizm oporu, nowy podmiotowizm, transawangarda, konceptualizm, sztuka procesu, sztuka kinetyczna, sztuka ziemi, sztuka video, voyeuzyzm, *cross dressing* i następne, wiele następnych tendencji w nowej sztuce. Chyba połowy z nich nie rozumiem. Ale nie przejmuję się tym, bo wiem, że część z nich, i to spora część, nie jest sztuką. To nie jest nowe zjawisko. Tak już było 100 lat temu. W pierwszych dekadach dwudziestego wieku Twórcy rozpoczęli wyścig do nowoczesnej sztuki. I wyścig trwa. Mety nie ma. Ale co ma wspólnego wyścig ze sztuką? Co jest sztuką, a co nie jest? Warto byłoby znaleźć odpowiedź.

Biorę do rąk opasłą książkę prawie 500-stronicową. Tytuł: *Duchamp. Biografia*. Napisał Calvin Tomkins. Autor budzi zaufanie. Pisał tę biografię dziewięć lat. Przeprowadził niezliczoną ilość konsultacji, wywiadów i dociekliwych dyskusji z przyjaciółmi i współpracownikami Duchampa, a także wdową p. Aleksiną Duchamp.

W jego opowieści biografa i świadectwach licznych przyjaciół Duchamp jawi się jako człowiek obdarzony oryginalną urodą, towarzyski, błyskotliwie inteligentny i czarujący. Potrafił być bardzo otwarty i szczery, nieraz prawdomówny aż do bólu, ale równocześnie był chłodny i zdystansowany, także wobec siebie samego, ironiczny i kpiarski. Chętnie wypowiadał się o swojej sztuce, ale nie zawsze zrozumiale. Uwielbiał gry słowne, kalambury, purnonsensowne żarty i paradoksy. Jego życiową, nigdy niesłabnącą pasją, były szachy. Odnosił znaczne sukcesy na międzynarodowych turniejach. Marzył o karierze zawodowego szachisty.

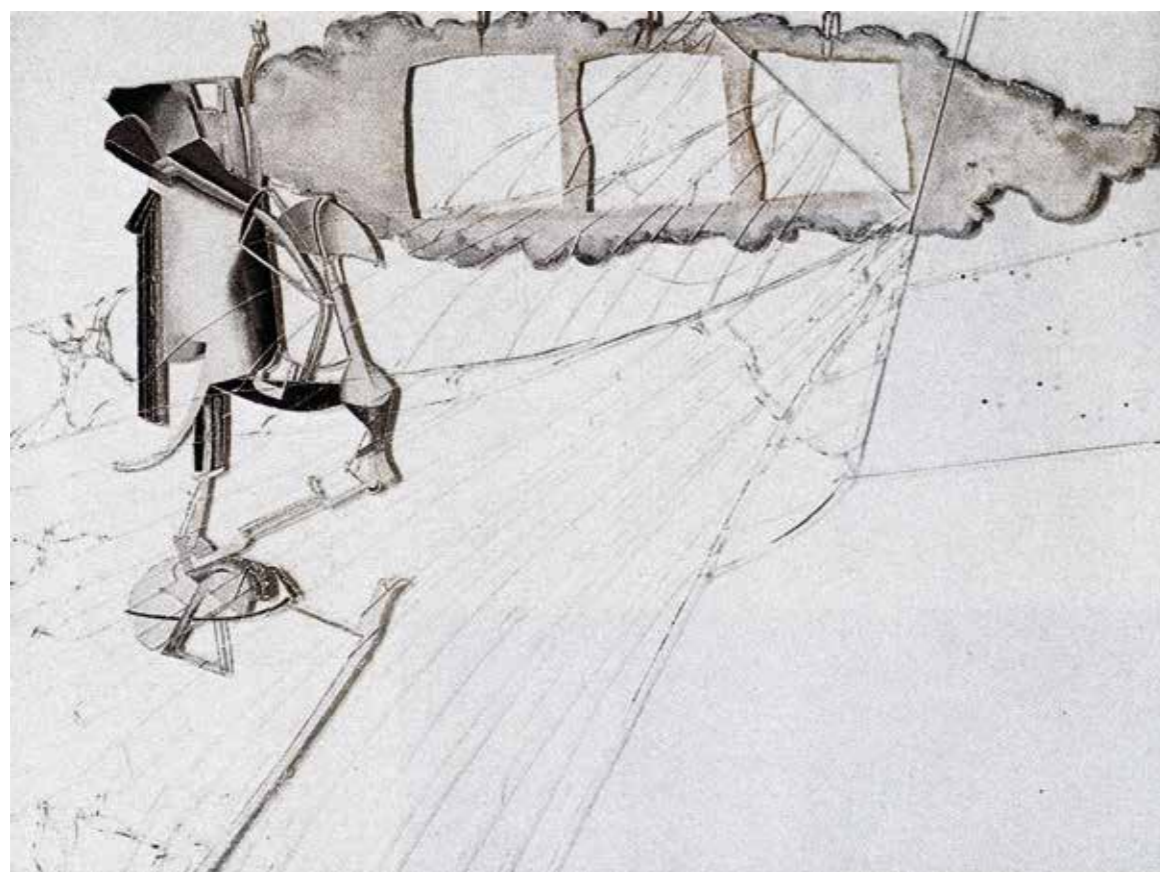
Życiorys artystyczny Duchampa dzieli się na wyraźne etapy. Młodzieńczy, kiedy poszukiwał swoich możliwości w modnych awangardowych prądach. Duchamp wspomina: „Między 1906 i 1910 albo 1911 błąkałem się pomiędzy różnymi stylami, zahaczając o fowizm, kubizm i powracając nieraz do rzeczy bardziej klasycznych”. Lata 1912–1923: czas buntu, negacji i radykalnych przewartościowań podstaw sztuki. Lata 1923–1946: impas twórczy, całkowite odejście od jakichkolwiek działań artystycznych. Lata 1946–1968: potajemnie pracuje nad ostatnim dziełem – wielką instalacją *Etant Donnée*.

Etap pierwszy pomijam.

Etap drugi – czas radykalnych poszukiwań. Ówczesną całą sztukę, w tym i swoją, określił mianem „siatkówkowej”. Znaczyło to, w jego rozumieniu, że jest ona jednostronnym, zmysłowym tylko postrzeganiem świata i tym samym płytkim i powierzchownym. Według jego koncepcji sztuka powinna być tworem intelektualno-optycznym. Jak to dokładnie zdefiniował „równoważną mieszkanką pojęć werbalnych i wizualnych”. W 1915 roku przystąpił do realizacji tej idei w dziele swojego życia zwanym *Wielką Szybą*, a czasem „opóźnieniem w szkle”. Podłożem dzieła jest szyba wysokości 2 metrów, na której zostały skomponowane wyobrażenia wizualne. Ta *Wielka Szyba* jest tylko elementem składowym utworu obdarzonego tytułem *Panna młoda rozebrana przez swych kawalerów – jednak*. Drugą równoważną częścią jest tekst literacki. Jest on bardzo rozbudowany, miewa formę białego wiersza, często skomplikowany i nadrealistycznie niejasny. W swojej treści odnosi się do elementów wizualnych rozmieszczonych w *Wielkiej Szybie*. Tekst został opublikowany w zielonych pudełkach wypełnionych przeróżnymi notatkami, strzępkami informacji, nieraz bardzo dziwnych. Przykładem może być tekst odnoszący się do kształtu w *Wielkiej Szybie* nazwanym przez Duchampa „ślizgowcem”:

Ślizgowiec wysławia melancholijną litanie, pieśń pogrzebową, która może wyrazić sytuację kawalerów:

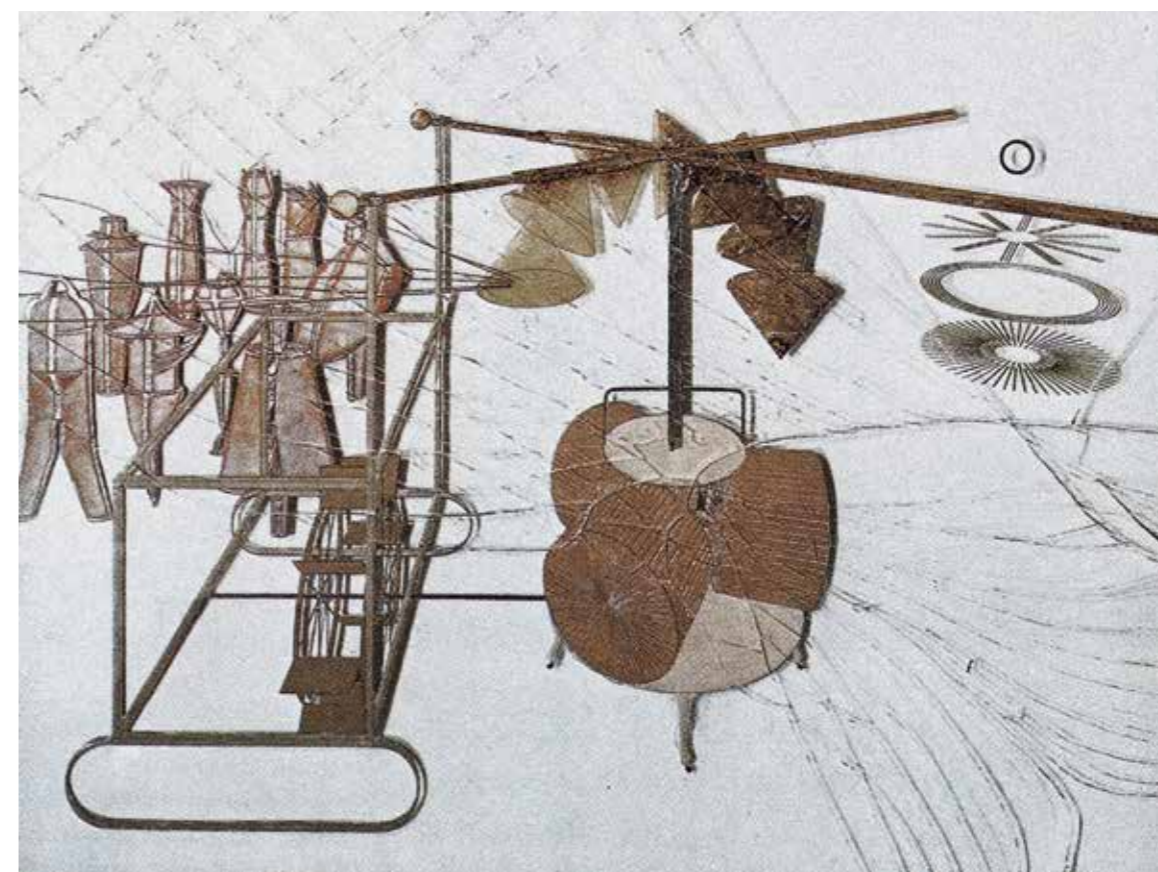
*powolne życie
błędne koło
onanizm
poziomy
powtórna droga do bufora
upadek życia
tania konstrukcja
blacha, sznury, druty
ekscentryczne drewniane koło
monotonne koło zamachowe
piwny profesor.*

Henri-Robert Marcel Duchamp, *Wielka Szyba*

Inny tekst wyjaśnia np., że panna młoda to „maszyna rolnicza – maszyna do uprawy” lub panna młoda „jest zasadniczo silnikiem”.

Sama *Wielka Szyba* – wizualna część dzieła, jest niekomunikatywna. Składa się z form abstrakcyjnych z pewnymi wyjątkami – jak realistycznie przedstawiony młyn do czekolady lub przypominające schematyczne figury ludzkie tzw. formy samcze. To w zamierzeniu integralne dzieło jest całkowicie niekoherentne. Nieczytelna *Szyba* jest tworem samym dla siebie, bardzo trudnym do identyfikacji z tekstem i vice versa. Tomkins twierdzi, że nikt nie jest w stanie zrozumieć *Szyby*. Istnieją tylko domysły, poszlaki, że inspiracją *Wielkiej Szyby* była powieść Raymonda Roussela *Impressions d'Afrique*. Metoda literacka Roussela opierała się na wyszukanych, nonsensownych grach słownych. W jego prozie szalały kalambury, homofony, przypadkowe zdania lub slogany, zdarzenia

były absurdalne i alogiczne. Ciekawą sugestią dotyczącą tajemniczej nieczytelności *Wielkiej Szyby* znalazłem w tekście Andrzeja Turowskiego. Píše, że Duchamp, zapytany o źródło *Wielkiej Szyby*, odpowiedział: „Przypomina Pan sobie kogoś o nazwisku Povolovsky?”. Chodziło o Gustawa Pawłowskiego, autora powieści i sztuki *Podróż do krainy czwartego wymiaru*. Bardzo prawdopodobne, że Duchamp, tworząc *Wielką Szybę*, uważał, że tworzy w czwartym wymiarze. Sam twórca o swoim dziele pisze tak: Powiedz „opóźnienie” zamiast obraz lub rysunek. Uczynić z obrazu „opóźnienie” w sposób najbardziej ogólny, nie tyle przez różnorodne znaczenia, jakie „opóźnienie” ze sobą niesie, ile raczej w ich chwiejnym połączeniu – to sposoby, aby nie myśleć już o rzeczy, o której mówimy, jako o obrazie”. W innym miejscu: „Opóźnienie w *Szkle*, jak można by powiedzieć, poemat prozą, lub spluwaczka w srebrze”. Jeszcze innym: „*Szyba*

Henri-Robert Marcel Duchamp, *Wielka Szyba*

nie jest moją autobiografią ani wyrazem siebie samego. Przedstawiony na szybie proces nie nadaje się do analizy logicznej”.

Trwające siedem lat prace przy *Wielkiej Szybie* zostały w 1923 roku przerwane. Rok wcześniej, w liście, zwierza się: „Trochę nad nią pracuję, ale to takie nudne”. Później powie: „Ogarnęło mnie znudzenie, stawiałem sobie pytanie o sens dalszych działań”. Uznał w końcu, że *Szyba* jest ostatecznie niedokończona. *Inachévé* – jak ją podpisał. *Wielka Szyba* okazała się tworem niezbornym. Nie spełniła nadziei twórcy. Nie wierzę, żeby Duchamp, obdarzony niezwykłą bystrością, nie uświadamiał sobie tego. Co miał na myśli, mówiąc: „Akt twórczy to proces, w którym pojawia się przepaść między zamierzeniami a efektem końcowym”. Po latach tak skomentował ten okres swojej twórczości: „Naprawdę próbowałem wymyślać, zamiast po prostu wyrażać samego siebie”.

W 1913 roku Duchamp zadał sobie pytanie „czy można stworzyć dzieło, które nie będzie dziełem sztuki?”. Czy *Wielka Szyba* jest próbą odpowiedzi na to pytanie? Z pewnością częściową, ale nie jedyną. Działając instynktownie, z początku całkowicie nieświadomie, zbliżał się do swojej najbardziej kontrowersyjnej działalności, do tzw. sztuki przedmiotu, nazwanej przez niego *ready mades* (gotowe przedmioty). Jest ich około dwudziestu, ale kanonicznych sporo mniej. Opiszę je dokładnie, ponieważ na te obiekty powołują się prawie wszyscy radykalni nowatorzy, nadając im rangę arcydzieł, które otworzyły nową epokę w sztukach wizualnych.

Pierwszym było koło rowerowe. Rok 1913. Duchamp przednie koło rowerowe osadził na drewnianym stołku. Opowiadał, że cieszyło go migotanie szprych kręcącego się koła. Niejednokrotnie powtarzał, że robiąc je, nie miał nic konkretnego na myśli. „To nie było na pokaz, tylko dla mojego użytku”.

Drugie w tym samym roku. Trzy litografie przedstawiające drzewa. Na każdej robi dwie kolorowe kropki.

Trzecie, też w tym samym roku. Suszarka do butelek. „Kupiłem ją jako stworzoną już rzeźbę”.

Czwarte – 1915 rok. Kupił w sklepie żelaznym w Nowym Jorku szuflę do odgarniania śniegu. Na trzonku napisał: *W przewidywaniu złamanej ręki (od) Marcela Duchampa 1915*.

Jest to pierwsze *ready made* świadomie wybrane i zdefiniowane: „egzemplarz masowej produkcji estetycznie obojętnej; dzieło sztuki stworzone nie ręką i talentem, lecz umysłem i decyzją artysty”. Po upływie lat powiedział: „Ciekawą sprawą z *ready made* jest to, że nigdy nie zdołałem dotrzeć do takiej jego definicji lub wytłumaczenia, które byłoby dla mnie w pełni satysfakcjonujące. *Ready made* to był sposób na zaprzeczenie możliwości zdefiniowania sztuki”.

Piąte – 1916 rok. Duchamp kupuje kominkowy wentylator i zaopatruje w podpis: *Pociągnięty za 4 szpilki*.

Szóste w tym samym roku. Grzebień do psiej sierści podpisuje: *Trzy lub cztery krople wysokości (lub pychy) nie mają nic wspólnego z barbarzyństwem*.

Siódme również w 1916 roku. Pokrowiec z impregnowanego płótna został zatytułowany: *Podszycie lasu*.

Ósme z tego samego roku. Gospodarczy sznurek zwinięty w kulę, obdarzony dwoma tytułami: *A, z ukrytym dźwiękiem. Wielkanoc 1916. B, zaszyfrowany tekst złożony ze słów angielskich i francuskich*.

Dziewiąte również z tego roku. Cztery karty pocztowe, a w nich teksty: „Ktoś będzie bez w tym samym czasie mniej niż przed pięcioma wyborami a także pewna, znajomość z małymi zwierzętami. Ktoś musi zająć tę rozkosz, aby odrzucić odpowiedzialność za nią”. Duchamp zwierzył się, że poświęcił wiele godzin, aby wykluczyć z tych zdań jakkolwiek zrozumiałą treść.

Dziesiąte (Tomkins nie podał daty). Duchamp podpisał w restauracji wiszący wielki obraz batalistyczny, który oczywiście już był podpisany przez autora.

Jedenaste. Rok 1917. Duchamp w reklamie farby SA-POLINA przemałował kilka liter tworząc napis A POLINERE EMANELED przypominający nazwisko poety Apollinaire’a, jego przyjaciela.

Dwunaste z tego samego roku to *trébuchet* od czasownika *trébucher* – potykać się. Drewniany wieszak na płaszcze przybity do podłogi.

Trzynaste również w 1917 roku. Wieszak na kapelusze powieszony pod sufitem pokoju, w którym Duchamp mieszkał.

Czternaste z tego samego roku. Najbardziej znane. Duchamp wraz z przyjaciółmi Walterem Arensbergiem i Josephem Stellą udali się do salonu artykułów żelaznych J. L. Motta, wytwórcy urządzeń hydraulicznych. Zakupili model porcelanowego pisuaru, który Duchamp zabrał do pracowni i podpisał R. MUTT i zaopatrzył datą 1917. Następnie posłaniec dostarczył pisuar do Grand Central Palace, w którym miała być otwarta I wystawa Stowarzyszenia Niezależnych Artystów. Pisuar otrzymał nazwę *Fontanna*. Smaczkiem szczególnym jest fakt, że Duchamp i Arensberg byli jednymi z inicjatorów powołania stowarzyszenia i jego członkami, a ponadto Duchamp był przewodniczącym komisji montażu wystawy. Gdy powstał zażarty spór o to, czy pozwolić na wystawienie *Fontanny*, Arensberg, który był członkiem zarządu stowarzyszenia, argumentował: „Odsłonięta została urocza forma, oswobodzona ze swych funkcji użytkowych. Tak więc oczywisty jest wkład estetyczny autora”. Ostatecznie nie dopuszczono *Fontanny* do udziału w wystawie. Sam eksponat zaginął w niejasnych okolicznościach, ale zachowała się jego fotografia. Gruby żart, prowokacja nie udały się. Duchamp i Arensberg złożyli rezygnację ze swoich funkcji. Zaginięcie eksponatu nie było końcem afery. Było jej początkiem. Duchamp fantazjował, że Arensberg odszukał pisuar-fontannę i zrobił wielkie widowisko, kupując go i wynosząc triumfalnie z Grand Central Palace. Niewybredny, psi żart zaczynał nowe życie jako mit. Duchamp pisał do Suzanne, swojej siostry: „Jedna z moich przyjaciółek pod męskim pseudonimem Richard Mutt przesłała porcelanowy pisuar jako rzeźbę na Wystawę Niezależnych”. Tak Duchamp lekkim krokiem i beztrząsco wkroczył na ścieżkę zakłamywania faktów. Stracił dystans? A może uległ pociągającej zabawie, przyprawionej cynizmem? Nie upłynęło wiele czasu, gdy zaczęły pojawiać się repliki *Fontanny*. Duchamp autoryzował je. W 1989 roku Meril Collection w Houston poświęciła *Fontannie* i jej licznym replikom całą wystawę. Historyk sztuki William A. Comfield napisał esej o *Fontannie*, którego objętość równa jest sporej książce.

Piętnaste *ready made* „powstało”, kiedy Duchamp przebywał w Buenos Aires. Jest to prezent ślubny w postaci instrukcji. Polecała, aby na sznurze do suszenia białizny, który rozpięty jest na balkonie, zawiesić grzbietem do góry otwartą książkę o geometrii.

Szesnaste powstało w Paryżu w 1919 roku. Duchamp wykonał bardzo wierną i zarazem żartobliwą imitację czeku, którym zapłacił dentyście za leczenie.

Siedemnaste w tym samym roku. Na popularnej re-produkcji Mony Lisy wrysował w jej twarz wąsy i bródkę i podpisał L.H.O.O.Q. Te nic nie znaczące litery przeczytane na głos mają komunikować „Jest jej gorąco w tyłek”.

Osiemnaste również z roku 1919. Jest to dwunastocentymetrowej wysokości szklana ampułka na lekarstwa lub odczyn, która została opróżniona z zawartości i z powrotem zaplombowana. Nosi nazwę: 50 mililitrów paryskiego powietrza. Jest prezentem dla nowojorskich przyjaciół Duchampa.

Dziewiętnaste, jedno z ostatnich, powstało w Nowym Jorku w 1920 roku. Klatkę na ptaki Duchamp wypełnił kostkami białego marmuru ludzko naśladowymi kostki cukru. Dodał termometr i kawałki ości. Podpis *Why not sneeze Rose Sélyv?* jest nierozszyfrowalny. Jedynie Rose Sélyv, będące pseudonimem Duchampa, tłumaczy się jako «*est la vie*, może też być rozumiane jako jego alter ego.

Ostatnie dwudzieste *ready made* z 1923 roku. List gończy ze zdjęciami paszportowymi Duchampa z napisem WANTED 2000\$ nagrody.

Czym są *ready mades*? Na pewno nie arcydziełami, jak głoszą bezkrytyczni wielbiele Duchampa, są żartami, przewrotnymi i purnonsensownymi, zabawą towarzyską, czasem ryzykowną parodią sztuki. Są mniej lub więcej dowcipne i na tym kończy się ich wartość. Ich ideowość w dużym stopniu jest dorobiona i zmitologizowana. Definicja *ready mades* nie wytrzymuje najprostszej analizy. „Egzemplarz masowej produkcji estetycznie obojętnej, dzieło sztuki stworzone nie ręką i talentem, lecz umysłem i decyzją artysty”. Same absurdy w dodatku pretensjonalne i nadęte (jakby w ironicznym żarcie!). Do tworzenia sztuki niepotrzebny jest talent? Decyzją artysty, nie ręką (działaniem), coś można stworzyć?

Ach tak! – można kupić. Ale kupić i tworzyć to nie samo. Czy istnieje coś, co jest estetycznie obojętne? Ale kto to jest artysta? Ach! To ten, co dokonuje wyboru. To sama decyzja wystarczy, żeby coś estetycznie obojętne stało się dziełem? Egzemplarz masowej produkcji też? Brawo! Jesteśmy zasypiani dziełami sztuki. Ale przepraszam! Potrzebna jest decyzja artysty! Więc – artystami nie są ci, którzy tworzą, lecz ci, którzy decydują – oczywiście rozumnie. Czym jest nowoczesne dzieło sztuki? Jest czymś estetycznie obojętnym (żadnym), wybranym (namaszczone) przez artystę.

W tej definicji dzieła sztuki najważniejsze jest, żeby artysta się nie przemęczał. Ale Duchamp w rzeczywistości tak nie myślał. W 1957 roku w Houston podczas zjazdu American Federation of Art wygłosił esej pod tytułem *Akt twórczy*. Cytuję urywek: „W akcie twórczym drogą artysty od intencji do jej realizacji jest łańcuch całkowicie subiektywnych reakcji. Jego walka o realizację to seria wysiłków, bólu, satysfakcji, decyzji, które nie mogą być i nie są w pełni świadome, przynajmniej na płaszczyźnie estetycznej”.

Po głębokim impasie twórczym, który trwał do 1946 roku, Duchamp w całkowitej tajemnicy rozpoczyna prace nad swoim ostatnim dziełem, wielką instalacją zatytułowaną *ETANT DONNÉ: Marie la chute d'eau et le gaz d'éclairage. 1946–1966 (STAN RZECZY lub ZAKŁADAJĄC: Maria, wodospad i gaz oświetleniowy)*. Instalację stanowi: osadzone w ścianie stare drzwi, które na wysokości oczu mają dwa otwory. Przez nie podglądacz widzi ceglany mur ze sporym wylomem. Za nim leżąca naga kobieta. Jej nogi skierowane w kierunku widza są rozchylone. Między nimi rozchylona pochwa. Kompozycję zamyka przestrzenny krajobraz z wodospadem. Wszystkie elementy instalacji są zaskakująco naturalistyczne, są dosłowną kopią natury – wręcz jej imitacją.

Treścią instalacji jest Eros i seks ryzykownie zbliżający się do pornografii. Robert Lebel, pierwszy biografista Duchampa, dopóki nie widział tej instalacji, twierdził, że cokolwiek robi Duchamp, jest to dzieło sztuki *per se*. Jednak kiedy ją zobaczył, zaopiniował: „To praca odpychająca, wstrząsająca niewyszukana, amatorska. Mnie *Etant donné* kojarzy się z fotoplastikonem porno”. Myślę, że Duchamp w tej jeszcze jednej próbie znalezienia nowego języka sztuki świadomie odrzucił jakąkolwiek umowność. *Etant donné* jest imitacją natury, jest nieskazitelnie naturalistyczne. Tymczasem cechą podstawową sztuki jest umowność, konwencja. Czasem używane są zamiennie takie pojęcia jak styl, osobowość, szkoła, poetyka. Często Duchamp przedstawiony jest jako szermierz wolności w sztuce. Tak, wolność w sztuce jest czymś bardzo istotnym, ale jest to wolność specyficzna – dotyczy swobody wyboru konwencji, rodzaju umowności. Nigdy nie oznacza odrzucenia konwencji w ogóle. Nie ma sztuki bez jej samoograniczenia się, bez przyjęcia takiej lub innej umowności. Dosłowność, bezprogramowy weryzm jest niesztuką. Często, zbyt często, młodzi gniewni tego nie rozumieją i torturują nas bezmyślnym kalkowaniem świata, obwieszczając radośnie, że wszystko jest sztuką.

Kiedy zanurzałem się w materię biografii artystycznej Duchampa, narastało we mnie zaprawione zdumieniem pytanie: Jak artysta o tak niepokojącym i kontrowersyjnym dorobku (wystarczy porównać z dorobkiem W. Hasióra albo J. Beresia) zdołał osiągnąć pozycję patrona światowej awangardy? Odpowiedź znalazła się szybko. Niezauważana i niedoceniana, jest ważna, bo dotyczy tajemnicy Duchampa.

Na początku okresu buntu w 1915 roku Duchamp skomponował cztery tak zwane zielone pudełka. Stanowiły integralną część *Wielkiej Szyby*. Wewnątrz zielonego pudełka znajdowało się 16 notatek i jeden rysunek. Po upływie prawie dwudziestu lat w 1934 roku Duchamp powrócił do konceptu ze skrzynkami, chociaż od dziesięciu lat niczego w dziedzinie sztuki wizualnej nie tworzył. Powstały 33 *boite verte* standardowe i 10 sztuk luksusowych. Zawartość ich jest następująca: 77 szkiców i notatek dotyczących *Wielkiej Szyby*, 17 doskonałych reprodukcji wcześniejszych prac i kilka rzeczy niezwiązanych tematycznie z pozostałymi. Koncepcja pudełek zaczęła wyraźnie się zmieniać. Duchamp przeprosił się ze swoimi obrazami powstałymi w okresie siatkówkowym sprzed czasów buntu. Pudełka przestały być tylko integralną częścią *Szyby*. Stawały się tworamiami niezależnymi, już tylko częściowo związanymi z *Szybą*.

W następnym roku pracował nad wydaniem albumowym reprodukcji wszystkich swoich wyselekcjonowanych prac. Doskonałe faksymile do 400 albumów wykonywał własnoręcznie przez pięć lat.

W 1939 roku ponownie wrócił do idei pudełek, ale pełniły już całkowicie nową rolę. Zawierały doskonałe faksymile tekstów i reprodukcje obrazów oraz wykonane z wielką wiernością miniatury *ready mades*. Skompletował 300 zielonych pudełek standardowych i 20 pudełek w walizkach ze skóry. Oczywiście wszystkie pudełka są autoryzowane. Są dziełami wykonanymi osobiście. W obiegu kolekcjonersko-muzealnym znalazło się w sumie 667 zielonych pudełek i 400 albumów autorskich.

Duchamp wytrwale pomnażał siebie, nie tworząc nic nowego. Przyjął też nową interpretację swojego dorobku. Według niej wszystko, co wyszło spod jego ręki, ma logiczny związek ze sobą i wspólny wewnętrzny sens.

W 1960 roku zielone pudełko zostało wydane w wersji książkowej i przetłumaczone na język angielski. Potem wyszły wersje: hiszpańska, włoska, niemiecka, szwedzka i japońska. Pojawiły się również kopie w skali 1:1 *Wielkiej Szyby* autoryzowane przez autora i wiele kopii większo-

ści *ready mades*. Muzea, zwłaszcza amerykańskie, zostały nasycone twórczością Duchampa. Pojawił się też nowy stosunek do kopii. Niezależnie od tego, czy oryginał zaginął, czy nie (zaginęły koło rowerowe, suszarka na butelki, fontanna-pisuar), kopie obojętnie jak liczne traktowane są jak oryginały. Kopia koła rowerowego w 1987 roku uzyskała cenę 350,000\$. Duchamp całą swoją węgę twórczą skanalizował w dziele propagandowym – w zielonych pudełkach. Tajemnica Duchampa okazuje się mitem. Swoją sławę ugruntował pracowitą autokremlą.

Mit Duchampa, radykalnego nowatora, rósł i bez jego udziału. Andre Breton „papież nadrealizmu” o *Wielkiej Szybie* pisał: „W tej pracy nie można nie zobaczyć przynajmniej trofeum z bajkowego polowania na dziewiczym terytorium, na granicach erotyzmu, spekulacji filozoficznych, ducha współzawodnictwa sportowego, ostatnich nowości w dziedzinie nauki, liryzmu i humoru (...) jest to najważniejsza praca XX wieku, profetycznym punktem zwrotnym dla nadchodzących pokoleń. (...), cudownie widzieć, jak nienaruszona pozostaje jej siła antycypacji (...). Należy utrzymywać tę świetlistość, aby prowadziła statki przyszłości w kierunku cywilizacji zbliżającej się ku końcowi”.

Inny entuzjasta twórczości Duchampa, Jack Bauman, odkrył, że jego idol w 1912 roku wyjechał do Monachium na poszukiwanie rękopisu traktującego o alchemii. Utrzymywał, że notatki z zielonego pudełka „składają się na serię kamieni stanowiących przejście” do tradycji gnostycznej, okultystycznych religii Egiptu, orfickich misterii greckich, kabalistycznych studiów żydowskich, wolnomularstwa i doktryny buddyżmu tantrycznego i zło-tego eliksiru taoizmu na Wschodzie.

Nasz rodzimy krytyk, Piotr Piotrowski, w publikacji pt. *W cieniu Duchampa* pisze: „Marcel Duchamp był tym Europejczykiem, który nie tylko odkrył ową hiperrzeczywistość, a więc rzeczywistość o tyle realną, o ile odbitą w reprodukcji i zawartą w materialnym standardowym przedmiocie, ale też przyczynił się do jej rozwinięcia do „sztuki zdolnej do jej penetracji”. Odkrył charakterystyczną dla Ameryki wartość w tradycji pozamuzealnej na ulicy, widząc w muzeumifikacji – mówiąc dalej językiem Baudrillarda – jedynie wtórne narzędzie porządkowania świata dokonywane przez rządne hierarchie społeczeństwo. Duchamp odkrył materialność przedmiotu jako cechę wyprzedzającą pojęcie, co więcej – kreującą pojęcie, a to przecież, jak pisał Baudrillard – Europejczykom nie mieściło się w głowie”. Cóż? Europejczykom rzeczywiście

nie mieściło się w głowie bezkrytyczne akceptowanie „odkryć” Duchampa. W momencie jego śmierci w 1968 roku w zbiorach francuskich znajdowała się tylko jedna jego praca. Europejczycy ostro i nieulgowo krytykowali amerykańską rewizję sztuki proponowaną przez Duchampa. Mieli dość własnych mitów. Głosy o wystawie dorobku Duchampa w Tate Gallery w roku 1966: „szokująco kiepska”; „wystawa absolutnie mało zabawnym ćwiczeniem w świecącej oślepiającym blaskiem trywialności”; „łatwowierni Amerykanie zostali jak zwykle nabrani przez niepoprawnego żartownisia”. Główny krytyk „Timesa” John Canaday: „Duchamp był prawdopodobnie najbardziej destruktywnym artystą w historii, a także obok Picassa najbardziej śmiałym”. Jean Sagent: „Mechanizm stworzony przez Duchampa działa jedynie wtedy, gdy nasmarujemy go humorem”. Inni dowodzili, że otworzył puszkę Pandory, że oswobodził demony, które zniszczyły kryteria wartości estetycznych, że otworzył furtkę samopobłażaniu, cynizmowi i szarlatanizmowi. Stanisław Witkiewicz – Witkacy zaopiniował krótko: „Czysta blaga”. Inni jeszcze orzekli, że jest najbardziej przece-nionym artystą XX wieku.

Z tym ostatnim twierdzeniem zgadzam się w całości. Ale nie uważam, że Duchamp jednoznacznie był czarnym ludem. Kiedy przyjrzeć się uważnie okresowi buntu, 1913-1923, to z trzech różnych dokonani (*Wielka Szyba*, *Ready Mades* i *Etant donné*) pierwsza i trzecia w założeniu są próbami konstruktywnymi, tyle tylko, że nieborakowi nie udały się. Najbardziej Duchampowskie jest dokonanie drugie i warto się mu przyjrzeć. Jego główną cechą jest negacja. Raz wesoła, raz kpiarska, ośmieszająca, ale i skandalizująca. Agresywna negacja od czasu do czasu brała górę nad zabawowymi dokonaniem *Ready Mades*. Dorysowanie Monie Lisie wąsów i bródki nie było tylko szczeniackim żartem. Działo się to w czasie, gdy Paryż uroczyście obchodził 400-lecie śmierci Leonarda da Vinci. Słowa Duchampa: „Gioconda była tak powszechnie znana i podziwiana, że użycie jej, by wywołać skandal, było

niezwykle kuszące”. Skandalem była afera z pisuarem-fontanną. Gdy nieudana prowokacja zaczęła obracać się w sukces, prawdziwy autor ujawnił się i chętnie podpisywał kopie – ale te muzealne (kolekcjonerskie). Żadnego egzemplarza w publicznym pisuarze nie podpisał. Na krawędzi skandalu plasuje się po trosze *Etant donné*. Znowu powstaje w tajemnicy. Sprzedane Philadelphia Museum of Art za 60.000 dolarów zostało obwarowane zastrzeżeniem, że może być udostępnione publiczności dopiero po śmierci autora. Użyte w tytule imię Maria jest na pewno wspomnieniem gorącego romansu z Marią Martins, w który, jak się wydaje, Duchamp był poważnie zaangażowany. Niewykluczone jednak, znając jego skłonność do szyderstw i kpin, że jest to wspomnienie zaprawione ironią i chęcią wyśmiania tamtego zdarzenia, siebie samego i publiczności, której narzucił krępującą rolę podglądaczy.

Marcel Duchamp należy do szczepu artystów, którzy pięknie i widowiskowo buntują się i rzucają zatęchłej sztuce dumne wyzwania, a gdy próby stworzenia czegoś nowego nie udają się, starają się pokryć to śmiechem i kpiną, najlepiej ze wszystkiego. Specjalnością Duchampa jest sztuka autokremlamy. Wielkiej autokremlamy, zdolnej niepowodzenia przetworzyć w mit wielkiego, wywrotowego artysty XX wieku.

Pisząc ostatnie zdania tego szkicu, stwierdzam z melancholią, że mój trud drażenia tajemnicy Duchampa jest niepotrzebny. Marcel Duchamp stał się modny już chyba na wszystkich kontynentach, a to oznacza, że zgodnie z naturą każdej mody jego mit przemija, być może bezpowrotnie.

HENRI-ROBERT MARCEL DUCHAMP (1887–1968). Francusko-amerykański malarz, poszukiwacz nowych idei twórczych. Tworzył głównie w Nowym Jorku.

CYTATY Z IMPORTU

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY „ŚLĄSK”, NR 9 (238), WRZESIEŃ 2015

LEKCJA MARTWEGO JĘZYKA

Z prof. Stanisławem S. Nicieją rozmawia Katarzyna Bereta

– *Czy pasja kolekcjonowania historii z Kresów to próba ocalenia tego, co pozostało po nie do końca zatopionej Atlantydzie? Wydaje się, że podobnie porucznik Kiekeritz w filmie „Lekcja martwego języka” Janusza Majewskiego gromadzi przedmioty, aby je uratować ze świata nieuchronnie przechodzącego do przeszłości.*

– Mówi Pani o jednej z najważniejszych powieści w moim życiu – *Lekcja martwego języka* Andrzeja Kuśniewicza. Film Majewskiego jest natomiast genialną ekranizacją, z piękną rolą Łukaszczyka i wspaniałą muzyką Kurylewicza. Nie zastanawiałem się nad moim podobieństwem do Kiekeritza, ale gdy Pani o tym wspomniała, to sobie pomyślałem, że może rzeczywiście mam coś z niego. Wyrastałem w Strzegomiu na Dolnym Śląsku, gdzie jest jeden z największych w Polsce kościołów gotyckich: z pięknymi barokowymi epitafiami i obrazami olejnymi. I jak się zastanawiam, skąd się wzięła moja fascynacja historią sztuki, to może właśnie z obcowania z tą strzegomską architekturą. Pochodzę bowiem z chłopskiej rodziny galicyjskich przesiedleńców, którzy z okolic Wadowic przenieśli się na Dolny Śląsk. Od dzieciństwa jednak fascynowała mnie historia sztuki i uroda budynków. Gdy już skończyłem studia i mogłem kolekcjonować, to rozpocząłem gromadzenie moich kolekcji, m.in. kafli piecowych, których dzisiaj mam już ponad trzysta. Zbieram, bo uważam, że obcowanie z rzeczami pięknymi zmienia i uszlachetnia człowieka. Może zatem coś z tego Kiekeritza jest we mnie...

Myszę, że z tej fascynacji wzięła się także moja pasja badania cmentarza na Łyczakowie. Kiedy przybyłem tam pierwszy raz w 1977 roku i zobaczyłem piękne rzeźby, ważne nazwiska i poezję im towarzyszącą, to stwierdziłem, że to trzeba opisać. Najpierw zrobiłem to dla siebie, do szuflady, a później okazało się, że także dla czytelników.

– *Stanisław Lem w filmie dokumentalnym z 1996 roku stwierdził, że chociaż bardzo tęskni za Lwowem, to jednak nie chce go nawet odwiedzić, gdyż nie ma w nim już ludzi; a same kamienie, które pozostały, nie tworzą miasta. Zgadza się Pan z tym zdaniem?*

– Są dwa spojrzenia. Pierwsze Lemowskie. Jest pewna grupa lwowiaków, którzy kochali to miasto, i nie pojechali do niego po wysiedleniu, podobnie jak Lem, który nie chciał burzyć swojego wewnętrznego obrazu Lwowa, dlatego unikał jego odwiedzin. Ale jest też drugie spojrzenie, np. Janickiego, który często powracał do tego miasta. Hemar, gdyby mógł, również by przyjeżdżał, ale jako współpracownik Radia Wolna Europa i autor antykomunistycznych tekstów był na indeksie. Są zatem dwie postawy, które cały czas obserwuję. Jedni nie chcą wracać, gdyż uważają, że piękno Lwowa zostało zburzone, a drudzy z uporem wciąż powracają i tęsknią. Ja należę do grupy, która uważa, że należy tam jeździć.

– *Koniec cywilizacji na Kresach w różnym ujęciu opisuje wiele literackich i eseistycznych publikacji, by wspomnieć tylko „Austerię” Juliana Strykowski. Jakie są Kresy dzisiaj po tak trudnych przejściach, jak rzeź wołyńska, II wojna światowa, ustanowienie nowego porządku w Jałcie czy pięćdziesięcioletnia sowietyzacja?*

– Kresy w Polsce zostały w literaturze. Wielu pisarzy poruszało kresową tematykę. Natomiast w okresie PRL były wypierane ze świadomości społecznej, by nie rozbudzać jakichś rewanżystowskich postaw. Był polityczny nakaz, by ten temat zaryglować. Jednak on nie uległ zapomnieniu. Dowodem na jego żywotność była recepcja mojej książki *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*. Gdy ukazała się w 1989 roku, to wybuchł jej czytelniczy fenomen. Ustawiały się kolejki. Rozeszło się 250 000 egzemplarzy. Trzeba było dodrukowywać, bo takie było zapotrzebowanie. Dlaczego? Bo żyła jeszcze generacja, która we Lwowie, Tarnopolu czy Wilnie kończyła studia, zdawała maturę, miała z Kresami związek sentymentalny. I nagle ktoś napisał o miejscu, które było im bliskie. Później wybuchła wielka moda na Kresy. Zaczęły powstawać towarzystwa miłośników Lwowa i innych miast. Wydaje się periodyki, np. „Z nurtem Stryja”, „Gazeta Kołomyjska”, „Biuletyn Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej” czy „Zeszyty Tłumackie”. Kresy się odrodziły dzięki aktywności towarzystw, dzięki temu, że się o nich pisze, że zbiera się

wspomnienia kresowian i ich potomków. Widzę to podczas setek moich spotkań autorskich organizowanych wokół kolejnych tomów *Kresowej Atlantydy*. Na każde ludzkie przynoszą zdjęcia, dokumenty, a później przesyłają mi swoje wspomnienia. Kresy żyją i to żyją już w późnym wnuku, który chce powracać do swoich korzeni, chce odwiedzić miasta, z których pochodzili jego przodkowie. Oczywiście nie wszyscy mają taką potrzebę i takie spożycie. Część na przykład jest cynicznie nastawiona, a na wspomnienie Kresów macha ręką i mówi, że to było dziadostwo, że były tam tylko kurne chaty, błoto i pijani chłopcy w karczmach. Inni natomiast dostrzegają wartość Kresów w tym, że były tam: rafineria ropy w Drohobyczu, Towarzystwo Soli Potasowych (TESP) w Kałuszu czy cukrownia w Chodorowie, jedna z największych w Europie. Kresy zatem to zjawisko wielopłaszczyznowe, niezwykle trudne do zdefiniowania.

– *Galicja to także martyrologia tych, którzy stanęli w obronie osób prześladowanej narodowości. Trzeba przede wszystkim przypomnieć bohaterską postawę rodziny Ulmów z Markowej pod Łańcutem, którzy zginęli wraz z ukrywającymi się u nich Żydami. To ważna karta w historii Galicji.*

– Tak. Dwa totalitaryzmy zderzyły się nad głowami mieszkańców tych ziem i unicestwiły ich różnorodność. I to jest największe przestępstwo hitleryzmu i stalinizmu w tym regionie. Sowietci np. likwidowali Huculów, hitlerowcy Żydów. Doszło tam do niewyobrażalnego kataklizmu. Poza tym ludzie w okropny sposób mordowali siebie nawzajem, często sąsiad sąsiada. I ta trudna historia ciąży nad tymi terenami do dzisiaj. Trudno jest przyznać się np. Ukraińcom, że ulegli filozofii Doncowa. Z drugiej strony takie historie jak w Jedwabnem Ukraińcy zrobili Polakom w setkach wiosek. Tylko one nie są tak nagłośnione. Paskudne ideologie wyłączości, które się zderzyły ze sobą, z silnymi mocami sprawczymi spowodowały, że zniszczono różnorodność i zgodne współżycie różnych kultur w Galicji. I z tym nie możemy sobie do dzisiaj dać rady. Chociaż Ukraińcy już trochę próbują myśleć inaczej. Sądzę, że działania w ramach partnerskich miast, wzajemne odwiedzanie się i współpraca, pomagają zbliznić te okropne rany. Powoli Ukraińcom nie przeszkadza mówienie, że budynek politechniki we Lwowie wybudowali Polacy, podobnie jak nie przeszkadza już Polakom mó-

wienie, że ratusz w Opolu wybudowali Niemcy. Na całkowite zbliznienie ran potrzeba czasu, ale to się dokona. Chyba, że przyjdzie jakaś nowa wariacka ideologia, która ponownie skłóci ludzi.

Natomiast odnosząc się do historii z Markowej, to spotkałem się ze wspomnieniami o uratowaniu życia Polakom przez Ukraińców. I myślę, że tego nam właśnie brakuje w stosunku do Ukrainy. Żydzi stworzyli odznaczenie „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” dla takich bohaterów jak rodzina Ulmów. Natomiast my nie mówimy o tych Ukraińcach, którzy nie ulegli filozofii Doncowa i ratowali Polaków.

– *Krzysztof Czyżewski w „Linii powrotu” interesująco opisuje fenomen Bukowiny, określając typ człowieka zamieszkującego niegdyś ten obszar jako homo bukovien-sis, czyli człowieka tolerancyjnego, otwartego na inność, znającego obyczaje, język i religię swoich sąsiadów. Na przełomie XVIII i XIX wieku żyło w Bukowinie jedenaście grup etnicznych, deklarujących przynależność do dziesięciu wyznań, dlatego Zbigniew Herbert nazwał Czerniowce „ostatnią Aleksandrią Europy”. Czy dziś można jeszcze znaleźć potomków tamtej cywilizacji dialogu i pokojowego współżycia?*

– Znam Czerniowce. Dzisiaj jest to miasto jednorodne, ukraińsko-rosyjskie. Jego różnorodność została zniszczona. Nie ma już Żydów, ani Niemców. Sądzę, że w małych miasteczkach nie da się tej wielokulturowości i wieloetniczności odbudować, gdyż ludzie po prostu zostali wymordowani lub wywiezieni, ale ona się odradza w większych miastach, np. we Lwowie czy Stanisławowie (Lwano-Frankiwsku). Coraz częściej widzi i słyszy się dumę z tego, że ktoś ma polskie korzenie. Podobnie jest z innymi nacjami. Może poza Rosjanami, do których jest obecnie dość duża niechęć. Eksponuje się natomiast pochodzenie austriackie czy węgierskie. Z tego złamanego odziumka puszczają zatem młode pędy, które uważają, że różnorodność etniczna jest dobra, i zrywają z modelem radzieckiej unijności.

– *W 2011 roku odbyła się w Katowicach konferencja „Niezwyczajna więź Kresów Wschodnich i Zachodnich”, którą zorganizowano w 70. rocznicę mordu na Wzgórzach Wuleckich. W publikacji pokonferencyjnej zebrano opracowania i świadectwa wpływu lwowian na rozwój na-*

uki i kultury na Górnym Śląsku po 1945 roku. Ja jednak chciałabym, aby pan profesor przeprowadził własną historyczną paralelę pomiędzy Kresami Wschodnimi i Zachodnimi, pomiędzy Galicją a Śląskiem.

– Powojenny kształt Śląska ma niewątpliwie kresowe rysy. Jest to związane z tym, jak szły transporty. Są tzw. miasta przeszczepione. Lwów po wojnie stał się trójmiastem, osiadł bowiem głównie w Gliwicach, Bytomiu i Wrocławiu. Inteligencki Lwów zamieszkał w Gliwicach i we Wrocławiu, a robotniczy w Bytomiu. Do Opoli i Gliwic został przeszczepiony Stanisławów. Borysław siedzi w Wałbrzychu, gdzie dawni nacierze stali się górnikami. Chodorów osiadł w Raciborzu, bo tam była ponemiecka cukrownia. Ośrodki uniwersyteckie w Katowicach i Opolu budowane były właśnie przez kresowian. Rektorami Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu byli lwowscy profesorowie: Stanisław Kolbuszewski, Antoni Opolski, Maurycy Horn. Co prawda, naziści wymordowali część profesorów na Wzgórzach Wuleckich, ale nie wszystkich. Niektórzy przeżyli w okropnych warunkach. Wielu uratował prof. Rudolf Weigl, który w prowadzonym przez siebie Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami zatrudniał pracowników naukowych Lwowa, ratując w ten sposób ok. 5 000 osób.

– *W latach 2001–2005 zasiadał pan profesor w ławie senatorowskiej wspólnie z kilkoma znanymi postaciami nauki i kultury na Śląsku, by wymienić: prof. Dorotę Simonides, prof. Genowefę Grabowską, Krystynę Bochenek, prof. Zbigniewa Religę czy Kazimierza Kutza. Jakie problemy szeroko rozumianego Śląska były poruszane podczas tej kadencji?*

– To jest mój epizod polityczny. Ja nie jestem politykiem. Czasami dorabiali mi taką łatkę. Oczywiście jako rektor uważam, że muszę się zmagać z polityką, muszę w niej być, bo nie ma rzeczy niepolitycznych. Tamten senat był bardzo dobry. Poznałem w nim wielu wspaniałych ludzi. Śląsk natomiast nie był w nim za bardzo eksponowany, poza głosami prof. Simonides czy Kutza. Uważam, że Śląsk od lat ma za słabą reprezentację polityczną, a przecież jest regionem zasobnym i interesującym. Nie ma on jednak tak elektryzujących i twórczych osobowości w polityce jak np. Gdańsk. A ziemia musi rodzić indywidualności, które będą się o nią upominały, bo jeśli ziemia wydaje indywidualności, to kwitnie, a jeśli nie, to szarzeje.

– *Taką wyrazistą osobowością z Opolszczyzny był Edmund Jan Osmańczyk. Co z jego dziedzictwa jest dzisiaj dla nas najważniejsze?*

– Zasypano go popiołami. Wrzucono do piekła zapomnienia. Część lustratorów próbowała z niego zrobić komunistę, obrażała go. Dzisiaj staramy się przywrócić pamięć o nim na uniwersytecie, mówiąc: „wielkie śląskie nazwisko, wielkie polskie nazwisko”. Stworzyliśmy jego pomnik na wzgórzu uniwersyteckim i powoli się już uspokaja atmosfera wokół jego odsłonięcia. Uważam, że *Sprawy Polaków* powinny być katechizmem każdego polskiego polityka. Osmańczyk dobrze służył Opolszczyźnie, Śląskowi. Jego spuścizna musi wrócić na sale uniwersyteckie, na politologię, historię, bo to był nie tylko dobry polityk, ale i sprawny pisarz. Ubolewam nad tym, że trudno jest przebić się z takim myśleniem wyżej. A przecież już Gałczyński pisał: „Mniej Grottgera, więcej Osmańczyka, a Polska będzie bogatsza”.

– *Pełni pan funkcję rektora Uniwersytetu Opolskiego już 12. rok, sumując oczywiście wszystkie kadencje od 1996 roku. Jaki był kierunek przemian Uniwersytetu Opolskiego w tym czasie?*

– Dla Uniwersytetu Opolskiego rok 1994 był przeskokiem cywilizacyjnym. Wyszliśmy ze słabej, siermiężnej WSP i stworzyliśmy porządną uniwersytet z solidnymi budynkami. Mamy 40 obiektów o dużej kubaturze (w tym dwa zamki) i 8 wydziałów z dobrymi kierunkami, jak: anglistyka, germanistyka, prawo, psychologia, socjologia, historia, chemia, teologia. Nastąpiła niewątpliwie jakościowa zmiana. Sprawdziły się zapowiedzi ojców-założycieli uniwersytetu, że powołanie go w Opolu zmieni bieg życia naukowego w tym mieście. I to się stało. Uniwersytet Opolski jest znaczącą i prężną uczelnią. Czy się utrzymamy w obecnym czasie depopulacji i braku studentów, to się oczywiście okaże. Na razie trwamy. Także dlatego, że prowadzę uniwersytet bardzo autorsko. Wywalczyłem na przykład, aby Collegium Maius znajdowało się w niebanalnej, barokowej budowli poklasztornej z dziedzińcem, bo uważam, że akademickość wymaga ładnych budynków i wnętrz. Collegium otoczone jest ogrodami, w których zgromadzono pomniki Grotowskiego, Niemena, Grechuty, Osieckiej, Przybory, Kofty, Osmańczyka, ponadto rzeźby barokowe, neogotyckie, a z Kopic przywieziono rzeźbę Joanny Gryzik Schaffgotschowej.

Bez uniwersytetu nie byłoby tego. Musimy tylko zachować ten stan, utrzymać i umocnić.

– *Prof. Simonides w wywiadzie, którego udzieliła „Śląskowi”, na pytanie, czy dzisiejsze uczelnie są nadal kuźniami wiedzy i osobowości, odpowiedziała: „Niestety, nie. Ja miałam mistrzów, u których mogłam się uczyć (...). Miałam autorytety, które mnie wspierały, podnosiły, wskazywały kierunek. Mogłam dyskutować z nimi, pytać o radę. W tej chwili nie ma tego. Jest przerost biurokracji (...). Poza tym widzę, że dzisiaj profesorami zostają osoby, które nie powinny być nimi nigdy zostać”. Panie profesorze, a jakie pan dostrzega największe bolączki naukowca na polskiej uczelni?*

– Podzielałam w pełni pogląd prof. Simonides. W ostatnich 20 latach zepsuto naukę poprzez mnożenie bez opamiętania prywatnych uczelni, w których można było za darmo dostać dyplom, na których można było byle jak wykładać, w których zepsuło się morale profesora. To bardzo obniżyło poziom. Podczas spotkania opłatkowego pracowników uniwersytetu pozwoliłem sobie na dość ostrą uwagę, że zdarza mi się nie odróżnić profesora od menela w zachowaniu. Bywałem na takich obronach doktoratu, na które profesorowie przychodzili w trampkach, podkoszulkach z angielskim napisem, nieuczestni i zarośnięci. To są niewyobrażalne rzeczy. O tym trzeba mówić. Ja staram się to czynić i staram się takie postawy napiętnować, choć dzisiaj można być za to posądzonym o *mobbing*. Ale tak postrzegam uniwersytet. Jest to świątynia nauki, do której trzeba przyjąć porządnie ubranym i używać w niej porządnego języka. Nie wszyscy to uznają, uważając, że jest nowa epoka, postmodernizm i wszystko wolno. Ja takiego spojrzenia nie akceptuję.

– *Jakie jest pana spojrzenie jako historyka na cezurę roku 1989 w Polsce?*

– Rok wielkich nadziei, rok wielkiego marzenia, które zmieniło system w Polsce. Chyba nie było nikogo, kto nie dostrzegł tego wyzwolenia ludzkiej energii. Później to się wyhamowało. Ja bardzo ubolewam nad tym, co się stało z jakością polskiej kultury po 1989 roku. I to przekonywanie mainstreamu, że ma się ona bardzo dobrze, a kino polskie jest tak świetne jak za czasów młodego Wajdy, Munka czy Kawalerowicza, zwyczajnie mnie śmieszy. To, co było w polskim plakacie, malarstwie, mu-

zyce, filmie, teatrze, telewizji, radiu, to zostało zamknięte. Dzisiaj radio i telewizja nie edukują. Jesteśmy pod bardzo silną presją amerykańskiej kultury popularnej. I takie epatowanie wulgaryzmami na ekranie, zwłaszcza w filmach historycznych, odpycha mnie. To jest język ahistoryczny. Ja tak nie mówiłem. Także to, co proponuje teatr i literatura, nie uważam za sztukę wysokiego lotu. Zamiast tarzania się na scenie w błocie i biegania nago chciałbym zobaczyć klasyczną sztukę Fredry, Słowackiego czy Szekspira. Nie potrafię również powiedzieć, że pisarstwo Witkowskiego, Twardocha czy Kuczoka jest wielkie, a Masłowska jest nowym Mickiewiczem. Po prostu nie potrafię.

– *A obecna sytuacja w Europie Wschodniej? Czy to nie dalsze trzeszczenie jałtańskich granic? A może dawny Związek Radziecki cofnął swoje ciche przyzwolenie na demokratyzację, uniezależnienie i reformy państw z jego byłej strefy wpływów?*

– Rosja zawsze była potęgą. Miała momenty, kiedy dominowała, i miała momenty, kiedy się cofała. Jeszcze do niedawna była wycofana, a teraz znowu się uaktywniła. Trzeba pamiętać, że to jest naród ambitny, który zawsze miał wybitnych przywódców. Czasami morderców, ale jednak wybitnych polityków, którzy o swoje racje walczyli bezwzględnie, nieraz cynicznie. To państwo tak właśnie jest skonstruowane i trzeba o tym wiedzieć. Natomiast odnośnie obecnej sytuacji. Nie odpowiada mi proamerykańska polityka naszego rządu. Nie zgadzam się z tym, że pakujemy się na pierwszą linię wojny amerykańsko-rosyjskiej. Amerykanie to przecież ten sam kaliber, co Rosjanie. Polska polityka zagraniczna jest fatalna i tak było zawsze. Zawsze mieliśmy jakichś Becków. Czesi i Węgrzy potrafią się do tego jakoś spokojnie ustawić. My się pchamy na pierwszą linię z pożyczonymi amerykańskimi samolotami z demobilu i próbujemy coś demonstrować. Obecnie rozgrywa się batalia pomiędzy Amerykanami i Rosjanami o wpływy w tej części Europy, głównie na Ukrainie. Amerykanie bardzo dużo zyskali przez to, że są w Polsce. A w tej chwili walka toczy się o Ukrainę. Ja wiem, czy trzeszczy Jałta? Chyba nie, bo gdyby tak było, dawno byśmy stracili Wrocław, Słupsk i Gdańsk. Raczej toczona jest brudna gra interesów i potrzeba nam mądrych polityków, którzy będą wiedzieli, jak się w niej odnaleźć. Obawiam się, że nie mamy takich; że ciągle jesteśmy na jakimś pasku. Ci sami, którzy cie-

szyli się, gdy rosyjskie wojska stąd poszły, teraz cieszą się, że amerykańskie przyszły. Nie rozumiem tego. Albo jesteśmy dumnym, dużym narodem europejskim, albo jesteśmy jakimś pionkiem, który raz jest przy kłamce sowieckiej, a drugi raz przy amerykańskiej czy jakiejś innej.

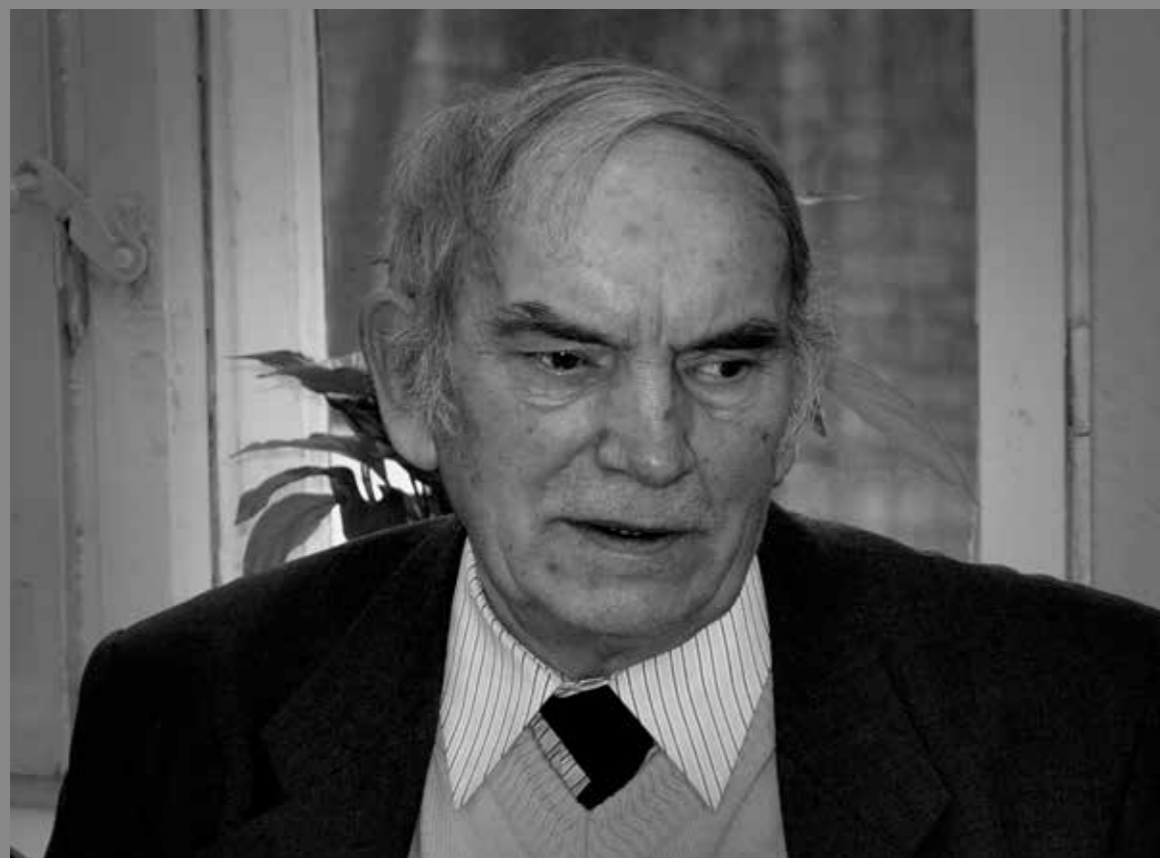
– *Jakie zatem wnioski na przyszłość powinniśmy wyciągnąć z historii, która pogrzebała już tak wiele Atlantydy?*

– Uważać, by nie dopuszczać do władzy wariatów, którzy głoszą nietolerancję, narzucają coś w bezwzględny sposób, bo to jest rak, który toczy historię. Co jakiś czas

pojawiają się siły, które lansują swoją filozofię. Ona sama nie jest groźna, dopóki jest tylko na papierze. Groźna jest, gdy jej głosiciel ma instrument, by ją wprowadzić w życie. Jeżeli się pojawi talent, który ma chorą wyobraźnię i zdolności przełożenia jej wytworów w czyn, to wtedy jest dramat. Wtedy pojawia się realne niebezpieczeństwo. I na tym polega rola politologów i świata intelektualistów, że powinni umieć rozpoznać w porę prawdziwe zagrożenie i wytłumaczyć jego istotę społeczeństwu. Ale dzisiaj brakuje takich świątynnych osób w radiu i telewizji. Brakuje mi w mediach edukacji. Zamiast niej jest tylko *show*.

KATARZYNA KSIĄŻEK

PROF. DR HAB. TADEUSZ GÓRECKI (1942-2015)



31 lipca 2015 roku odszedł prof. dr hab. Tadeusz Górecki wieloletni pracownik Instytutu Fizyki Uniwersytetu Opolskiego (Wyższej Szkoły Pedagogicznej) i Politechniki Opolskiej (Wyższej Szkoły Inżynierskiej).

Urodzony 9 maja 1942 r. w Kolonii Wisznów. Od czasu studiów na fizyce w Wyższej Szkole Pedagogicznej związany z Opolem i uczelniami opolskimi. Już podczas realizacji badań do pracy magisterskiej widać było jego zacięcie naukowe. Wielomiesięczne badania zaowocowały pracą magisterską pt. „Emisja egzoelektronów podczas rekrytalizacji stopów” (1965), realizowaną w Wyższej

Szkole Pedagogicznej w Opolu. Promotorem pracy był doc. dr hab. Bogdan Sujak, z którym przez następne lata prof. dr hab. Tadeusz Górecki współpracował. Kariere naukową rozpoczął w roku 1965 w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Po pięciu latach rozpoczął pracę w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Opolu, inicjując badania egzoemisyjne. Pracę doktorską pt. „Egzoemisja elektronów podczas przemian fazowych niklu, jego stopów i tlenków” obronił w 1972 na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego. Wszelstronność Profesora Góreckiego spowodowała, że testował różne

techniki badawcze, jak również zdobył ogromną wiedzę na temat przemian fazowych, struktury materiałów i ich stopów. Doświadczenie pozwoliło zaproponować w pracy habilitacyjnej model, wypełniający lukę w zrozumieniu zjawisk fizycznych zachodzących podczas topnienia metali: „Wakansowy model procesu topnienia metali”. Praca ta, przedstawiona na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego w 1981 roku, wyznaczyła kolejny z kierunków badawczych prof. dr hab. Tadeusza Góreckiego. Dowodem na wszechstronność tych badań są jego największe osiągnięcia: opracowanie egzoemisyjnej techniki detekcji przemian fazowych i reakcji chemicznych w fazie skondensowanej; opracowanie wakansowego modelu procesu topnienia metali, zestalonych gazów szlachetnych i halogenków metali alkalicznych; ustalenie istnienia regularności zmian własności fizycznych podczas przemian polimorficznych w materiałach metalicznych; opracowanie metody oceny stabilności termicznej materiałów amorficznych i quasi-krystalicznych, a w szczególności ich tendencji do przedwczesnej (w odniesieniu do objętości) krystalizacji powierzchniowej; konstrukcja oryginalnych urządzeń pomiarowych do detekcji przemian fazowych z wykorzystaniem zjawisk: fotoakustycznego – emisji akustycznej.

Wiedzę zdobywał również w ośrodkach międzynarodowych podczas staży: Instytut Metalurgii im. Bajkowa, Akademia Nauk ZSRR (3 miesiące – 1975); stypendysta Fundacji Humboldta w Max-Planck – Institut für Metallforschung w Stuttgarcie (18 miesięcy, w latach 1978–1979); staż w Instytucie Fizyki Uniwersytetu w Rostocku (6 tygodni, w 1985 r.) i w Instytucie Fizyki Stosowanej Uniwersytetu Lajosa Kossutha w Debreczynie (6 tygodni, w 1988 r.).

Wykazywał również umiejętności organizacyjne, których owocem były liczne konferencje naukowe: Karpacz Seminar on Exoelectron Emission (1990, 1992); Karpacz Seminar on Exoelectron Emission and Related Phenomena (1993, 1995, 1996); Exoelectron Emission and Applications (1994, 1997).

Niesamowicie sprawny organizacyjnie naukowiec, aktywnie prowadząc badania, podejmował również trud pracy organizacyjnej, koniecznej dla rozwoju uczelni: dyrektor Instytutu Matematyki, Fizyki i Chemii Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu (1981–1987); prorektor ds. nauki i kadry naukowej Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu (1987–1990); prodziekan ds. nauki i kadry naukowej Wydziału Mechanicznego Wyższej Szkoły Inży-

nierskiej w Opolu (1990–1993). Po 23 latach ponownie rozpoczął badania w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, kontynuując współpracę z dobrze ukształtowanym zespołem, jednak początki Zakładu Fizyki Fazy Skondensowanej datują się na rok 1994, czyli moment powstania Uniwersytetu Opolskiego. Wykorzystując doświadczenie zdobyte wcześniej, podjął się, również w Instytucie Fizyki UO, pracy organizacyjnej. W 1995 r. pełnił obowiązki dyrektora Instytutu Fizyki, aby od 1999 r., przez sześć lat, kierować Instytutem.

Poznałam Profesora, rozpoczynając studia na fizyce w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, jako zasadniczego, surowego wykładowcę. Wymagający punktualności, odpowiedniego przygotowania do egzaminów, sprawiał wrażenie niedostępnego. Raczej nie zdradzał swoją postawą własnych myśli i emocji. Wydawało się wtedy, że to moje ostatnie spotkania z fizyką. Konsekwencja wykładowcy spowodowała, że zarówno ja, jak i wielu z moich kolegów, pokonywaliśmy kolejne trudności. Surowy dla studentów niezdiscyplinowanych, potrafił godzinami wyjaśniać i tłumaczyć temat studentom systematycznym i pracowitym. Zawsze będę podziwiała jego spokój i opanowanie. Byłam pierwszą magistrantką Profesora i ostatnią doktorantką (jedną z trzech). Wybierając temat pracy magisterskiej, wiedziałam, że będę musiała dużo pracować, ale miałam świadomość, że będę współpracowała z nietuzinkową, bardzo pracowitą osobą. Bardzo dużym wyróżnieniem było zaproszenie mnie do zespołu badawczego i zaproponowanie współtworzenia Zakładu (a potem Katedry) Fizyki Fazy Skondensowanej w Instytucie Fizyki UO. Otrzymałam coraz to inne zadania: od pomocy w organizacji międzynarodowych konferencji, poprzez zakup aparatury i naukę jej użytkowania, po podejmowanie różnokierunkowej tematyki badawczej. Poznawałam zarówno metody eksperymentalne, używane przez Profesora, jak i wakansowy model procesu topnienia. Czasami wydawało mi się, że nie dam rady podolać tym wszystkim stawianym przede mną zadaniom. Wtedy zespół, składający się z kolegów z Politechniki Opolskiej i Uniwersytetu Opolskiego, pod kierunkiem Profesora Góreckiego, wyciągał pomocną dłoń. Stworzona przez Profesora atmosfera powodowała, że praca była przyjemnością. Zawsze najcenniejszą nagrodą była akceptacja w jego oczach. Pracując osiemnaście lat z Profesorem, miałam świadomość, że spotykam się z wybitnym naukowcem, choć nigdy nie dał mi odczuć dzielącego nas dystansu. Kultury

wując partnerską współpracę, bardzo dbał o relacje w zespole. Wspólnie prowadziliśmy wiele prac magisterskich.

Prof. dr hab. Tadeusz Górecki był światowej klasy naukowcem, recenzującym prace doktorskie i habilitacyjne – polskie i zagraniczne. Każdy, kto znał Profesora, zapamiętał go jako niesamowitego naukowca, ojca i człowieka. Odchodząc na emeryturę w 2012 roku, poświęcił całkowicie czas rodzinie oraz pasjom (swoim i swoich dzieci). Zawsze wspierany przez żonę Marylę, całkowicie oddany dorosłym już dzieciom: Ani i Bartkowi, ostatnie trzy lata spędził w posiadłości w Szczedrzyku. W gronie rodzinnym zajmował się dwoma wspaniałymi końmi, Wersusem i Weroną. O tym, jakim był człowiekiem, i jak dużej klasy uczonym, świadczą słowa prof. dr. hab. Bogdana Sujaka, wypowiedziane podczas ceremonii pożegnania na cmentarzu w Półwsi, 3 sierpnia 2015 roku:

„*Vivere est cogitare* (wg Cyserona: Żyć to znaczy myśleć) – zawołanie to charakteryzowało Profesora Tadeusza Góreckiego, przez całe Jego życie. Już w 1966 roku Tadeusz Górecki (wg moich zapisów) drukuje w języku angielskim: w *Acta Physica Polonica* 30, 51, wspólnie ze swoimi opiekunami (w szczególności ze św. pamięci Ignacym Stępniewskim) wyniki odkrytych faktów, w tym czasie nieznanymi: że wzbudzona emisja tzw. egzoelektronów podczas rekrytalizacji metali i stopów wymaga długofalowego oświetlenia światłem, które nie wywołuje normalnej fotoemisji.

Było to wtedy podstawowe współodkrycie magistranta, które w dalszej karierze naukowej Tadeusz Górecki genialnie rozwinął w bardzo sprawne metody badawcze

w zakresie zjawisk relaksacyjnych na powierzchni i w objętości fazy skondensowanej. Pod Jego kierunkiem, na WSP (obecnie Uniwersytecie Opolskim) i na Politechnice Opolskiej, powstała grupa, która szybko uzyskała światowy rozgłos i uznanie w zakresie przemian fazowych i procesów relaksacyjnych.

Fascynował mnie spokój i głęboka logika w rozumowaniu Tadeusza Góreckiego, a w szczególności – Jego bardzo czytelny charakter pisma, świadczący o charakterze. Był badaczem, któremu całkowicie ufałem, gdy przedstawiał uzyskane wyniki pomiarów. Zawsze podziwiałem pracowitość i głęboką wiedzę Tadeusza Góreckiego. Szczególnie podziwiałem Jego intuicję eksperymentatora, który walczył przyczynił się do światowej sławy opolskiej szkoły badania procesów relaksacyjnych na powierzchni, a zwłaszcza w cienkich warstwach i w mikropróbkach o masie rzędu 10–6 grama (jednomilionowej części grama) i poniżej. To pozwalało nam na wykrywanie mikrozabrudzeń w materiałach wtedy technicznie istotnych, np. w graficie.

Tadeusz Górecki fantastycznie łączył rozwój metod eksperymentalnych z dogłębną analizą podstawowych wiadomości na temat fizyki defektów ciała stałego. Wyniki jego badań często wykorzystywałem w swoich wykładach uniwersyteckich. Stworzył np. wakansowe prawo topnienia Góreckiego.

Drogi Tadeuszu: już starożytni uważali, że *Letum non omnia finit*, czyli: śmierć nie kończy wszystkiego. Rzeczywiście, pozostaje pamięć o dobrym, mądrym człowieku i bardzo pracowitym, twórczym Uczonym wysokiej klasy”.

JERZY DUDA, IRENA KALITA

KRWAWY POPIELEC

Śląsk Opolski, który po zakończeniu II wojny światowej stał się miejscem osiedlenia wielu tysięcy ekspatriantów, wygnanych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, w sposób naturalny włączył się po 1989 roku, do wielkiego, spontanicznego ruchu społecznego, skupiającego dawnych mieszkańców województw lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i wołyńskiego. Powoływane do życia organizacje i stowarzyszenia za główne zadanie przyjmowały programy, obejmujące przypomnienie historii poszczególnych kresowych miejscowości, ludzi z nimi związanych, najpiękniej w wiekowe dzieje narodu polskiego wpisanych. Niezwykłym wsparciem w pracach powstających towarzystw stały się poświęcone tamtym ziemiom dzieła związanych z Opolszczyzną twórców, w szczególności prof. Stanisława Sławomira Niciejki, Adama Wiercińskiego, Tadeusza Kukiza, a także Tadeusza Bednarczuka, Władysława Żołnowskiego, Tomasza Różyckiego... To tylko te najwybitniejsze nazwiska. Dzięki ich pracom przywrócona została pamięć o wielkości Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Życzliwa i otwarta postawa kierownictw Muzeum Śląska Opolskiego, Muzeum Wsi Opolskiej, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Emanuela Smolki umożliwiły i nadal umożliwiają organizowanie licznych wystaw, imprez i spotkań, które zawsze cieszą się wielkim zainteresowaniem odbiorców.

Historycznym wydarzeniem było podjęcie przez Sejmik Województwa Opolskiego, 24 kwietnia 2012 roku, uchwały o ustanowieniu dnia 11 lipca Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. W uzasadnieniu napisano: „Wybór dnia nie jest przypadkowy, bo to właśnie w niedzielę 11 lipca 1943 roku miało miejsce apogeum zbrodni na Wołyniu. Ukraińscy nacjonaliści, zbrodniarze wywodzący się z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii zaatakowali Polaków w 167 miejscowościach, mordowano niewinnych w domach i w kościołach, poddawano ofiary najokrutniejszym torturom, nie oszczędzono nikogo, wielu spalono żywcem. Według niepełnych danych na Kresach Wschodnich śmierć poniosło dwieście tysięcy Polaków...”

Lipiec 1943 roku był początkiem zorganizowanego precyzyjnie na wielką skalę zaplanowanego holokaustu kresowych Polaków. Do krwawej legendy przeszły zagłady mieszkańców takich m. in. miejscowości jak Huta Pieniacka, Podkamień, Rohaczyn. Dzisiaj nie ma już śladu po wielu miejscowościach, zamieszkałych kiedyś przez Polaków, do nagiej ziemi zdarto wszystko, co świadczyło o trudzie, życiu dawnych mieszkańców, osiadłych na tej ziemi przez wieki. Czasem tylko opuszczone, zarośnięte lasem, krzewami, opuszczone mogiły świadczą, że kiedyś tu tętniło życie. Pięknie mówi o tym Władysław Żołnowski:

Moi rodacy
pomordowani
przez braci kainowych
banderowców
zakopani śpiesznie w ziemi
zapomniani przez Polskę
wzgardzeni przez Europę
krzyczą w moich snach
i spod darni wstają...

(*Moja pamięć, mój czas i mój życie* (Opole 2014))

Ale Opolszczyzna pamięta. Co roku, w styczniu, w Babicach nieopodal Głubczyc odbywają się rocznicowe uroczystości poświęcone pamięci pomordowanym w styczniu 1944 roku w Hucie Pieniackiej. Prawie tysiąc Polaków poniosło męczeńską śmierć z rąk upowców i żołnierzy ukraińskiej dywizji Waffen SS „Galizien”. Przy wejściu do babickiego kościoła znajduje się memorialna tablica, tu w Babicach osiedlili się ocalali z pogromu ekspatrianci z Huty Pieniackiej. Z kolei w Niemodlinie okazałym pomnikiem oddano cześć bohaterom samoobrony wsi Przebraże na Wołyniu, której mieszkańcy wstawili się heroiczną obroną, wielokrotnie odparli zmasowane ataki upowskich kureni, po wojnie zamieszkali we wsiach wokół Niemodlina położonych.



Krzyż na cmentarzu w Tlustem (Ukraina). Fot. Tadeusz Parcej

10 lipca 2015 roku emerytowany opolski biskup ks. Jan Bagiński poświęcił w Niemysłowicach koło Prudnika obelisk, przypominający o krwawej ofierze polskich mieszkańców Puźnik koło Buczacza, w województwie tarnopolskim. W okolicznościowej homilii powiedział, że z Ukraińcami możemy się pojednać i przebaczyć, ale tylko na bazie prawdy, ze strony Ukrainy jednak nie widać dobrej woli.

Dzieje Puźnik, po których do dnia dzisiejszego nie pozostało praktycznie żadnego śladu, są jednym z wielu przykładów, realizowanej przez nacjonalistów ukraińskich, eksterminacji kresowych Polaków. Tuż przed wybuchem II wojny światowej we wsi mieszkało prawie 800 osób, w zdecydowanej większości Polaków. Miejscowość znana była także z tego, że za zgodą arcybiskupa lwowskiego ks. Józefa Bilczewskiego przybyli tu w 1905 roku z Włoch saletyni założyli pierwszy na ziemiach polskich dom zakonny, objęli jednocześnie duchową opieką miejscową katolicką parafię.

Puźniki, podobnie jak inne kresowe wsie i miasta, doświadczyły trzech okupacji. Każdy z okupantów okrutnie zapisał się w świadomości mieszkańców. Okupanci – zarówno Niemcy, jak i Sowieci – nie reagowali na rosnącą agresję Ukraińców. Bandyckie napady bojówek UPA na ziemi buczackiej rozpoczęły się już w 1943 roku, na siłę przybrały w roku następnym.

Nadszedł rok 1945. Rosjanie wkroczyli na te ziemie ponownie. Odeszły na Zachód stacjonujące tu oddziały Armii Krajowej, nieliczni mężczyźni zostali zmobilizowani do Istriebitielnych Batalionów, będących pod sowiecką kontrolą, w zasadzie powołanych do obrony polskich wsi przed upowcami. We wsiach pozostały kobiety, starcy i dzieci. Starano się zorganizować samoobronę, wszystkich mieszkańców zobowiązano do pełnienia trwających całą dobę dyżurów. W gospodarskich obejściach budowano schrony, skrytki, tajne przejścia. Z największą uwagą słuchano podawanych ze wsi do wsi wiadomości o banderowcach, nocami oglądano krwawe łuny płonących polskich wsi. I żarliwie wierzono, że uda się przetrwać do czasów, gdy wszędzie nastanie pokój, kiedy wszystko powróci do normalności.

Na początku lutego 1945 roku mieszkańcy Puźnik otrzymali wiadomość, że na terenie powiatu buczackiego pojawił się dowodzony przez Piotra Chramczuka „Bystrego” kureń UPA. Swój krwawy szlak rozpoczął od Barysza, gdzie zginęło 135 Polaków, spalono wszystkie zabudowania. Kilka dni później ten sam los dotknął Zalesie Koropieckie – wymordowano wszystkich Polaków, a także próbujących ich ocalić Ukraińców.

Kureń zbliżał się do Puźnik. Nie było żadnych wątpliwości, że wieś zostanie zaatakowana. Nasilono całodobowe strażę, zwiększono ich stan osobowy. Część przerażonych mieszkańców zdecydowała się na opuszczenie domów i ucieczkę do Buczacza lub Koropca. Udając się w tamte strony, musieli przejechać przez dopalający się Barysz, w którym nie miał kto uprzętnąć ciał okrutnie pomordowanych ludzi. Ten obraz zachowali w pamięci do końca życia.

W dzień poprzedzający Środę Popielcową, 12 marca 1945 roku, do wsi przyjechali przedstawiciele sowieckich władz z Buczacza. Zażądali zwrotu posiadanej przez mieszkańców broni, zapewniając, że od tej pory całkowitą opiekę i bezpieczeństwo zapewnią im żołnierze Armii Czerwonej. Dokonany został spis ludności. Na zakończenie spotkania dowódca ekipy zarządził oddanie salutu honorowego na cześć niezwykłego ZSRR. Uspokojeni Polacy, udręczeni codziennym, niewygod-

nym nocowaniem w zamaskowanych bunkrach, pozostali w domach. Późną nocą, w trakcie zmiany wart, kureń „Bystrego” zaatakował wieś równocześnie ze wszystkich stron. Wkraczający do wsi upowcy metodycznie podpalali domy i zabudowania gospodarcze, mordowali mieszkańców. O obronie nie było mowy, wszak kilka godzin wcześniej broń została zdana Sowiecom. Kto mógł, uciekał do murowanej plebanii, gdzie zachowało się kilka karabinów i trochę amunicji. Podjęto działania obronne. Siostra zakonna Stefania podawała obrońcom granaty, a kobiety z księdzem Antonim Wawrzyńskim modliły się.

Z okien plebanii dostrzeżono, jak grupa osób, która odcięta, nie zdołała dobiec do plebanii, schroniła się w głębokim jarze. Usłyszano jak dowódca oddziału krzyknął do upowców: Strelaj, w odpowiedzi usłyszał: „Koły ne maju kul”. Wtedy padł rozkaz: „To rubaj”. W ruch poszły siekiery, nic nie mogło uchronić ludzi przed męczeńską śmiercią.

Dopiero w południe do wsi dotarł z Buczacza Istriebitielny Batalion. Sowiecki dowódca nie kwapił się z wydaniem decyzji o podjęciu pościgu za mordercami. Jeden z członków batalionu, pochodzący z pobliskiego Koropca Michał Sobków, zeznał, że wieś przedstawiała straszny widok, na każdym kroku walały się ciała pomordowanych ludzi, z krwawymi, zadanymi siekierą ranami. Szczególnie wstrząsający był widok malutkiego dziecka z nożem wbitym w usta.

Po latach mieszkańcy Puźnik nabrali pewności, że przyjazd do wsi sowieckiego oddziału w przeddzień zagłady miejscowości był celowy, miał osłabić ich czujność, a nade wszystko pozbawić jakichkolwiek szans na obronę.

13 marca 1945 roku spalono 172 mieszkalne domy, zamordowano prawie stu mieszkańców. Polska wieś Puźniki przestała istnieć.

Obawiając się kolejnego napadu, mieszkańcy Puźnik opuścili wieś, udali się do Buczacza i do Koropca, a stamtąd po długim oczekiwaniu na stacjach kolejowych, wiosną 1945 roku, transportami ekspatriacyjnymi trafili do Niemysłowic koło Prudnika i Ratowic koło Oławy.

W 1946 roku w ocalałych z pożogi budynkach Sowietci osiedlili Łemków i Ukraińców wydalonych z Polski. Plebanię zamieniono na szkołę. W 1949 roku wieś została zlikwidowana, mieszkańców przesiedlono w inne rejony Ukrainy, kościół, plebanię i domy zrównano z ziemią.

Jedyny ślad po żyjących tam niegdyś Polakach to zachowana kapliczka Matki Boskiej w kształcie groty, a także kilkanaście wchłoniętych przez las grobów, na których można odczytać takie m.in. nazwiska: Poterałowicz, Zaleski, Krzesińska, Jedliński. Kilka lat temu pochodząca z Puźnik rodzina Jasińskich postawiła tam krzyż ze stalowych belek z napisem po ukraińsku: „Ten krzyż umieszczono na cmentarzu wsi Puźniki Polakom, którzy tu spoczywają”.

Dzisiaj wieś Puźniki jest już tylko pojęciem wirtualnym. Dla dawnych mieszkańców – wartością duchową. Nie ma śladu obecności pokoleń Polaków. A jeszcze na początku 1945 roku żyło tam prawie tysiąc ludzi.

Przypominają o nich wzniesione w Niemysłowicach i Ratowicach pomniki – obeliski, niemi świadkowie dorocznych obchodów tych tragicznych wydarzeń, coraz bardziej w czasie odległych. Przywracają pamięć o pięknie i wielkości Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, ale i o ludobójstwie, dokonanym tam przez ukraińskich nacjonalistów.

KS. PIOTR GÓRECKI

„PRZEBACZAMY I PROSIMY O PRZEBACZENIE” Polsko-niemiecki dwugłos w 50. rocznicę wymiany listów biskupów



W trakcie konferencji na Uniwersytecie w Erfurcie. Na zdjęciu od lewej – dr Severin Gawlitta, ks. prof. Erwin Mateja, dr Theo Mechtenberg (obok – jego żona)

Mijający rok upływa pod znakiem wielu istotnych rocznic. Jedną z nich jest niewątpliwie 50. rocznica wymiany listów biskupów polskich i niemieckich, do której doszło w czasie kończącego się II Soboru Watykańskiego.

List biskupów polskich był jednym z 56, skierowanych przez nich z ław soborowych do episkopatów świata, w których zapraszali swoich braci w biskupstwie do wspólnych obchodów milenium chrześcijaństwa w Polsce. A był to okres powojennych napięć, związanych chociażby z lansowaną zimną wojną i konfliktem amerykańsko-radzieckim. Był to także czas powojennej odbudowy – urazy i doznane krzywdy wciąż jeszcze bardzo bolały. Po tragicznej wojnie biskupi z całego świata zasiedli wspólnie w Bazylice św. Piotra w Rzymie, aby radzić o miejscu i roli Kościoła w świecie. To właśnie wtedy błogosławiony papież Jan XXIII, wobec widma nowej tragedii świata, na-

piisał do ludzi dobrej woli całego świata encyklikę *Pacem in Terris* (1963 r.). Szczególną przesłanką odradzających się więzów była uchwalona przez ojców soborowych konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym – *Gaudium et spes*.

List do biskupów niemieckich z 18 listopada 1965 r. i pamiętne słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” oraz odpowiedź biskupów niemieckich do biskupów polskich z 5 grudnia 1965 r., odbiły się szerokim echem na arenie międzynarodowej: politycznej i kulturowej. Zarówno w kręgach polskich, jak i niemieckich, oba listy wywołały falę sprzeciwów i kontrowersji. Chociaż odpowiedź biskupów niemieckich była raczej ostrożna, również ona zawierała słowa o przebaczeniu i przyjęciu prośby o wybaczenie. Szczególnie cenne były słowa: „Z wdzięcznością podejmujemy Wasze orędzie i żywimy

nadzieję, że rozpoczęty pomiędzy nami dialog znajdzie swój dalszy ciąg w Polsce i w Niemczech”. I chociaż droga do pojednania wciąż wydawała się długa, to dzisiaj zdajemy sobie sprawę z tego, że oba listy były początkiem przeobrażeń świadomości i sumień Polaków oraz Niemców. Jak mówił kardynał Józef Glemp w czasie spotkania delegacji obu Konferencji Episkopatów w Gnieźnie, w listopadzie 1990 r.: „Idea Chrystusowego przebaczenia, którą dwa episkopaty zadeklarowały jako siłę inspirującą pojednanie dwóch narodów, była zdziwieniem dla ówczesnych społeczeństw... Biskupi dwóch narodów wyciągnęli do siebie ręce ponad murem politycznego podziału ludów, który miał podsycać nienawiść”.

Profesorowie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego pragnęli w tym ważnym okresie podjąć refleksję naukową nad tym ważnym wydarzeniem. Wspólnie z kolegami z Wydziału Teologicznego i tamtejszego *Theologisches Forschungskolleg* Uniwersytetu w Erfurcie, w dniach 30–31 października br. zorganizowano w Erfurcie konferencję naukową zatytułowaną: *50 lat wymiany listów biskupów polskich i niemieckich. Pojednanie w czasach konfliktu*. W ścisłym gronie naukowców z Polski i Niemiec dyskutowano na temat recepcji obu listów oraz nad historyczną spuścizną, jaką pozostawili po sobie ówczesni pasterze i katolicy świeccy, zaangażowani w dzieło pojednania. Konferencja składała się z pięciu bloków tematycznych, w których na ten sam temat referaty wygłaszali: naukowiec niemiecki i naukowiec polski, przedstawiając konkretny problem z punktu widzenia nauki i środowiska niemieckiego i polskiego. Każdy z bloków kończyła żywa dyskusja. Pierwszą część obrad poświęcono spojrzeniu na Kościół i społeczeństwo w Polsce i w Niemczech od 1945 r. do czasu ukazania się listów. **Ks. prof. Helmut Sobeczko** z Uniwersytetu Opolskiego mówił o panującej w Polsce atmosferze nienawiści i nieufności, którą nieśmiało próbowali przełamywać teologowie i intelektualiści. Każda próba zbliżenia odbierana była przez kręgi rządzące jako działanie na szkodę narodu i państwa. Podobne wątki zawierał wykład **dra Sebastiana Holzbrechera** z *Theologisches Forschungskolleg* z Erfurtu. Prelegent podkreślał, że interpretacja zmiany granic i wygnania mogła być wówczas tylko jedna. Pierwszy z biskupów niemieckich – Heinrich Wienken z Miśni, który próbował nawiązywać dobre kontakty ze wschodnimi sąsiadami, określany był przydomkiem „Sławofila”, a Kościół niemiecki ukazywano bardziej jako ofiarę, a nie sprawcę wojny. W czasach, gdy nie był możliwy

dialog, do obu narodów przemawiały czyny i rodzące się inicjatywy charytatywne, które zaowocowały dialogiem biskupów w czasie soboru.

W drugiej części konferencji poruszono trudny temat powojennego ustanowienia administracji apostolskich na ziemiach zachodnich, które po wojnie znalazły się w granicach Polski. **Prof. dr Reiner Bendel** z Tybingi przedstawił owe zagadnienie z punktu widzenia Kościoła w Niemczech, zaś **ks. dr hab. Konrad Glombik** z Uniwersytetu Opolskiego wskazywał na historyczne uwarunkowania i podstawy powojennych decyzji, w tym – specjalne dyrektywy otrzymane przez kardynała Hlonda od Ojca Świętego. Obaj wskazali na to, że tzw. *Causa Hlond* nadal dzieli oba środowiska, naukowcy zaś muszą rzetelnie zmierzyć się z zarzutami przymusowej polonizacji i samowolną (a jeśli nie, to przynajmniej drastyczną) likwidacją struktur kościelnych, istniejących, chociażby na Śląsku, nieprzerwanie od tysiąca lat.

Późnym wieczorem na erfurckim Wydziale Teologicznym zorganizowano wykład otwarty **prof. dra Karla-Josepha Hummela** z Uniwersytetu w Bonn, który szczegółowo przedstawił wydarzenia sprzed 50 lat, pokazując, jak początkowo negatywne odniesienie społeczeństw do obu listów, poprzez owocną pracę nad pojednaniem, przemieniało mentalność i zapoczątkowało przyjaźń i współpracę nad pojednaniem między narodami w Europie. Dopowiedzeniem wykładu było wystąpienie **dra Severina Gawlitty** z Diözesanarchiv w Essen, który na podstawie szerokiej kwerendy archiwalnej obalił mit rzekomej zwłoki odpowiedzi biskupów niemieckich na list biskupów polskich – oba listy były efektem długotrwałego procesu pojednania, a ich treść była długo konsultowana.

W drugim dniu obrad dyskutowano nad recepcją obu listów w Polsce i w Niemczech bezpośrednio po ich opublikowaniu. **Ks. dr Piotr Górecki** z Uniwersytetu Opolskiego przybliżył ówczesną burzę medialną, jaką zgotowała biskupom ówczesna władza. Krzycząc, „w czym imieniu”, próbowano zdyskredytować biskupów polskich i – wobec braku wolnych mediów katolickich – zmusić Polaków do odebrania biskupom społecznego mandatu zaufania. Z kolei **dr Theo Mechtenberg** z *Gesamteuropäisches Studienwerk* w Vlotho wskazał na wywołaną listami krytykę biskupów niemieckich, którym tamtejsi katolicy zarzucali m.in. uprawianie polityki na usługach rządu z Bonn, a nie dążenie do pojednania. Obaj przedmówcy wskazywali również na fakt,

że zasiane wówczas ziarno pojednania wydało konkretny plon już w 1970 r., chociaż ówczesne gremia rządowe wcale nie powoływały się na wcześniejsze działania biskupów.

Czwarta część obrad poświęcona była prekurso-rom polsko-niemieckiego pojednania. **Ks. dr hab. Erwin Mateja** z Uniwersytetu Opolskiego przypomniał zasługi kard. Bolesława Kominka z Wrocławia oraz późniejsze działania bpa opolskiego Alfonsa Nossola i pamiętny gest pokoju w czasie mszy św. w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r. **Prof. dr Josef Pilvousek** z Uniwersytetu w Erfurcie przybliżył uczestnikom konferencji postać bpa Gerharda Schaffranna i katolickiego intelektualisty Gün-tera Särchena. Ostatnia część poświęcona była spojrzeniu oczyma sąsiadów na Kościół w Polsce i w Niemczech, w pierwszych latach pontyfikatu Jana Pawła II. **Ks. prof. dr hab. Tadeusz Dola**, dziekan Wydziału Teologicznego UO zwrócił uwagę na żywe zainteresowanie katolików w Polsce Kościołem w Niemczech oraz na wdzięczność naszego społeczeństwa za pomoc Niemców w okresie stanu wojennego i w czasie transformacji. **Prof. dr Jörg Seiler** z Uniwersytetu w Erfurcie również podkreślił doniosłość działań Kościoła w Niemczech na rzecz niemiecko-pol-skiego pojednania. Wskazał także na to, że temat Kościoła polskiego nie był popularny ani w przestrzeni publicznej, ani w niemieckich studiach teologicznych – Kościół w Polsce traktowano raczej jako twór, który nie rozpoczął jeszcze przemian związanych z wprowadzaniem ducha soborowego. Ów stereotyp skutecznie przełamywał pa-pież Polak, m.in. w trakcie dwóch pierwszych pielgrzymek do naszych zachodnich sąsiadów, w 1980 i 1987 roku. **Dr Ursula Pękala** z Mainz podała kilka konkretnych przykładów na to, jak idea pojednania pomiędzy oba narodami, zapoczątkowana poprzez wzajemną wymianę listów, kontynuowana jest pomiędzy episkopatami oraz organizacjami rządowymi w Europie i na świecie.

Część polska konferencji odbyła się w budynku Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego. Tym razem koledzy z Polski zorganizowali, 2 grudnia br.,

otwartą konferencję naukową zatytułowaną: *50 lat wymia-ny listów biskupów polskich i niemieckich. „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”*, podczas której wykłady dla stu-dentów i mieszkańców Opola wygłosili: biskup gliwicki **prof. dr hab. Jan Kopiec**, **ks. prof. dr hab. Jerzy Mys-chor** z Uniwersytetu Śląskiego oraz **ks. dr hab. Joachim Piecuch**, **prof. UO** i **ks. dr Piotr Górecki** z Uniwersytetu Opolskiego. Niemiecki punkt spojrzenia na poruszane także w Erfurcie zagadnienia przedstawili: **prof. dr Jörg Seiler** i (w imieniu **prof. dra Josefa Pilvouska**) – **Ther-esia Niesing**. Opolska konferencja, podobnie jak wcześ-niejsza, w Niemczech, wzbudziła żywą dyskusję i dała nowe impulsy w naukowej pracy nad interpretacją wy-darzeń sprzed 50 lat.

Wiele uściśleń i wskazanie na jeszcze dzielące nas różnice, to niewątpliwie owoc wzajemnych rozmów i wygłoszonych referatów. Cieszy fakt, że potrafimy sie-bie słuchać, że dostrzegamy różnice w odbiorze tego samego fragmentu historii w kręgach polskich i niemie-ckich. Dyskusja nie miała na celu przekonywania drugiej strony do swojej wersji. Była raczej zachętą, aby spojrzeć na wydarzenie sprzed pół wieku jak na wciąż trwają-cy proces. Po 50 latach od wzajemnej wymiany listów geograficzna mapa Europy bardzo się zmieniła. Runęła żelazna kurtyna, a byłe państwa bloku socjalistycznego, w ramach wspólnoty państw europejskich przekształcają się na drodze przemian demokratycznych. Narody polski i niemiecki zawdzięczają wiele minionym pokoleniom, które, doświadczony okrucieństwa wojny, budowały na powrót dobrosąsiedzkie relacje. Warto pamiętać, że czyniono to także w oparciu o Ewangelię i o Chrystuso-we przykazanie miłości, i że biskupi katolicy jako pierwsi wyciągnęli, ponad powojennym murem podziałów, rękę do zgody.

MARTIN M. LINTNER

KŁOPOTY Z PŁCIĄ

Referat (zatytułowany: „Etyczne rozważania na temat transseksualizmu”) zaprezentowany został podczas międzynaro-dowej konferencji naukowej „Tożsamość płciowa i transseksualizm: fakty i kontrowersje. Perspektywa interdyscyplinarna”, na Wydziale Teologicznym UO.



Prof. Martin M. Lintner

Transseksualizm to „chęć życia jako osoba płci odmiennej oraz bycia uznanym w tym względzie. Zazwyczaj wiąże się z dyskomfortem lub poczuciem braku przyna-leżności do własnej płci somatycznej (anatomicznej). To-warzyszy mu pragnienie, aby po leczeniu chirurgicznym i hormonalnym możliwie jak najlepiej dostosować swoje ciało do preferowanej płci”. Tak definiuje transseksualizm Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) w ramach *International Statistical Classification of Diseases and Related*

Health Problems (ICD-10), gdzie zaliczany jest on do za-burzeń tożsamości płciowej. Aby postawić diagnozę, stosuje się następujące kryteria: ciągłe istnienie trans-seksualnej tożsamości przez co najmniej dwa lata, obja-wy nie są wyrazem innego zaburzenia psychicznego (np. schizofrenii), nie występują też żadne interseksualne, ge-netyczne lub chromosomowe anomalie.

W transseksualizmie nie chodzi więc o specyficzną orientację seksualną, jak np. hetero-, homo- czy biseksu-

alną, lecz o tożsamość seksualną. Tożsamość seksualna obejmuje zaś postrzeganie siebie, jak i przeżywanie siebie przez człowieka jako mężczyzny albo kobiety w całościowym sensie. O ile nie chodzi w transseksualizmie o wolny wybór, lecz o ustaloną, wyraźną tożsamość, której przyczyną w świetle dzisiejszych badań naukowych są nadal w dużej mierze nieznanne, należy ten fenomen rozważać szczególnie z perspektywy osób nim dotkniętych. Dla nich znaczy to doświadczenie „żyć w niewłaściwym ciele”. Często jest to znaczne cierpienie psychiczne (ponieważ trudno jest zaakceptować swoje ciało), oraz społeczne (gdyż transseksualiści nierzadko wchodzą w konflikt z oczekiwaniami otoczenia społecznego).

OTOŻSAMOŚCI SEKSUALNEJ

Seksualność jest podstawowym warunkiem bycia człowiekiem. Stanowi ona część jego tożsamości i odnosi się do wszystkich aspektów ciała i duszy. W tożsamości seksualnej można wyróżnić następujące poziomy: płć biologiczną, społeczną oraz psychologiczną.

Płć biologiczna, somatyczna lub morfologiczna jest z reguły łatwo rozpoznawalna poprzez wewnętrzne i zewnętrzne, pierwszo-, drugo- i trzeciorzędowe cechy płciowe jako kobieca albo męska. Ona odpowiada za zwyczaj płci chromosomalnej (genetycznej). Spośród 46 chromosomów, względnie 23 par chromosomów, dwa to tzw. chromosomy płciowe XX (kobiecy) albo XY (męskie). Od tego zależy rozwój płci gonadalnej, a więc tworzenie gonad. Wytwarzanie męskich oraz żeńskich hormonów płciowych określa płć hormonalną. One są m.in. odpowiedzialne za powstawanie płci somatycznej podczas rozwoju embrionalnego. Przypuszczalnie hormony te wywierają również wpływ na płć podwzgórzową, a więc na kobiecą albo męską ekspresję podwzgórza, jak i tworzenie odpowiednich neuroprzekaźników. Płć podwzgórzową przypisuje się po urodzeniu, a zwłaszcza podczas i po okresie dojrzewania, istotną rolę w dojrzewaniu płciowym oraz w zachowaniu seksualnym osoby.

Od płci biologicznej należy odróżnić płć społeczną. Oznacza to, że tożsamość seksualna człowieka nigdy nie może być zredukowana wyłącznie do poziomu biologicznego, lecz jest ona także kształtowana przez związane z daną płcią wzorce społeczne, a te są uwarunkowane historycznie, etnologicznie czy kulturowo. Językowo ta

odrębność płci biologicznej i społecznej została wyrażona poprzez wprowadzone w latach 70. XX w. rozróżnienie pomiędzy *sex* a *gender*. *Sex* oznacza naturalną tożsamość płciową w jej binarnym zróżnicowaniu między mężczyzną a kobietą. *Gender* zaś to społeczne koncepcje mężczyzn i kobiet. Tzw. *gender studies* badają złożoną interakcję między tymi dwoma poziomami, zwłaszcza zaś wpływ kultury, społeczeństwa, wychowania itp. na oczekiwania społeczne w odniesieniu do kobiecości i męskości, co z kolei może mieć znaczący wpływ na rozwój indywidualnej koncepcji płciowej osoby.

Dzisiaj często ma miejsce jednolita krytyka *gender studies*. Zarzuca się im, iż zaprzeczają naturalnej dwupłciowości człowieka oraz propagują indywidualny, swobodny wybór płci, niezależnie od warunków biologicznych, ponieważ płciowość nie jest tu wrodzona, lecz jedynie uwarunkowana kulturowo i wpajana. W przeciwieństwie do tego jednak w różnych teoriach *gender* nie zaprzecza się różnicom biologicznym między mężczyzną a kobietą, ale raczej podkreśla, że już mowa o płci biologicznej naznaczona jest wpływem historycznych i kulturowych wzorców interpretacyjnych. Ciało i płciowość, a więc bycie mężczyzną albo kobietą, to nie tylko wyposażenie biologiczne, lecz zawsze pewien kształt kulturowy, jak mianowicie należy rozumieć w odpowiednim kontekście istotę mężczyzny i kobiety. Nie chodzi zatem o to, aby praktycznie negować biologiczny wymiar bycia mężczyzną i kobietą oraz postrzegać płcie jako konstrukcje uwarunkowane wyłącznie kulturowo. Idzie bardziej o to, aby zapytać, jak kategorie historyczno-kulturowe oraz wzorce ról kształtują rozumienie biologicznej płciowości, jak i więzi pomiędzy płciami.

Seksualna samoocena człowieka, a więc jego rzeczywistości indywidualna tożsamość seksualna, jest kształtowana zarówno przez płć biologiczną, jak i płć społeczną. Jest określana również przez to, jak ktoś konkretnie, indywidualnie postrzega siebie jako mężczyznę albo kobietę, jak on/ona chce być postrzegany/a przez innych, czy też uważa, że tak jest postrzegany/a. Poza tym istotne jest, jakie rozumienie siebie jako istoty seksualnej ktoś posiada, oraz jak w związku z tym się zachowuje.

Postrzeganie samego siebie, jak i postrzeganie przez innych, to dwa podstawowe filary znalezienia własnej tożsamości, ponieważ tożsamość jest zawsze związana ze środowiskiem społecznym. Znaczenie, jakie odgrywa seksualność w indywidualnym samopoznaniu, należy do jej najbardziej istotnych wymiarów. Do samoświadomości

należy bowiem także doświadczenie własnego ciała. Samoświadomość nie może być jednak dyktowana tylko przez organizm. W szczególności odnosi się to do seksualności, ponieważ cielesna płciowość stanowi punkt styku jedności ciała i duszy człowieka, co jest ważne dla ludzkiej integralności fizycznej i duchowej. Doświadczenia ciała wymagają też zawsze interpretacji, a te muszą być wykonane zarówno indywidualnie, jak i pod wpływem zewnętrznego postrzegania. Potrzeba uznania społecznego powoduje, że jednostka w wielu przypadkach ugina się wobec oczekiwań innych lub też stara się odpowiadać wzorom czy rolom społecznym. Decydujące jest jednak to, czy człowiek doświadcza siebie w ten sposób jako autentycznego, czyli stojącego w zgodzie z sobą samym (albo nie), oraz czy odpowiada dzięki temu rzeczywistości lub pożądanemu obrazowi samego siebie.

W końcu również pewność siebie czy pozytywna samoocena są podstawą osobistej tożsamości. Chodzi o to, czy ktoś z własnym fundamentalnym rozumieniem siebie samego łączy pozytywne poczucie własnej wartości, a tym samym akceptuje siebie jako mężczyznę albo kobietę, mogąc w ten sposób zintegrować swą seksualność z całą osobowością. Istotne dla tożsamości płciowej są też poznanie oraz akceptacja własnej orientacji seksualnej.

ETYCZNE WYZWANIA TRANSEKSUALIZMU

Powstawanie tożsamości płciowej należy do jednego z najważniejszych zadań rozwojowych człowieka. Celem jest rozpoznanie i akceptacja własnej tożsamości seksualnej. W odniesieniu do transseksualizmu powstaje przy tym szczególnie problem. Polega on na tym, że indywidualne odczucia afektywno-seksualne lub samoświadomość seksualna nie pokrywają się z płcią fizyczną; dana osoba często odrzuca swe ciało lub też nie może rozwi-

nać pozytywnego stosunku do niego. W efekcie popada także w konflikt z oczekiwaniami i koncepcjami swej płci społecznej, co wielu prowadzi do znacznego cierpienia osobistego i społecznego.

Z etycznego punktu widzenia rodzi się w związku z tym zasadnicze pytanie: jak ludziom dotkniętym transseksualizmem można pomóc złagodzić napięcia i rozwiązać ich wewnątrzpsychiczne, międzyosobowe czy psychospołeczne konflikty? Jak również rozwijać konstruktywne podejście do nich, aby dzięki temu można było trwale pokonać albo przynajmniej osłabić obniżenie jakości życia, wynikające z transseksualizmu? Pierwszym krokiem jest tutaj pewne wyjaśnienie diagnostyczne: czy rzeczywiście chodzi w danym przypadku o autentyczny transseksualizm? Drugim krokiem jest pomoc danej osobie poprzez środki terapeutyczne, aby mogła zaakceptować swoje ciało. Akceptacja siebie oznacza również integrację seksualności we własną osobowość, jak i rozwój integralności cielesno-duchowej. Gdy zaś chirurgiczna zmiana płci staje się jedynym sposobem, dzięki któremu człowiek może zbudować pozytywny stosunek do swojego ciała, to należy takie rozwiązanie również uznać z etycznego punktu widzenia. Oczywiście, pozostaje do rozważenia, że wraz z tym zabiegiem podstawowe rozdzielanie nie będzie przewyciężone, ponieważ płć genetyczna – pomimo operacji zmiany płci – nie może być zmieniona. Po trzecie – warto zaznaczyć, iż również społeczna integracja jest ważnym celem. Społeczeństwo musi zatem przewyciężać każdą formę stygmatyzacji bądź dyskryminacji osób transseksualnych. Ci ludzie mają bowiem prawo do integracji i uznania (w ich życiu prywatnym, rodzinnym, ale też w środowisku społecznym i zawodowym) ich takimi, jakimi się w swym moralnym samostanowieniu rozumieją.

(Tłum. dr Janusz Podzielny)

REDAKCJA INDEKSU

NOWY INDEKS – NOWA SZATA GRAFICZNA

Szanowna Redakcjo,

dziękuję Państwu za przesłany kolejny numer „Indeksu”. Gratulacje dla autora nowej szaty graficznej. Taka zmiana jest procesem skomplikowanym i niełatwym, tym bardziej gratuluję efektu końcowego. Szczególnie udanym jest przejrzystość całego układu, podział poszczególnych rozdziałów na kolory. Układy kompozycyjne (typografia, materiał wizualny) się uzupełniają i wspierają – tworząc spójny obraz, co stanowi zapewne wielką zaletę publikacji i wpływa na jego czytelność jak i rozpoznawalność na rynku wydawniczym.

Redakcja Pisma Artystycznego Format

(Format to kwartalnik artystyczny, zajmujący się współczesną sztuką wizualną, którego wydawcą jest Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu).



Na okładkę odnowionego „Indeksu” zerka, z wyraźnym zainteresowaniem, nasz doktor hc Daniel Olbrychski (fot. Jarosław Mokrzycki)

3

INDEKS

RELACJE, RECENZJE, NOTY

115

str.

145

IWONA SOBIERAJ

PRZESTRZENIE PAMIĘCI

Międzynarodowa konferencja w Instytucie Socjologii



Uczestnicy konferencji o pamięci społecznej

16 października br. w Collegium Civitas odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa pt. *Przestrzenie pamięci. Świat wartości w przekazie międzypokoleniowym i międzykulturowym*, której organizatorem był Zakład Antropologii i Socjologii Kultury Instytutu Socjologii UO. Konferencja miała charakter interdyscyplinarny, zaprezentowano ponad 50 referatów z instytucji naukowych z kraju i z zagranicy, z takich ośrodków jak: Instytut Filozofii i Socjologii PAN, Instytut Archeologii i Etnografii PAN, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Wrocławski, Uniwersytet w Sewastopolu, Uniwersytet w Pardubicach, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Uni-

wersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Zielonogórski, Politechnika Śląska, Politechnika Opolska, Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie, Wyższa Szkoła Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki w Warszawie, Państwowa Wyższa Szkoła Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży oraz Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Uczestników powitała **dr hab. Anna Barska, prof. UO** – przewodnicząca komitetu organizacyjnego, która wprowadzając w tematykę konferencji, zachęciła do twórczej dyskusji wokół podjętych zagadnień. Konferencję otworzył rektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja**, słowo wstępne wygłosili: dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab.**

Janusz H. Dorobisz, prof. UO oraz dyrektor Instytutu Socjologii **prof. dr hab. Krzysztof Frysztacki**. W sesji plenarnej, którą prowadził **prof. dr hab. Marek S. Szczepański**, wysłuchano znakomych referatów: **prof. dr hab. Joanny Kurczewskiej, prof. dr hab. Józefa Niżnika, dr. hab. Leszka Korporowicza, prof. UJ, dr hab. Janiny Hajduk-Nijakowskiej, prof. UO, dr. hab. Marka Dziewierskiego, prof. UŚ**. W wystąpieniach rozważano odpowiedzi na ważne i aktualne pytania: Dlaczego warto badać pamięć lokalną? Jaki jest wpływ integracji europejskiej na kształtowanie pamięci i symbolizm przestrzeni lokalnej? Jakie są współczesne przestrzenie dziedzictwa kulturowego? Jak badać historie opowiedane? Jaką funkcję pełnią miejsca i obiekty pamięci? Sesję plenarną uświetnił wykład prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji oraz pokaz filmu o Kołomyjach, który w poruszający sposób ożywił pamięć o wspaniałych, a dziś często zapomnianych mieszkańcach Kresów Wschodnich, o małej ojczyźnie, w której rodziło się wielkie dziedzictwo polskiej kultury i nauki.

Druga część konferencji miała formę sześciu równoległych paneli tematycznych, poświęconych takim tematom, jak: *Pamięć a tożsamość* (prowadząca: **dr hab. Anna Barska, prof. UO, dr hab. Anna Śliz, dr Elżbieta Nieroba**), *Pamięć a miejsce* (prowadząca: **dr Kamilla Biskupska**), *Religijność w przekazie międzypokoleniowym* (prowadzący: **dr Marek Korzeniowski**), *Pamięć i biografia* (prowadząca: **dr hab. Maria Kalczyńska, prof. PO; dr Iwona Sobieraj**).

Zapraszając środowisko naukowe na konferencję, organizatorzy zaproponowali wspólną refleksję i dyskusję m.in. nad pytaniami: W jaki sposób pamięć społeczna jest tworzona i odtwarzana w rodzinach, społecznościach lokalnych i regionalnych, a także jak wiąże się z miejscami ważnymi dla tych społeczności? Jakie miejsce w kształtowaniu się wspólnot społecznych zajmuje dziś przekaz międzypokoleniowy? Jakie są jego formy i zakres? Co z pamięci dawnych mieszkańców zostało przekazane, a co zapomniane? Jakie zwyczaje i obyczaje rodzinne, narodowe, religijne są kultywowane, a które stały się przeżytkami kulturowymi? Jakie znaczenie ma historia i tradycja lokalna dla młodego i starszego pokolenia? Jaką rolę pełni przekaz międzykulturowy w doświadczeniu różnych pokoleń?

Badania, odnoszące się do pamięci, w ramach socjologii koncentrują się na jej społecznych aspektach, a przede wszystkim na tym, w jaki sposób jest ona two-

rzona i odtwarzana oraz jakie ma znaczenie dla społeczności, która nią dysponuje, zachowuje i transmituje lub przeciwnie – wymazuje z pamięci. Na pamięć społeczną składają się wyobrażenia o przeszłości grupy, które są przez jej członków zachowywane i przekazywane kolejnym pokoleniom. Tak rozumiana pamięć pełni ważne dla społeczeństwa funkcje: jest przekazywaniem wartości i wzorów zachowania, legitymizuje przekazywane tradycje oraz jest elementem tożsamości społecznej i więzi grupowej. Pamięć społeczna, choć posługuje się czasem historycznym, odnosi się głównie do czasu społecznego, który stanowią podzielane w danym społeczeństwie sposoby myślenia i symbolizowania zjawisk zmiany i trwania.

Współcześnie socjologowie zauważają, że wiele procesów społecznych, takich jak np. globalizacja, upowszechnianie technologii komunikacyjno-informacyjnych, migracje, wpływa na przyspieszenie czasu społecznego. W społeczeństwach, w których czas historyczny i czas społeczny coraz bardziej od siebie odbiegają, pojawiają się zjawiska anomii świadomości społecznej, dotyczące także pamięci historycznej. Istnienie tych zjawisk ukazuje badania społeczne, które potwierdzają, że młode pokolenie odcięło się od przeszłości i nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie były uwarunkowania życia społecznego w Polsce w okresie młodości ich rodziców czy dziadków. Tymczasem przekaz międzypokoleniowy, pozwalający na zachowanie pamięci historycznej i tożsamości kulturowej, jest podstawą istnienia wspólnot na różnych poziomach społecznych. Poznając biografie rodzinne, historię lokalną i narodową, określamy swoją tożsamość, często w opozycji do „innych”, którzy pojawiają się w naszym otoczeniu społecznym. Nie zawsze są to grupy „obce”. Obecność ich może stanowić ważny element środowiska lokalnego, jego historii i kultury. Z drugiej strony, różne społeczności funkcjonujące w tej samej przestrzeni, postrzegają ją i zapamiętują inaczej, nadając miejscom swoiste dla siebie wartości. Naszą tożsamość tworzymy i przekształcamy w oparciu o kolejne doświadczenia życiowe. Dziś są to często doświadczenia oparte o transkulturowe i transnarodowe przepływy ludzi i idei, związane z procesami globalizacji, migracji i wieloetniczności. Pośrednikiem w przekazie tym są coraz częściej media i nowoczesne technologie.

JUBILEUSZ WYDZIAŁU EKONOMICZNEGO UO

ANNA BRUSKA

OPOLSKA EKONOMIA MA 40 LAT



Na zdjęciu od lewej: dziekan Wydziału Ekonomicznego prof. Stanisława Sokołowska, prodziekan prof. Sabina Kauf, Sebastian Marcinkowski, na ekranie: prof. Janusz Kroszel

Uroczystości jubileuszowe zorganizował, 5 listopada br., Wydział Ekonomiczny, a ich tłem była reprezentacyjna Aula Błękitna Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego. Świętowano w gronie studentów, absolwentów, nauczycieli akademickich, pracowników administracji i obsługi oraz zaproszonych gości, jednak rytm tego wyjątkowego dnia wyznaczyły trzy spotkania: oficjalna część z udziałem licznych gości, popołudniowa debata z udziałem absolwentów opolskich kierunków ekonomicznych oraz wieczorne spotkanie w gronie byłych i obecnych pracowników wydziału.

W pierwszej części ewolucję kierunków ekonomicznych powołanych w Opolu w 1975 r. przedstawiła dziekan Wydziału Ekonomicznego **prof. dr hab. Stanisława Sokołowska**. Wzruszającym momentem dla wszystkich obec-

nych było odsłuchanie nagrania wypowiedzi **prof. dr. hab. Janusza Kroszela**, inicjatora budowy opolskiej ekonomii, który, mimo chęci, nie mógł uczestniczyć osobiście w uroczystościach. Jednak jego przesłanie, zarejestrowane na kilka dni przed jubileuszem, wybrzmiało mocno w murach auli i pozostanie świadectwem ambicji, zamierzeń i skuteczności działań środowiska opolskich ekonomistów.

Jubileusz uświetniła swym wykładem **prof. dr hab. Elżbieta Mączyńska**, prezes Zarządu Krajowego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, która swą wypowiedź opatrzyła intrygującym tytułem (*Nieład społeczno-gospodarczy*). Brawurowa prezentacja znamienitej prelegentki spotkała się z niepodzielną uwagą i aplauzem słuchaczy, inspirując przy tym liczne dyskusje kulturalne podczas przerwy.

Kolejnym, oczekiwanym przez pracowników i studentów punktem obchodów, było spotkanie z absolwentami kierunków ekonomicznych na Uniwersytecie Opolskim (wcześniej w Wyższej Szkole Pedagogicznej). Z ogromnej społeczności blisko 12 tysięcy absolwentów, którzy uzyskali swoje dyplomy w Opolu, bardzo trudno było wybrać gości do debaty na temat przeszłości i przyszłości kierunków ekonomicznych. Poszukując okazji do rozmowy z osobami reprezentującymi szerokie spektrum branż i sektorów gospodarki, różnorodność form działalności, zaproszono dwunastu ludzi sukcesu, którzy w którymś momencie swojej kariery zawodowej studiowali kierunki ekonomiczne w Opolu. O sprawach istotnych dla przyszłości oraz o swoich początkach przygody z kierunkami ekonomicznymi mówili: **Marian Drymluch** (dyrektor regionalny w Banku Pekao SA), **Ziemowit Grygierczyk** (partner zarządzający w firmie ZAGA Fundusze Europejskie), **Iwona Frankowska** (Urząd Miasta Opole), **Agata Karpala** (wiceprezes Zarządu NZOZ Medicus), **Adam Machalski** (wiceprezes zarządu, dyrektor generalny Zakładów Piwowarskich Głubczyce SA), **Michał Mizio** (absolwent kierunków: *gospodarka przestrzenna i ekonomia WE UO*), **prof. Bogusław Nierenberg** (prodziekan ds. finansowych Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego), **plk. Zbigniew Owczarek** (prezes zarządu Wojewódzkiego Związku Żołnierzy Wojska Polskiego w Opolu), **Daniel Roj** (współwłaściciel marketu „Roj” w Dobrzenu Wielkim), **Anna Szewczyk** (właściciel Centrum Finansowego Fundusze Strukturalne), **Henryk Wróbel** (wójt Urzędu Gminy Dobrzeń Wielki), **Krzysztof Zyga** (dyrektor finansowy firmy Polaris SA). Niezwykle interesujące wystąpienia, adresowane przede wszystkim do obecnych w auli studentów, wskazywały istotne cechy, jakimi powinien się na obec-

nym rynku pracy wykazywać potencjalny pracownik: podkreślano rolę osobistego zaangażowania i charakteru, a nie tylko rangi uzyskanego dyplomu, w staraniach o pracę. Bogactwo inspiracji, jakie zaproszeni goście dostarczyli w trakcie debaty słuchaczom, staje się swoistym zobowiązaniem do skorzystania z nich przez pracowników i studentów wydziału, pozwala też przemyśleć kierunki dalszego rozwoju dydaktyki i badań w obszarze szeroko rozumianych nauk ekonomicznych, ze szczególnym uwzględnieniem postulatu bliższej współpracy z otoczeniem społecznym i gospodarczym.

Wieczorna część obchodów jubileuszu dopełniła atmosfery święta dzięki kameralnemu koncertowi z udziałem znakomitej sopranistki Teatru Wielkiego-Opery Narodowej, **Katarzyny Trylnik**, której na fortepianie towarzyszyła **dr Katarzyna Ewa Sokołowska**, pedagog i pianistka pracująca w Uniwersytecie Muzycznym im. F. Chopina w Warszawie. Słuchacze mogli wysłuchać pieśni F. Chopina oraz S. Moniuszki, a także arii G. Pucciniego, A. Dvoraka i F. Lehara, w pięknym – muzycznie i aktorsko – odegranym mini spektaklu.

Nieoczekiwanym, a miłym akcentem wieczoru stało się improwizowane wystąpienie rektora Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr. hab. Stanisława S. Niciej**, któremu udało się dołączyć do grona świętujących. Jako świadek powstawania ośrodka kształcącego w zakresie kierunków ekonomicznych, przywołał klimat tych początków, inkrustując swoją opowieść licznymi anegdotami, oddającymi sprawiedliwość determinacji, a nierzadko również barwnej fantazji ludzi, którzy doprowadzili do jego powstania. Wrażenia całego dnia, dyskusje i opowieści wymieniano podczas biesiady z udziałem byłych i obecnych pracowników wydziału, która zakończyła obchody jubileuszowe.

JUBILEUSZ WYDZIAŁU EKONOMICZNEGO UO

STANISŁAWA SOKOŁOWSKA

INSTYTUTOWE POCZĄTKI

Kiedy ponad 40 lat temu zrodził się w umysłach opolskich ekonomistów pomysł na utworzenie ekonomii w Wyższej Szkole Pedagogicznej, dla wielu osób było to niezrozumiałe, a nawet uważano to za niemożliwe. A jednak...

W wyniku intensywnych starań wielu osób, organizacji, władz regionalnych, a szczególnie opolskich ekonomistów skupionych w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym, w roku akademickim 1975/76 uruchomiono w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu nowy kierunek studiów: *ekonomikę i organizację przemysłu*, a w następnym roku – *ekonomikę i organizację obrotu towarowego i usług*. W pierwszym roku akademickim studia podjęło 120 osób, a zainteresowanie kandydatów było olbrzymie: ponad 10 osób na jedno miejsce. Studia ekonomiczne w trybie niestacjonarnym uruchomione zostały w roku akademickim 1980/81.

Decyzja o uruchomieniu ekonomicznych kierunków kształcenia miała istotny wpływ na zmianę struktury i poszerzenie profilu WSP, która w ten sposób, z placówki kształcącej nauczycieli, rozpoczęła proces transformacji w kierunku uczelni uniwersyteckiej. Aby prowadzić nowe kierunki studiów, powołany został Instytut Nauk Ekonomicznych (INE), działający w ramach Wydziału Filologiczno-Historycznego WSP.

Twórcą kierunków ekonomicznych oraz organizatorem i wieloletnim dyrektorem INE był prof. Janusz Kroszel. Dzięki Jego staraniom, pracę w instytucie podjęło wiele osób, zatrudnionych dotychczas w różnych instytucjach Opola, – był to trzon kadry profesorskiej późniejszego Wydziału Ekonomicznego. W kolejnych latach funkcję dyrektora INE pełnili również: prof. Piotr Blaik, doc. dr Zbigniew Kołaczkowski, prof. Zbigniew Mikołajewicz.



Gospodarze i goście jubileuszowej uroczystości (fot. Sebastian Marcinkowski)



Absolwenci Wydziału Ekonomicznego uczestniczący w debacie o przeszłości i przyszłości kierunków ekonomicznych.
W górnym rzędzie, od lewej: Krzysztof Zyga, prof. Bogusław Nierenberg, Henryk Wróbel, Anna Szewczyk, Adam Machalski.
W dolnym rzędzie, od lewej: Iwona Mąkolska-Frankowska, płk. Zbigniew Owczarek, Michał Mizio, Daniel Roj, Ziemowit Grygierczyk, Agata Karpala, Marian Drymluch
(fot. Sebastian Marcinkowski)



Na zdjęciu (od lewej): dyrektor Publicznego Liceum Ogólnokształcącego nr 5 w Opolu Danuta Katorosz, prezes Zarządu Krajowego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego prof. Elżbieta Mączyńska, prorektor UO prof. Janusz Słodczyk, dziekan Wydziału Ekonomicznego prof. Stanisława Sokółowska
(fot. Sebastian Marcinkowski)



Wieczorna część uroczystości, z udziałem rektora prof. Stanisława S. Niciejki (na zdjęciu z prawej, obok – dziekan prof. Stanisława Sokółowska).
Od lewej siedzą: prof. Sabina Kauf, dr Iwona Pisz, Anna Baldo, prof. Agata Zagórowska, Wojciech Goleński, prof. Janusz Słodczyk, prof. Urszula Langowska-Szczęśniak, dr Marcin Krzesaj
(fot. Sebastian Marcinkowski)

W momencie powstania Instytutu Nauk Ekonomicznych, kadra naukowo-dydaktyczna liczyła 10 osób; sukcesywnie zatrudniano nowych niezbędnych pracowników. W końcowym okresie funkcjonowania instytutu – przed powołaniem Wydziału Ekonomicznego, zatrudnionych w nim było 39 osób, w tym: 12 samodzielnych pracowników nauki (profesorów i docentów), 15 adiunktów ze stopniem doktora, 12 asystentów ze stopniem magistra.

W okresie przygotowań do uzyskania statusu samodzielnego wydziału wielu pracowników INE uzyskało awanse naukowe. Kadrowe wzmocnienie INE pozwoliło na uruchomienie (od roku akademickiego 1989/90) kolejnego kierunku studiów: ekonomia pracy i polityka społeczna, zintensyfikowanie prowadzonych badań naukowych oraz nawiązanie współpracy naukowej z zagranicą, w tym szczególnie z Uniwersytetem im. Françoisisa Rabelais'go w Tours (Francja), Uniwersytetem Pedagogicznym w Ostrawie (Czechosłowacja), Wydziałem Ekonomicznym Instytutu Spółdzielczego w Białgorodzie (ZSRR) oraz Uniwersytetem w Poczdamie (wtedy jeszcze Wyższą Szkołą Pedagogiczną NRD).

Działalność naukowa Instytutu Nauk Ekonomicznych była prowadzona bardzo intensywnie, krystalizowały się kierunki zainteresowań badawczych pracowników. W badaniach podejmowano problemy o dużej randze naukowej i przydatności dla sterowania procesami gospodarczymi w kraju i regionie, np.: rozwój i funkcjonowanie infrastruktury społecznej (prof. Z. Mikołajewicz, prof. J. Kroszel); logistyka, problemy strategicznego zarządzania i racjonalizacji kosztów obrotu towarowego (prof. P. Blaik); procesy przemian strukturalnych w gospodarce i przemyśle (prof. Z. Mikołajewicz, prof. Brygida Grzegarek-Więcek); modelowanie przemian poziomu i struktury konsumpcji w Polsce i regionie opolskim (prof. R. Rauziński, doc. dr Z. Kołaczkowski; dr hab. U. Łangow-

ska, prof. UO, dr hab. K. Hanusik, prof. UO); gospodarka regionalna i finanse samorządów terytorialnych (prof. S. Dolata); gospodarka miejska (prof. J. Słodczyk); problemy produktywności pracy (prof. Józef Jagas).

Większość tematów badawczych podejmujących tę problematykę realizowano w ramach programów sterowanych centralnie, w tym centralnych programów badań podstawowych (CPBP), badań sterowanych przez KBN lub na zamówienie władz regionalnych.

Znaczny rozwój kadry, intensyfikacja i rozszerzenie zakresu prowadzonych badań naukowych, a także poprawa infrastruktury materialnej, stworzyły podstawy do wystąpienia o zmianę statusu Instytutu Nauk Ekonomicznych – nadanie mu rangi wydziału. Doszło do tego, gdy Rada Główna Szkolnictwa Wyższego, uchwałą z 16 czerwca 1992 roku, zaopiniowała pozytywnie wniosek o przekształcenie Instytutu Nauk Ekonomicznych w Wydział Ekonomiczny WSP w Opolu. Funkcję pierwszego dziekana Wydziału Ekonomicznego WSP objął prof. Janusz Słodczyk. Następnie funkcję tę pełniła prof. Urszula Łangowska-Szczęśniak, a obecnie prof. Stanisława Sokółowska.

Faktem, którego znaczenie trudno przecenić, było uzyskanie przez Wydział Ekonomiczny, w 1993 r., prawa do nadawania stopnia doktora nauk ekonomicznych. Zdobyte tych uprawnień potwierdziło naukową pozycję zespołu pracowników wydziału.

(ciąg dalszy wystąpienia dziekana Wydziału Ekonomicznego UO prof. Stanisławy Sokółowskiej – w następnym numerze „Indeksu”)

BARBARA STANKIEWICZ

GRECJA JAK ZOMBIE

Doświadczenia i wyzwania integracji europejskiej – to temat wykładu, jaki miał wygłosić, 13 listopada br., w Auli Błękitnej Collegium Maius UO, prezes Narodowego Banku Polskiego. Profesor Marek Belka zaczął jednak nietypowo: – Kogo to interesuje, odsyłam do referatu, który z pewnością będzie dostępny na wydziale – jest to dość rutynowa opowieść o tym, jak Polska integrowała się z Unią Europejską, jak weszła do niej w roku 2004, jak nie weszła do strefy euro i jakie konsekwencje z tego wynikają dla polskiej gospodarki... Ja już tyle razy o tym mówiłem, obawiam się, że w środku tej prezentacji bym zasnął. Dlatego będę mówił o czymś innym – o największych problemach Unii Europejskiej.



Prof. Marek Belka (fot. Bożena Wroniszewska)

– Zastanówmy się najpierw, co jest podstawą integracji europejskiej. Jest nią wspólny rynek, a więc nie tylko brak barier między rynkami poszczególnych krajów wspólnoty, ale i te same, obowiązujące w nich reguły ekonomiczne. To wspólna polityka handlowa, która jest w rękę komisarza ds. handlu, w Brukseli. Przejawem tej wspólnej polityki jest m.in. przyjęta zasada, że pomoc publiczna państwa udzielana bankrutującym przedsię-

biorstwom powinna być reglamentowana – owszem, można tak zrobić, ale taka firma powinna się wycofać z zagranicznych przedsięwzięć, bo narusza to zasadę konkurencyjności. Polska ma na przykład kłopot z przemysłem węglowym – produkujemy węgiel chyba najdrożej w świecie, kopalnie upadają... Państwo je wspomaga, ale żeby móc to robić, musieliśmy uzyskać zgodę komisarza ds. konkurencji – na jakich warunkach możemy tę pomoc

publiczną przekazać. Tak więc Unia Europejska (o czym warto pamiętać, zwłaszcza kiedy Janusz Korwin-Mikke krzyczy, jaki to socjalistyczny potwór) uniemożliwia nadmierne zasilanie przedsiębiorstw państwowymi pieniędzmi.

Prof. Marek Belka przypomniał początki funkcjonowania strefy euro – przystąpienie do niej oznaczało i oznacza rezygnację nie tylko z własnej waluty, ale i z prowadzenia własnej polityki pieniężnej: – Przedtem Włosi na przykład celowo obniżali kurs swojego lira po to, żeby nadrobić słabości włoskiej gospodarki: ich towary w sposób sztuczny stawały się tańsze, a więc bardziej konkurencyjne... Dziś taki ruch jest niemożliwy, bo stopę procentową euro ustala Europejski Bank Centralny we Frankfurcie.

– I przez dziesięć lat strefa euro świetnie działała. Aż nagle przyszedł światowy kryzys – oto na całym świecie, nagle, z dnia na dzień, wszyscy przestali sobie wierzyć! Przepływy kapitałów zamarty, pozyskanie kredytów stało się o wiele trudniejsze, inwestorzy – zamiast inwestować – woleli siedzieć na tych swoich pieniądzech... Z jakichś powodów zniknęło wzajemne zaufanie uczestników rynku. Kryzys ujawnił, że niektóre kraje strefy euro prowadziły niewłaściwą politykę, np. nadmiernie, czyli nieproporcjonalnie do wydajności pracy, się zadłużały (a w traktacie z Maastricht jest wyraźnie powiedziane: wspólnota nie odpowiada za długi jej członków), tym samym traciły konkurencyjność, miały coraz większy deficyt handlowy. Gdyby nie obowiązujące euro, deficyt handlowy natychmiast przełożyłby się na osłabienie narodowej waluty, a więc i władza, i społeczeństwo, usłyszałyby dzwonek alarmowy: coś niedobrego się dzieje! A tu dzwonek nie dzwonił, euro podziało jak usypiacz. Kryzys pokazał więc, że brak własnej waluty może być bardzo bolesny. Odczuło to najmocniej kilka krajów europejskich, w tym Grecja: kapitał zaczął się wycofywać, rozpoczęte inwestycje trzeba było zamrozić, a zaciąg-

nięte kredyty – zacząć spłacać. W związku z tym, wbrew zapisom traktatu w Maastricht, wspólnota zdecydowała się pomóc Grecji, Portugalii, Irlandii...

Mówiąc o skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazła się Grecja, profesor Belka nawiązał do sytuacji Polski w czasach transformacji: – Zanim przyłączycie się do tego chóru wołającego o Grekach-leniach, którym pewnie umorzą długi, przypomnijcie sobie o tym, jak w latach 90. Polska była beneficjentem takiej operacji, podarowano nam prawie 50 procent długów, co pozwoliło naszej gospodarce ruszyć. O umorzeniu greckich długów na razie nie ma mowy, bo stworzyłby się precedens, na który szybko powołałyby się inne kraje, poza tym wywołałoby to ogólny kryzys zaufania wobec gospodarki krajów europejskich. Wyjście ze strefy euro też nie ma większego sensu – powrót do słabej drachmy oznacza spadek stopy życiowej, a zaciągnięte długi trzeba przecież spłacać w euro. I z tych powodów Grecja pozostaje dziś w stanie zombie.

Unia walutowa działa idealnie tylko w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej – zauważył prof. Marek Belka, wymieniając powody, dla których tak się dzieje:

– Najważniejszy to ten, że w Stanach Zjednoczonych mieszkają sami Amerykanie, a transfer środków odbywa się w obrębie jednego państwa, jednego budżetu centralnego. Tymczasem Unię Europejską tworzy wiele narodowości, z różnym bagażem doświadczeń – historycznych, politycznych i innych... Żeby unia walutowa funkcjonowała dobrze, wszystkie te kraje powinny być gospodarczo na podobnym poziomie, a przynajmniej różnice między tymi poziomami nie mogą się zwiększać. Dlatego ja zawsze podkreślam, że dla Unii Europejskiej ważniejsze jest, żeby portugalski przemysł obuwniczy odzyskał swoją markę na światowym rynku niż to, żeby Niemcy kontynuowali zalewanie tego rynku swoimi samochodami. Chociaż dziś, przez aferę z Volkswagenem, nie jest to już takie proste.

WANDA MATWIEJCZUK, KATARZYNA MAZUR-KULESZA

PROFESOR, REKTOR, PRZYJACIEL Śladami pamięci prof. Maurycego Horna

Kolejne spotkanie w Muzeum UO, z cyklu *Śladami pamięci*, 25 listopada br., poświęcono zmarłemu przed piętnastu laty profesorowi Maurycemu Hornowi, wybitnemu badaczowi historii, cenionemu nauczycielowi akademickiemu, rektorowi Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu w latach 1966–1968, dyrektorowi Instytutu Śląskiego w Opolu oraz, w ostatnim okresie życia, dyrektorowi Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

Do wspomnień o prof. dr. hab. Maurycem Hornie wprowadził zgromadzonych gości rektor **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja**, były student profesora. Przybliżył bogatą biografię profesora oraz jego osiągnięcia naukowe, podkreślając, że prof. Maurycy Horn należał do najwybitniejszych uczonych związanych z Opolem, był utytułowanym pasjonatem historii, znawcą dziejów Żydów zamieszkałych na ziemiach polskich oraz współtwórcą opolskich studiów historycznych. We wrześniu 1957 roku w ramach tzw. drugiej repatriacji przyjechał do Polski i tutaj otrzymał propozycję pracy: na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz w gdańskiej i opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wybrał Opole, gdzie do roku 1983 mieszkał przy ulicy J. Matejki razem ze swą żoną Elżbietą, również historykiem i profesorem, znawczynią dziejów Ukrainy. Oboje w tym samym czasie wykładali w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Z ich seminariów wyszły dziesiątki absolwentów, którzy dziś pracują w uczelniach wyższych w kraju i za granicą, w wielu szkołach, placówkach oświatowych i instytucjach społecznych Opola. Prof. Stanisław S. Nicieja przybliżył również okres, w którym prof. Horn pełnił funkcję rektora opolskiej WSP. Podkreślił wysoką kulturę, otwartość i życzliwość profesora, mistrzowskie i zarazem wyrozumiałe podejście do studentów oraz dobre kontakty z pracownikami naukowymi.

Prof. dr hab. Maurycy Horn jako dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie i badacz dziejów Żydów na ziemiach polskich – to tytuł referatu wygłoszonego przez **dr. Pawła**

Fijałkowskiego z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, ostatniego doktoranta profesora Maurycego Horna, który zapoznał zebranych z osiągnięciami i dorobkiem naukowym profesora. Podzielił się również wspomnieniami, związanymi z działalnością prof. Maurycego Horna jako dyrektora Instytutu w latach 1973–1990. W wypowiedzi znalazły się osobiste wspomnienia autora referatu, dotyczące prywatnych kontaktów z promotorem i pracy zawodowej.

Podczas spotkania otwarto wystawę biograficzną *Prof. dr hab. Maurycy Horn – fakty z biografii*, przygotowaną przez **dr. Andrzeja Szczepaniaka**, na którą złożyły się dokumenty, fotografie, kolekcja medali przyznanych profesorowi Hornowi, a przekazanych Uniwersytetowi Opolskiemu, z inicjatywy **prof. dr. hab. Marka Masnyka**, przez **Marianą Feldmana** z Warszawy, sąsiada państwa Hornów w latach 1973–2000. Muzealne sale wypełnili przyjaciele, współpracownicy i znajomi profesora oraz studenci. Goście przypominali fakty z życia, działalności naukowej i społecznej profesora Maurycego Horna. Podczas tego szczególnego spotkania wspomnieniami o profesorze podzieliło się kilka osób.

W krótkim eseju **dr hab. Elżbieta Trela-Mazur, prof. UO**, przypomniała państwa Hornów z czasu swoich studiów i pracy naukowej, podjętej pod kierunkiem prof. Elżbiety Horn. Przywołała m.in. wspólne rozmowy – z ich treści wylaniała się osoba profesora jako człowieka dobrego i wrażliwego na sprawy innych. Profesor rzadko korzystał z poczęstunku, był osobą skromną – swoistym symbolem tej skromności był... termos, a w nim własna herbata. W domu państwa Hornów panowała ciepła i rodzinna atmosfera. Panią Elżbietę Hornową cechowała wręcz matczyna troska o studentów i współpracowników. Państwo Hornowie zawsze znajdowali czas dla drugiego człowieka, umieli wspierać i otaczać pomocą potrzebujących – podkreśliła prof. E. Trela-Mazur.



Prof. Maurycy Horn (zdjęcie z archiwum rodzinnego)

Były dziekan Wydziału Filologiczno-Historycznego WSP **prof. dr hab. Feliks Pluta** przyniósł dokument z 1978 r., dziś już historyczny – wyciąg z protokołu i dyskusji w sprawie nadania profesorowi nadzwyczajnemu dr. Maurycemu Hornowi tytułu profesora zwyczajnego. Cytując fragmenty wypowiedzi osób biorących wówczas udział w dyskusji o dorobku naukowym i działalności dydaktyczno-wychowawczej, przypominał słowa, którymi charakteryzowano cechy osobowości i postawy prof. M. Horna, a były to: rzeczowość, sprawność, stałość charakteru, łatwość nawiązywania kontaktów i życzliwość wobec ludzi. Opiniujący dorobek profesora wspominali dobro doznane z jego strony, podkreślali duży dorobek naukowy i wysoką ocenę prac profesora przez historyków zachodnich.

Prof. dr hab. Franciszek Marek, rektor Uniwersytetu Opolskiego w latach 1995–1996, przypomniał czas, kiedy Maurycy Horn był prezesem Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, podzielił się także wspomnieniami z wizyty państwa Hornów w jego domu w Gogolinie.

Prof. dr hab. Józef Jagas podkreślił wielką życzliwość, koleżeńskość oraz szacunek, którymi prof. Maurycy Horn cieszył się wśród współpracowników i studentów jako rektor, nauczyciel akademicki i badacz. Profesor nadmienił również, że z państwem Hornami łączyły go sprawy zawodowe, a także prywatnie utrzymywane kontakty, bowiem jego żona dr nauk. med. Romana Łada Jagas była ich lekarzem rodzinnym. Na uwagę zasługują m.in. innymi publikacje profesora o Rusi Czerwonej i Rusi Białej jako początkach Rosji, dla współczesności nadal istotne – podkreślił prof. Józef Jagas.

– W moim życiu i karierze naukowej prof. Maurycy Horn odegrał bardzo ważną rolę – powiedział **dr hab. Mikołaj Iwanow, prof. UO**, z Instytutu Historii. Wspominając pierwsze spotkanie z profesorem Hornem, opowiedział, jak ukierunkowana została wówczas jego droga do kariery naukowej i badawczej.

Profesor Wojciech Dindorf podzielił się wspomnieniami z kilku zdarzeń, które zaważyły na jego karierze naukowej i umożliwiły, jako młodemu fizykowi, wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Na bieg tych zdarzeń miał duży wpływ właśnie rektor Maurycy Horn, jego godna postawa, odwaga, a także autorytet wybitnego, cenionego na świecie naukowca.

Byli studenci opolskiej WSP – **Krzysztof Borkowski** i **Harry Duda** – wspominali rolę, jaką odegrał prof. Maurycy Horn w Marcu 1968 roku. Przypominając fakty i przykre sytuacje, których byli uczestnikami w tym trudnym czasie, podkreślali odwagę profesora Horna, wówczas rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, jego godną postawę i wyjątkową troskę o bezpieczeństwo studentów.

Uczestnicy, bardzo licznie przybyli na to spotkanie, jeszcze w kularach kontynuowali rozmowy i przywoływali kolejne wspomnienia o Maurycym Hornie, profesorze, rektorze, przyjacielu.

(sylwetka prof. Maurycyego Horna – w kolejnym numerze „Indeksu”)

OBSESJA JUBILEUSZY?

Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Robert Traba



Prof. Robert Traba (fot. Beata Śliwińska)

– Tytuł mojego wykładu: *Obsesja jubileuszy?* ma być małą prowokacją – rozpoczął swój wykład prof. dr hab. Robert Traba. Stąd pewnie ten znak zapytania na końcu, ale kiedy po chwili dodał, że od roku 2005 do 2011 Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił 200 (słownie dwieście) uchwał, a wśród nich było blisko 30 procent uchwał rocznicowych, to czyż wątpić można w naszą polską obsesję jubileuszowych obchodów?

Owa „próba ustanowienia społecznej pamięci przez sejmowe ustawodawstwo” – jak to określił profesor – nie sprzyja pogłębionej refleksji nad przeszłością, a raczej wspomaga funkcjonowanie obecnych już stereotypów. Czyż można wskazać bardziej przekonujący przykład ekspansji polityki w sferę pamięci, odniesień pasujących do współczesnych wydarzeń? Czyż nie żyjemy pod presją owych urzędowych ustaleń dotyczących rangi i spo-

sobu świętowania wybranych wydarzeń z przeszłości?

Ale tytuł wykładu miał też ciąg dalszy: *Druga wojna światowa jako źródło współczesnych sporów o pamięć* – co skłania już do bardziej pogłębionych refleksji, ponieważ profesor prezentował jakże zróżnicowaną pamięć polską i pamięć niemiecką związaną z II wojną światową, której 70. rocznicę zakończenia świętowaliśmy w tym roku. W sferze deklaracji wspólnotowo, jednak w sferze mentalnej – oddzielnie. Niemieckie dominanty pamięci zbiorowej, która ujawnia sposób przeżywania (repcji) wojny, jak dowodził profesor, koncentrują się na Auschwitz, bitwie pod Stalingradem, bombardowaniu Drezna przez aliantów i wypędzeniu Niemców ze wschodnich terenów b. Rzeszy. Z kolei w polskiej pamięci zbiorowej dominuje walka z Niemcami we wrześniu 1939 roku, powstanie warszawskie, Katyń i Auschwitz. Gdyby nawet doszukać się więcej paraleli, to nie we wspólnej pamięci. Jeśli bowiem mamy nawet wspólne miejsca pamięci, to już narracje na ich temat są oddzielne. I co najważniejsze, po prostu upamiętniamy siebie, nawet w kontekście obozu w Auschwitz. Specyfikę owych paralelnych miejsc pamięci, które obecne są w polskiej i niemieckiej kulturze, zaprezentowano w imponującej dziewięciotomowej publikacji pt. *Polsko-niemieckie miejsca pamięci*, które, jak zadeklarował profesor Traba, oświadczy wręczemu i byłemu prezydentowi Polski.

Dla profesora bowiem najważniejszy jest dialog polsko-niemiecki na temat wspólnej przeszłości, wszak najgorsza jest niewiedza, kulawa pamięć, która nie sprzyja zrozumieniu minionych, tragicznych wydarzeń. Czy w Polsce prowadzone są debaty na tematy polityczne? – pytał retorycznie, podkreślając jednocześnie, że od-

chodzenie pamięci świadków, funkcjonowanie obecnie w indywidualnym wymiarze głównie pamięci postświadców, wymusza wiarygodne i odpowiedzialne prezentowanie pamięci zbiorowej w procesie edukacji szkolnej, swoistej pracy u podstaw. Nie można spychać na margines, usuwać poza horyzont przekazywanej wiedzy, faktów niewygodnych z perspektywy bieżącej (na przykład pamięci o Żydach), epatować agresywną pretensją do całego świata, który nas nie rozumie, nie mówi o nas. Co więcej, w polskiej historycznej narracji na temat drugiej wojny światowej nie ma odniesienia do codzienności okupacyjnej, do nieustannego przeżywania strachu, nie „przerobiliśmy” bowiem w drugim pokoleniu traumy i powojennej żałoby, a co świetnie udało się najnowszej literaturze: Magdalenie Tulli w powieści *Szum*, Annie Jan-ko w *Małej zagładzie* i Mikołajowi Grynbergowi w tomie *Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne*.

Renegocjacje polsko-niemieckie na temat wspólnotowej wizji XX-wiecznej historii doprowadziły w 2008 roku do oficjalnego zainaugurowania w Berlinie prac nad wspólnym podręcznikiem do historii. Do realizacji tego projektu rządu obu państw upoważniły współprzewodniczących Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej: Michaela G. Muellera z Uniwersytetu Halle-Wittenberg i Roberta Trabę z Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk.

Renegocjacje na temat pamięci europejskiej, co podkreślił w Opolu profesor, wspomagane być winny rozwojem nowoczesnych mediów i społeczeństw sieci, by dyskurs o historii odbywał się poza strukturami władzy, a wtedy wszystko pozostanie w naszych rękach.

(jn)

MARCELI KOSMAN

„KRESOWEJ ATLANTYDY” TOM SZÓSTY

26 listopada br. rektor UO prof. Stanisław Sławomir Nicieja oraz właściciel Wydawnictwa MS Bogusław Szybkowski odebrali, na Zamku Królewskim w Warszawie, podczas otwarcia Targów Książki Historycznej, prestiżową Nagrodę Klio za Książkę Historyczną Roku 2014. Nagroda Klio jest jednym z najbardziej prestiżowych wyróżnień przyznawanych przez księgarzy i środowisko historyczne w naszym kraju. W jury konkursu zasiadają wybitni polscy historycy, m.in. profesorowie: Henryk Samsonowicz, Janusz Tazbir i Tomasz Szarota. Nagroda przyznawana jest w trzech kategoriach: za pracę naukową, popularnonaukową i edytorską. Prof. Stanisław S. Nicieja i jego wydawca zostali wyróżnieni w tej trzeciej grupie, za „niezwykłą elegancję, pietyzm i walory erudycyjne cyklu książek Kresowa Atlantyda”.



Rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, autor nagrodzonego cyklu „Kresowa Atlantyda” i wydawca serii – Bogusław Szybkowski, na Zamku Królewskim w Warszawie (fot. Jarosław Mokrzycki)

Łącznie z przywołanymi do życia w dotychczasowych częściach „atlantyckiej serii” jest ich już 31, w tym prominentne – Lwów, Stanisławów i Tarnopol (wszystkie to stolice województw w Polsce międzywojennej), nadto sławne twierdze z czasów przedrozbiorowych, uroczyste uzdrowiska, centra przemysłu wydobywczego ropy naftowej i in. Szósty tom obejmuje sześć miejscowości,

z których pierwsza – Stryj, *miasto niegasnących latarni* – zdecydowanie dominuje nad pozostałymi, Autor bowiem poświęcił jej ponad połowę całości (s. 5 – 158), a niewiele mniej przypadło na *Kuty, stolicę polskich Ormian* (s. 159 – 256). Na trzecim miejscu znalazły się znacznie mniejsze i mniej znane Książka, a to ze względu na odmalowaną w tym szkicu *legendę Zbyszka Cybulskiego* (s. 257 – 281).

Stryj zajmował poczesne miejsce w kresowych dziejach dawnej Korony, o czym w dobie zaborów przypominało czołowe kompendium w Królestwie Polskim (*Encyklopedia Orgelbranda*) wkrótce po zdławieniu powstania styczniowego, a znacznie obszerniej poinformowało niespełna ćwierć wieku później inne fundamentalne wydawnictwo encyklopedyczne. W 1880 r. to miasto galicyjskie liczyło 12 625 mieszkańców, w tym 8 081 Polaków, 3 869 Rusinów i 573 Niemców, przy czym bardziej precyzyjnie informuje o ówczesnych nacjach przynależność wyznaniowa (2 900 katolików obrządku rzymskiego i 3923 greckiego, 5 245 starozakonnych, itd.).

Historyk z duszą artysty (tak napisałem przed laty i opinię tę w pełni podtrzymuję, mając przed sobą kolejne tomy Stanisława Nicieji), pierwsze kilka z ponad sześćdziesięciu zwięzłych rozdziałów poświęca czasom przedrozbiorowym oraz XIX stuleciu, rozpoczynając od opisu pryncypalnej kasztanowej alei oraz palących się przez całą dobę latarni ulicznych. Sięga do legendy, związanej z genezą herbu miasta i opowieści o pustelniku, którego postać znalazła się na owym symbolu, zachowanym na pieczęci Stryja z 1541 r. W świat półlegandarny wprowadzają zapiski o bratobójczych walkach książąt ruskich w początkach XI wieku, choć już na pierwszych stronach książki przywoływaniu tamtych odległych czasów towarzyszą fotografie związane z tragedią polskiej Atlantydy, jak ta z podpisem: „Kościół w Stryju – jeden z jedenastu we wschodniej Galicji, który nie został zamknięty po 1939 roku” oraz historyczną informacją: „Na zewnętrznej ścianie tego kościoła znajduje się tablica upamiętniająca 250-lecie odsieczy wiedeńskiej. Jan Sobieski, zanim został królem Polski, był stryjskim starostą”.

Niewiele zabytków z dawnych wieków zachowało się na terenie wschodniej Galicji w takim stanie. Zamieszczony dwie strony dalej „Poczet znakomitych starostów” ilustruje m.in. podobizna zasłużonego dla miasta w czasach międzywojennych Stanisława Harmaty, rozstrzelanego przez NKWD w dwa miesiące po najeździe sąsiadów na Polskę jesienią 1939 r. Jego syn, zmarły w 2000 r. sławny zoopsycholog, był wieloletnim prezesem Koła Stryjan w Krakowie. I tak już od początku opowieści o grodzie, założonym w średniowieczu nad rzeką o tej samej nazwie, współczesność spleta się z tragedią czasów nieodległych, w których nastąpił kres kilkunastowiecznej epoki pod znakiem: tu też była Polska... Była i pozostawiła trwałe ślady, które w jakimś stopniu do dziś pozostały i przypominają o przeszłości. Niektóre są przywracane do dawnego sta-

nu wysiłkiem kraju w jego obecnych granicach. Znaczny w tym udział – przede wszystkim w odniesieniu do nekropolii ich niedoścignionego znawcy – autora „Kresowej Atlantydy”. Ale w pierwszym rzędzie jego zasługą pozostaje zgromadzenie i zaprezentowanie w artystycznej formie rozproszonych i ocalonych przed zanikiem materiałów źródłowych z lat międzywojennych, przechowywanych przez pokolenia urodzone jeszcze w kresowej małej ojczyźnie albo już po jej – nie z własnej woli – opuszczeniu. Oczywiście warsztat badawczy historyka obfituje w książki oraz materiały prasowe egzultów, jakże liczne, a w swych tytułach przywołujące szereg tamtych miejscowości.

Ewokowanie międzywojennego Stryja rozpoczyna rozdział o twórczości pisarza fantasty Adama Zielińskiego (1929–2010), który po latach wspominał miasto swego dzieciństwa. Znamienne są słowa zawarte w eseju biograficznym *Galicyjski prowincjusz*, który odczytał w Wiedniu z okazji wręczenia mu 17 kwietnia 1997 r. w ambasadzie polskiej wysokiego odznaczenia państwowego:

„Jestem Galicjaninem. Moja Galicja to ziemia na północ od karpackiego Pokucia i na wschód od rzeki San. Jej krańce wyznaczają z jednej strony Prut i Czeremosz, z drugiej bezkresne równiny Wołunia (...). Moja Galicja to kraina legend i prastarych opowieści, ojczyzna lirycznych, bezkresnych równin, dzikich górskich ostępów, kolebka sławy dla dzielnych ludzi uczestniczących w odwiecznej walce dobra i zła. Nigdy nie wyrzeknę się mojego galicyjskiego pochodzenia...”

Tak pisał człowiek, który, dochodząc trzydziestki, wyjechał z Polski i zamieszkał w Wiedniu, skąd wyprawiał się na różne kontynenty (do samych tylko Chin i Hongkongu odbył ponad 140 podróży, jako znakomity handlowiec), stał się człowiekiem wielce zamożnym, nawiązał liczne kontakty z prominentnymi osobistościami w różnych krajach, był kolekcjonerem i koneserem sztuki, jako doktor Uniwersytetu Wiedeńskiego został doradcą ekonomicznym rządu austriackiego, zaś w wieku 62 lat opublikował pierwszą powieść. W jego pamięci pozostały jednak obrazy z dzieciństwa, o czym dalej mówił podczas wspomnianej uroczystości w naddunajskiej stolicy:

„Jako chłopiec myłem twarz w bystrych, kryształowościach wód Prutu, Czeremoszu, Oporu i Stryja. Dziesiątki lat minęły od tego czasu, a ja wciąż czuję odurzający, odświeżający zapach tych rzek (...). Wiele dobrze życzących mi ludzi poucza mnie: <Daj spokój z tą twoją

galicyjską przeszłością. Co było, to było, i nigdy już nie wróci. Patrz do przodu>. W tym ich myśleniu tkwi błąd. Nic na świecie nie zmieni przecież faktu, że urodziłem się w Galicji i tam nauczyłem się czytać, pisać i kochać. Wystarczy, abym zamknął oczy, a już wyczaruję echa owej odrębności. Słyszę rzewną melodię żydowskiego skrzypka. Za chwilę dołączy do niego jednonogi flecista, który drugą nogę stracił, bo nie wytrzymał ataku wielkiego mrozu, kiedy szedł zimą na piechotę ze Stryja do Stanisławowa, aby tam zarobić na jakimś weselu parę złotych”.

Nie przypadkiem historyk rozpoczął część poświęconą Stryjowi od końca, czyli spojrzenia na to miasto z perspektywy prominentnego egzula, jako że Zieliński spojrział na nie z odległej, ale jakże przejmującej perspektywy, wyrażał zaś uczucia wygnańców z całej Galicji. Uzupełnił jego tekst wspomnieniem zmarłej w 2000 r. *Stryjanki w Sztokholmie* (Janiny Tropp-Gubler), poetki, która utrwalała pamięć rodzinnych stron wśród skandynawskiej Polonii. Było to wprowadzenie do zarysu nowożytnych dziejów miasta nad rzeką o tej samej nazwie. Rozpoczął od sławnego gimnazjum imienia Mickiewicza, którego gmach zdołał pomnik Jana Kilińskiego (zburzony w 1941 r), nauczycieli i uczniów – tu pojawiły się nazwiska Juliana Strykowski, Kornela Makuszyńskiego, Kazimierza Wierzyńskiego (syn kolejarza z tego ważnego węzła kolejowego Galicji), a także... Stefana Bandery. Pisząc o nim, autor przypomina, że Stryj międzywojenny był miastem wielonarodowościowym, w którym obok wybitnych Polaków żydów mieszkali wieloznakomitych Ukraińców. Wśród znanych nazwisk z kolejańskich rodzin spotykamy świetnego pisarza eseistę Stanisława Wasylewskiego, premiera Kazimierza Bartla, partyzanta Zygmunta Szendzielarza (przeszedł do historii pod pseudonimem Łupaszka), Julię Brystygierową (starsze pokolenie pamięta tę postać z pierwszych lat PRL) i premiera Zbigniewa Messnera. Małe monografie o tych i innych postaciach czyta się niczym barwnie napisaną powieść, ale zarazem są to doskonale udokumentowane i skomentowane przez badacza obrazy z przełomu dziejów.

Podobna refleksja odnosi się do drugiej części tomu szóstego, której akcja rozgrywa się na dwóch płaszczyznach: w *stolicy polskich Ormian* (przed 1939 r.) oraz podczas powojennej tułaczki ocalałych z pogromów polskich i ormiańskich mieszkańców Kut. Nie brak tu tragicznych obrazów (jak śmierć Tadeusza Dołęgi-Mostowicza) czy nie wolnych od sarkazmu wspomnień o postawie, we wrześniu, prominentnych postaci z wielkiej polityki (mar-

szalek Edward Rydz-Śmigły, prezydent Ignacy Mościcki). Ale obok spotykamy nowe pokolenie *kutczan*, którego przedstawiciele zajęli trwałe miejsce w nauce, kulturze i gospodarce Polski po 1945 r.

Smutną lekturę stanowi rozdział *Zagłada polsko-ormiańskich Kut*, nekrolog ludzi i miasta, w którym czytamy m.in.: „Po zajęciu Kut przez Armię Czerwoną Ukraińcy i miejscowi Żydzi, którzy wspierali okupantów, zaczęli pomagać w wyłapywaniu polskich uciekinierów na stronę rumuńską. Zabijano ich na miejscu bądź wywożono na Sybir. Mimo wszystko okupacja sowiecka w Kutach do czerwca 1941 roku była dość łagodna. Trudny do opisanego dramat rozpoczął się, gdy Kut zajęli Niemcy. Natychmiast przystąpili do likwidacji kuckich Żydów. Już w 1943 roku hitlerowcy mogli ogłosić, że kwestia żydowska w Kutach jest <ostatecznie rozwiązana>. Żydów mordowano masowo na miejscu bądź wywożono do gett, gdzie ich los był przesądzony...”

Kolejne dziesięć rozdziałów dotyczy śladów zamordowanej przeszłości oraz powojennych losów ocalałych mieszkańców – w nowej Polsce, a także strażników pamięci, którzy pozostali na miejscu po 1945 r. I starego cmentarza, na którym odnawianie nagrobków jest głównie zasługą członków Fundacji Ormiańskiej Koła Zainteresowania Kulturą Ormian. Reprezentują oni najmłodsze pokolenie polskich przedstawicieli tej nacji, urodzonych już nad Odrą i Wisłą, na Śląsku i w Warszawie.

Do pięknych kart z przeszłości powraca autor w części trzeciej tomu szóstego, gdzie nad miejscowością Książka dominuje legenda utalentowanego aktora Zbigniewa Cybulskiego, który dzieciństwo spędził w tamtej małej ojczyźnie, nad rzekami Prut i Czeremosz. Nie tylko o nim tu mowa, ale również o spokrewnionych z nim Jaruzelskich, ściśle o tej linii, która po powstaniu styczniowym znalazła schronienie pod zaborem austriackim. Spośród nich drugi Wojciech, pozostający w cieniu męża stanu z drugiej połowy XX wieku, związany w dzieciństwie z przyszłym artystą, po wojnie zamieszkał na Śląsku w Dzierżoniowie. Tak więc prezentowana książka stanowi też źródło do biografii pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej. A także kolejne ogniwo do znajomości najnowszych jej dziejów.

Stanisław Sławomir Niciejka, „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. Tom VI: *Stryj, Kut, Rybno, Banilów, Książka, Zatlucze*. Wydawnictwo MS, Opole 2015 r.

PÓŁKA SUŁKA

WITOLD SUŁEK

RĘKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE



Jan Potocki, „Rękopis znaleziony w Saragossie”, w tłumaczeniu François Rosseta i Dominique Triaire, Wydawnictwo Literackie, 2015

Pewnie myśl to odkrywca nie będzie, ale ja właśnie teraz sobie uzmysłowiłem, że, niezależnie od przekonań czy wyznań, grudzień to czas prezentów. Czy to Mikołaj, czy Dziadek Mróz lub Dzieciątko, coś się każdemu dostanie, a dla zupełnych niewiarków pozostaje kupienie czegoś samym sobie, chociażby z okazji odejścia roku starego na rzecz nowego.

Przy czym, jako że to półka Sułka, owym czymś będzie książka (choć nie tylko).

W czas szczególnie oczywiste dzieło musi być szczególne. Prezentować się powinno okazale i ładnie, i jeszcze w gusta trafić. Nie zawsze jest to rzecz prosta, zwłaszcza że sprawunków innych w tym czasie moc, więc idealnie

byłoby, gdyby ktoś, w tym przypadku ja, podsunął rzecz w sam raz akurata. Skoro jednak się taki jeszcze nie urodził, co by wszystkim dogodził, dotyczy to także i pisarzy, i napisanych przez nich książek!

Śmiem jednak się ośmielić i powiedzieć, że czasami się to udaje – takim prezentem idealnym, którego wszelkie gusta zadowolili powinien, jest *Rękopis znaleziony w Saragossie*, którego nowy przekład Anny Wasilewskiej ot co i już na półki księgarskie trafił. Nie tylko jednak o przekład idzie, ale i o treść. A treść nie jest już taka sama. Dwaj francuscy badacze twórczości Potockiego, François Rosset i Dominique Triaire przez wiele lat analizowali wszystkie dostępne materiały dotyczące *Rękopisu znalezionego w Saragossie* i w wyniku ich pracy dostajemy powieść Hrabiego w takiej formie, w jakiej pozostawił ją po sobie. Tłumaczka natomiast, w posłowniu, wysnuwa hipotezę, iż pierwszy przekład Edmunda Chojeckiego, z 1847 roku, w istocie był poczyniony przez kogoś innego. Ha! Już samo to dodaje pikanterii i mroczną nicią tajemniczości osnuwa i tak już mocno omotaną treść powieści.

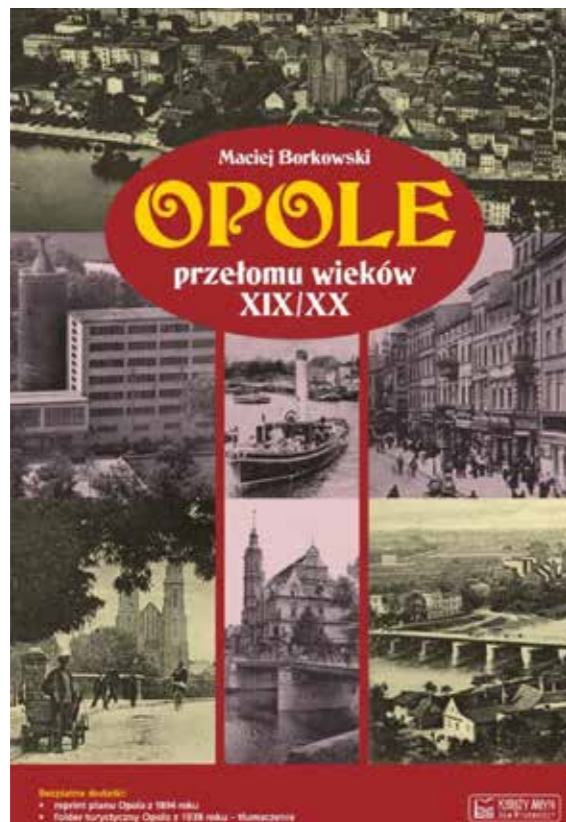
O treści jednak pisać nie będę. Sporo o niej w dniach ostatnich, a i drzewiej: że szkatułkowa forma, że wojna i kabała, że historia, przygoda, humor i zgroza, i wszystko to w sosie słownej ekwilibrystyki (a obok mistyki – miłosne fiki-miki). Chybam nieco się tu rozpaszał? To wszystko sprawka W. J. Hassa.

Nie da się nie wspomnieć o jego ekranizacji powieści. Ona, na szczęście, moim zdaniem, nic z powodu nowego przekładu nie straci. Jest sama w sobie dziełem doskonałym, a nadto forma dzieła Potockiego pozwala (tak się ponownie ośmielam) nie tylko interpretować je po swojemu, ale i dopowiadać samemu, i wymyślać nowe historie.

Czyż zresztą Zbigniew Cybulski tak właśnie nie czynił? Czy nie zyskał ten film autonomii, w dużej mierze dzięki jego grze? Myślę, że do tej roli nawiązał też Marek Dutkiewicz w tekście piosenki, napisanej dla zespołu „2 plus 1” do płyty *Aktor*. Płyty będącej hołdem dla wielkiego aktora, nieco zapomnianej, a jakże wyjątkowej w ich dorobku, wysmakowanej artystycznie, rozbudowanej formalnie do postaci suity, z elementami jazzu...

HARRY DUDA

ALBUMOWY RARYTAS



Maciej Borkowski, „Opole przełomu wieków XIX i XX”

Nakładem Domu Wydawniczego Księży Młyn (Łódź, 2015) ukazała się albumowa książka dra Macieja Borkowskiego, opolanina, do niedawna pracownika Instytutu Śląskiego w Opolu, pt. „Opole przełomu wieków XIX i XX”, wraz z reprintem planu Opola z roku 1894 – ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu (WBP) – oraz tłumaczonej na polski folderem turystycznym Opola z roku 1938. W albumie wykorzystano ok. 200 reprodukcji fotografii i pocztówek z epoki, głównie ze zbiorów Tomasza Musiała i Bogusława Szybkowskiego, ale także WBP i innych instytucji, oraz wiele innych dokumentów urzędowych, ogłoszeń, fragmentów artykułów prasowych, druków użytkowych itp.

Piszący te słowa w zasadzie nie zajmuje się wydawnictwami o charakterze historyczno-krajoznawczym, jednak nie jest mu obcy tzw. patriotyzm lokalny, a do napisania o tej książce słów paru skłonił go również szczerzy zachwyt czytelnika (skądinąd bardzo wymagającego) nad majstersztykiem: wspólnym dziełem naukowca-erudyty oraz wytrawnych edytorów i redaktorów, a także drukarzy. „Majstersztykiem” nie w sensie rzemieślniczego egzaminu na mistrza (jako drzewiej bywało), ale w bardziej potocznym dziś sensie (lecz nadal nobilitującym) czegoś wykonanego perfekcyjnie i o szczególnych walorach.

Jest to 120 znakomicie edytorsko rozwiązanych stron w twardej okładkach formatu nieco ponad A-4, a na tych stronach – wyczerpująca synteza najważniejszych aspektów życia miasta w naznaczonym przez tytuł czasie przełomu wieków. Jednak synteza ta (i jest to słuszne, jak uważam) wybiega chwilami nieco dalej, czyli do lat 1933 i 1939. Pierwsza z tych dat – dojście do władzy w Niemczech Hitlera i nazistów – przynosi bowiem zmiany pod wieloma względami katastrofalne dla dotychczasowego, ludzkiego zwłaszcza, wizerunku miasta, które nosiło znamiona wielce cywilizowanego, oddychającego kulturą, pięknem, dobrym obyczajem, tolerancją i względną równością (czy też równowagą) obywateli bez względu na ich status etniczno-językowy, religijny czy majątkowy. Ten wizerunek miasta zdaje się być charakterystyczny dla miasta pogranicza kultur i towarzyszących mu cech socjologicznych.

Pomijając już suche statystyki, np. co do liczby użytkowników języka niemieckiego (w znacznej przewadze) i polskiego lub osób dwujęzycznych, już same nazwiska zdradzają, jak z czasem bardzo się przemieszczały żywioły niemiecki i polski. Przytoczmy na chybił-trafił – wyjąwszy nazwiska żydowskie, także niekiedy z końcówkami polskimi (np. Baronowitz) oraz te z czysto polską gromadą (jak Bronisław Koraszewski, Szymon Koszyk czy Alojzy Smolka) – niemieckie imiona i pisane z niemieckimi nazwiskami kilkunastu mieszczan: Olschowski (Olszowski), Georg Białas (Białas), Karrasch (Karaś), Eduard Niemczyk, Hedwig Pawel (Paweł), Hedwig Grabowska (malarka), Franz

Goretzki (Górecki oczywiście) – wieloletni burmistrz Opola, ks. Josef Kubis, ks. Karl Abramski, ks. Kaspar Wrzodek, Otremba, Czarnetzki (Czarn[i]ecki), Erdmann Konietzko (Konieczko) itd.

Ta synteza podbudowana jest jednak setkami wielce interesujących szczegółów – od nazw i dokładnego umiejscowienia w topografii miasta urzędów, placówek kulturalnych, chórów, sklepów, restauracji dobrych lub nawet „mordowni”, hoteli, zakładów fryzjerskich, gabinetów lekarskich, gazowni, wodociągów, cmentarzy, po nazwy firm produkujących lampy oświetlające miasto, nazwiska twórców parków i zieleńców, twórców opolskich pomników czy wreszcie opolan sławnych w Europie i na świecie (np. rabin Leo Baeck czy Mehmed Emin Pasza, a właściwie Eduard Schnitzer, znany m.in. z kart Sienkiewiczowskiej „W pustyni i w puszczy”, artysta fotografik Max Glauer i inni).

Aż 57 jakże zwięzłych rozdziałów (plus „Od autora” i „Bibliografia”) wyczerpuje wszystkie aspekty życia miasta (przykładowo niektóre: *Władze i urzędy, Polacy w Opolu, Banki, Policja, Wojsko, Ulice, Poczta i telefony, Szkolnictwo, Muzeum, Książki adresowe...*). Ostatni rozdział to „Wykaz ulic Opola” – dwujęzyczny, więc umożliwia dokładne śledzenie (wg tekstu) umiejscowienia dziesiątków miejskich obiektów wymienianych w albumie.

Na szczególne podkreślenie zasługują dwa walory tej niezwykłej monografii: warstwa językowo-fabularna i etos prawdy w stylu „Dziejów” Herodota (a tak, tak, jednakże trzeba te „Dzieje” sobie przeczytać, by wiedzieć, o co idzie...). Otóż Borkowski jest świetnym gawędziarzem: opowiada lekko i potocznie, niejako od niechcenia okraszając opowieść erudycyjnym szczegółem czy anegdotą. A że jest to zarazem i za każdym razem synteza, fabuła musiała być poprzedzona umiejętną selekcją. W ostatecznym zaś rachunku takiej narracji musi sprostać odpowiedni język. Za znaczące osiągnięcie autora uważam tu (jako pracownik słowa) język bardzo prosty, chciałoby się rzec – zwyczajny, a zarazem celny, precyzyjny, potencjalnie komunikatywny dla każdego czytelnika bez względu na wiek i wykształcenie. Taki język to niełatwe, z różnych powodów, zadanie dla profesjonalnego historyka.

A gdy mówimy o prawdzie (teoretycznie widnieje ona lub widnieć powinna na sztandarach wszystkich historyków), podnieść trzeba faktograficzną beznamiętność Borkowskiego (i tu podobieństwo do Herodota), a w każ-

dym razie brak skrzywień ideologicznych i wszelkiej tzw., nie tylko politycznej, poprawności. Dzięki temu otrzymaliśmy rzetelny, obiektywny obraz fragmentu dziejów naszego miasta – tak w jego cechach niemieckości, jak polskości, a zwłaszcza żydowskiego charakteru w wielce pozytywnych kontekstach.

Ponury cień wspomnianego już nazizmu (morderczego zwłaszcza dla Żydów) znalazł wyraz w przedostatnim merytorycznym rozdziale pt. „Naziści”. Bo to Hitler i nazizm, a więc sami Niemcy – poprzez lata 1939 i 1945 – położyli kres tamtej pięknej epoce miasta, po której (i po wojennej gehennie) nastąpiła epoka diametralnie inna, ale już nie w niemieckim organizmie państwowym. Dodają od siebie: o czym winni pamiętać wszyscy ci, którzy żywią tu różne resentymenty i tworzą polityczne mistyfikacje.

Na koniec jeszcze jedno: gdy obcowałem z bogatym materiałem ilustracyjnym tego albumu, serce ścisnęły mi żal i wściekłość, jak straszliwie pod względem estetyki – zwłaszcza zieleni – zbrzydło, zszarzało nasze miasto, noszące w wielu miejscach (poza pięknym obecnie, ścisłym śródmieściem, bulwarami i wyspą Bolko) oznaki skrajnego zaniedbania i brudu, po prostu brzydoty, m.in. przez eksterminację lub zaniedbanie zieleni tak wysokiej (drzewa), jak niskiej (krzewy i żywopłoty). Zupełnie jakby ktoś przewrotnie powołał w miejsce dawnego (w tamtych cesarskich czasach!) Towarzystwa Upiększania Miasta (tak, było takie) – Towarzystwo Oszpecania Miasta.

A jeszcze nam się kroi (oby się nie udało!) zeszczenie totalne – przecięcie historycznego serca Opola jako książęcego grodu i piastowskiego Księstwa Opolskiego, czyli wyspy Pasieki, tzw. trasą średnicową, co zdaniem piszącego te słowa jest zamiarem, po prostu, barbarzyńskim. Podobnie jak barbarzyństwem było rozebranie przez Niemców Zamku Piastowskiego na Pasiece (1928–1931) – prawdopodobnie również (albo głównie) w imię ówczesnej pojmowanej nowoczesności. A jeśli by podejrzewać (w rzeczywistych intencjach) raczej ideologiczno-polityczne zniszczenia tego zamku, to zauważmy, że z takich samych powodów spalono w Opolu w 1938 synagogę, niegdyś afgańscy talibowie zniszczyli posąg Buddy, a niedawno islamisci w Syrii wyburzyli zabytki starożytnej Palmiry.

MARZENA MAKUCHOWSKA

POLONISTYCZNE WYZWANIA



Polonistyka wobec wyzwań współczesności. V Kongres Polonistyki Zagranicznej Brzeg – Opole, 10–13 lipca 2013 r., tom I i II, redakcja naukowa Stanisław Gajda i Irena Jokiel, Opole: Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, 2014.

Na księgarski rynek weszła wyjątkowo ważna pozycja polonistyczna: dwutomowy zbiór referatów, ogłoszonych na światowym kongresie polonistów, który odbył się w Opolu (częściowo w Brzegu) w lipcu 2012 roku. Głównym organizatorem był Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Opolskiego, a współorganizatorami – Komitet Nauk o Literaturze PAN, Komitet Językoznawstwa PAN oraz Międzynarodowe Stowarzyszenie Studiów Polonistycznych. Spotkanie nawiązywało do tradycji zjazdów, zapoczątkowanej w 1884 roku, a obecnie kontynuowanej jako kongresy odbywające się co cztery lata w znaczących ośrodkach akademickich. Ostatni, przed zjazdem w Opo-

lu, miał miejsce w Krakowie (2008 r.), a następny przygotowuje Uniwersytet Śląski w Katowicach (2016 r.). W opolskim spotkaniu udział wzięło ok. 250 uczestników z 32 krajów świata (m.in. z Austrii, Niemiec, Włoch, Francji, Hiszpanii, Szwajcarii, Szwecji, Rosji, Ukrainy, Białorusi, Czech, Słowacji, Litwy, Japonii, Chin, Korei, Brazylii, USA i Kanady).

Jest zasadą, że po kongresie ukazuje się publikacja prezentująca jego rezultaty. Opolskie tomy pokongresowe wydane zostały przez Wydawnictwo UO, a redakcji naukowej dokonali Stanisław Gajda oraz Irena Jokiel. Bogatą zawartość dwóch grubych ksiąg (790 i 775 stron, w twardej okładkach) stanowią w sumie 162 referaty, przedstawione w 19 blokach tematycznych. Taki układ odzwierciedla tryb pracy kongresu, którego obrady toczą się w ramach licznych sekcji i seminariów panelowych, skupionych wokół określonych zagadnień lub wybitnych badaczy. Mimo międzynarodowego składu autorskiego wszystkie teksty – jako że był to kongres polonistyczny – są opublikowane w języku polskim. Pierwszy tom, oprócz otwierających go wystąpień o charakterze ogólnym i przekrojowym, zawiera prace z kręgu literaturoznawstwa, tom drugi natomiast jest zorientowany głównie językoznawczo.

Polonistyczne wyzwania to tytuł pierwszego bloku wystąpień, a zarazem motyw przewodni rozważań polonistów, którzy zjeżdżają się ze wszystkich kontynentów, by wspólnie debatować nad obecną i prognozowaną sytuacją polonistycznej działalności badawczej i edukacyjnej w kraju i poza jego granicami. Warto podkreślić, że horyzont celów wyznacza nie jest tylko propagowanie kultury polskiej i polszczyzny w świecie, ale kultury literackiej i językowej w ogóle, czy nawet szerzej – humanistyki i świadomości jej fundamentalnego znaczenia dla współczesności. Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę, w jak znaczącym stopniu nasz ogląd rzeczywistości, a przez to i nasze funkcjonowanie w życiu, wreszcie kształt naszej cywilizacji określane są przez język, którym się posługujemy. Refleksja nad językiem i tekstami, które są w nim tworzone, to sposób poznania nas samych, naszej kultury i naszych relacji z innymi ludźmi. Poznanie natomiast prowadzić ma do głębszej interakcji z nimi.

Spojrzenie interkulturowe przyjmuje więc przede wszystkim szereg artykułów komparatystycznych. Rozważa się w nich możliwości i ograniczenia badań porównawczych jako *plaszczyny spotkania*. Szczególna wartość tych prac wynika z faktu, że ich autorzy, pracujący w różnych krajach, mogą odwołać się do własnych doświadczeń, gdy mówią o wprowadzaniu literatury polskiej i jej recepcji w pozapolskich kontekstach kulturowych. Z ich perspektywy łatwiej też dostrzec problem polonocentryczności w badaniach i wskazać możliwe drogi wyjścia na inne pozycje. Kolejny blok artykułów – także komparatystyczny – przedstawia obecność polskich inspiracji i wątków w literaturze obcej, a także zjawisko odwrotne – obrazy *innych* w literaturze polskiej.

Referaty zebrane w kolejnym bloku podejmują pytanie o polskość na pograniczach. Jaka była: konserwatywna czy progresywna? Otwarta na inność czy zamknięta? Agresywna czy pokojowa? Ile było na polskich kresach nacjonalizmu, a ile osmozy i tolerancji wobec różnoimiennych wspólnot?

Następne pytania dotyczą istoty *sacrum*, jego sposobów przejawiania się w kulturze i sztuce (literaturze, filmie) oraz metodologii badania tejsze kategorii. Na tematy te wypowiadają się badacze reprezentujący różne dziedziny i sposoby oglądu – teologiczny (m.in. ks. Jan Andrzej Kłoczowski) i literaturoznawczy (m.in. Michał Masłowski).

Dużą partię stanowią artykuły zebrane pod hasłem *Krytyka literacka. Interpretacje*, gdzie znajdujemy szereg artykułów poświęconych różnym toposom i wątkom w polskiej twórczości epickiej i poetyckiej dwóch ostatnich stuleci. Podobny charakter mają dwa dalsze bloki referatów: skupiony wokół literatury romantycznej oraz twórczości i recepcji Miłosa.

Ostatnia grupa referatów w pierwszym tomie to wynik kongresowego spotkania teoretyków i praktyków teatru, którzy pytali głównie o to, czym żywi się współczesny polski teatr.

Tom drugi otwiera blok artykułów zatytułowany *W poszukiwaniu tożsamości*. Spotkanie polonistów z różnych stron świata nie mogło nie stać się okazją do rozważań kwestii tak istotnych, jak kategoria tożsamości, a tym samym – ściślej z nią skorelowane – kategorie europejskości i uniwersalności. Spotkanie (zderzenie) tożsamości, ich kreowanie, odkrywanie, definiowanie i redefiniowanie rozpatrywane są tu z różnych perspektyw: glottodydaktycznej (w procesie uczenia się języków) oraz kulturo- i literaturoznawczej.

Językoznawczą część tomu rozpoczyna szereg prac omawiających system języka polskiego oraz jego funkcjonowanie w postaci różnych odmian i dyskursów (m.in. urzędowego i prywatnego). Tradycyjnie do najważniejszych zadań kongresowych należy omówienie stanu polszczyzny poza granicami kraju. Ogólną sytuację naświetlił Stanisław Dubisz, a pozostali uczestnicy skupiali się na poszczególnych regionach (Litwa, Ukraina, Francja i in.).

Obrazowi świata w języku, a przede wszystkim auto- i heterostereotypom *Polski, Polaka* i *polskości* poświęcony jest następny blok referatów. Obrazy te odtwarzano z danych leksykograficznych, z badań ankietowych i frekwencyjnych, z paremiologicznej warstwy polszczyzny oraz z żywych dyskursów publicznych. Jako wyzwanie dla współczesnej leksykografii przedstawiono – w panelu prof. Alicji Nagórko z Berlina – proces sekularyzacji słownictwa, które pierwotnie niosło ze sobą sensy religijne.

Wiele uwagi poświęcono nowemu modelowi kształcenia polonistycznego i humanistycznego, także temu, który wymusza polityka Unii Europejskiej. Prace na ten temat wskazują szereg istotnych zagrożeń, jakie niesie ze sobą zunifikowany i zestandaryzowany system uczenia i oceniania, mówi się także o wyzwaniach, szansach i ograniczeniach dla edukacji wobec dokonujących się przemian cywilizacyjnych, kulturowych oraz instytucjonalnych. Kongres był także forum wymiany doświadczeń glottodydaktycznych polonistów nauczających języka i kultury polskiej w różnych, nawet egzotycznych kontekstach (ostatnimi laty najprężniej rozwijające się ośrodki polonistyczne to Pekin, Tokio i Seul). Zainteresowany czytelnik znajdzie w tomie wypowiedzi, opisujące specyfikę pracy w takich ośrodkach. Istotną kwestią, omawianą w szeregu referatów, są metody nauczania (m.in. z wykorzystaniem nowoczesnych mediów) i podręczniki, które – jak się postuluje – powinny być dostosowane do specyfiki języków ojczystych osób uczących się, co właściwie wyklucza funkcjonowanie podręczników uniwersalnych.

Określając wyzwania na przyszłość, zwracano przede wszystkim uwagę na fakt, że polonistykę należy rozumieć jako obszar badań naukowych (literackich, językoznawczych, kulturowych) prowadzonych w całym świecie, w ośrodkach krajowych i zagranicznych, bez podziału na centrum i peryferia. Dzięki różnorodności kontekstów – geograficznych, kulturowych, społecznych czy politycznych – polonistyczna działalność naukowa i dydaktyczna może wzbogacać się pod względem metodologicznym, metodycznym i przynosić wartościowe rezultaty.

MARCELI KOSMAN

JÓZEFA DŁUGOSZA DZIEŁO OSTATNIE

Los uczonego jest taki, że niekiedy odchodzi w trakcie pracy nad kolejnym tematem albo też nie jest mu dane ujrzeć efektu swych dokonań w postaci książkowej. Można wskazać wiele przykładów z dziejów nauki polskiej i światowej, że wspomnę nazwisko najwybitniejszego mediewisty naszych czasów Henryka Łowmiańskiego (zm. 1984), który zdążył przeprowadzić korekty oraz wykonać indeksy do ostatniego (szósteo) tomu swego imponującego dzieła *Początki Polski*, natomiast obie jego części ukazały się już po tragicznej śmierci Autora. Z kolei Jan Seredyka (1928–2008), autor opublikowanej przez Wydawnictwo Almae Matris Opoliensis w 1995 r. znakomitej opowieści o staropolskim romansie *księżniczki* (Zofia z Radziwiłłów Dorohostajska) i *chudopachołka* (Stanisław Tymiński) byłby usatysfakcjonowany, gdyby wziął do ręki jej wersję pięknie wydaną w Wilnie w 2010 r. w przekładzie na język litewski (*Kunigaikštytė. Zofija Radvilaitė-Dorohostajska ir Stanislavas Tyminskis*)¹. Niestety, ukazała się ona w dwa lata po śmierci znakomitego historyka. Podobnie do pozgonnej części życiorysu autora dopisany został trud badawczy innego opolskiego badacza przeszłości, Józefa Długosza (1928–2014).

Bibliografia jego dorobku, obejmująca lata 1955–2011, zamyka się opublikowanym w 2011 r. artykułem pt. *Jarmarczny incydent scholara pijarskiego w Podolińcu na Spiszu (1700 r.)* w księdze pamiątkowej dla prof. Adama Suchońskiego (*Z Żywca do Opola. Góral z urodzenia, Opolanin z wyboru*)². Natomiast nie znalazła się w niej świeżo opublikowana praca źródłowa, nad której przygotowaniem do druku J. Długosz pracował od wielu lat, starając się również o pozyskanie środków na jej publikację. Przed kilku laty wysiłki te zostały poparte opiniami podpisanego oraz prof. Jana Rzońcy, co przypomniał we wstępie do publikacji wspomnień Adama Stadnickiego, która ujrzała światło

dzienne w pół roku po śmierci wydawcy³. Publikacji patronowały Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu oraz redakcja „Rocznika Sądeckiego”, na którego łamach od lat historyk, jako autor, od wielu lat był obecny.

Uroczysta promocja odbyła się na ziemi sądeckiej, w jego rodzinnej miejscowości (Piwniczna Zdrój) 3 sierpnia 2015 r. i zgromadziła licznych mieszkańców Sądecczyzny, a zwłaszcza tej pięknej miejscowości, a także najbliższych i przyjaciół Józefa Długosza. Stanowiła zarazem jego drugie – ostateczne – pożegnanie, pierwsze bowiem miało miejsce w październiku roku ubiegłego na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu (zamieszkał tam po maturze, ale do końca życia spoglądał tęsknie ku rodzinnym górą – dopóki sił starczało – odwiedzał je w wędrownkach turystycznych), z udziałem licznej delegacji z małej ojczyzny, w tym kapeli góralskiej z Piwnicznej, której melodie towarzyszyły mu w drodze z kaplicy na miejsce wiecznego spoczynku. Miłość była tu odwzajemniona, a trwałym jej dowodem pozostaje przede wszystkim opublikowana w 1998 r. kilkusetstronicowa praca zbiorowa, wydana w pięknej szacie graficznej, na wysokiej jakości papierze, w sztywnej oprawie z pejzażem miasta i jego herbem na okładce. Nad jej powstaniem czuwał najwybitniejszy historyk rodem z Piwnicznej⁴, który konsekwentnie łączył badania nad wielkimi dziejami i Sądecczyzną.

We wprowadzeniu od redakcji „Rocznika Sądeckiego” do wspomnień Adama Stadnickiego czytamy: „Niniejsza publikacja, będąca wyrazem szacunku dla śp. Profesora Józefa Długosza, została wydana drukiem w formie i kształcie przezeń zaproponowanym. Niewielkie zmiany, jakich dokonano, dotyczą jedynie uwspółcześnienia pisowni oraz ujednoczenia zapisów niektórych terminów, a przede wszystkim dat. Wspomnienia uzupełniono również cennymi zdjęciami archiwalnymi, uzyskanymi dzięki życzliwości i pośrednictwu Andrzeja hrabięgo Stadnickiego z Osoli...”

Tekst źródłowy opatrzył Józef Długosz 445 zapytami, skrupulatnie zaznaczał też fragmenty liczącego 135 stron rękopisu, opuszczone w druku. Tekst zasadniczy powstał przed 25 sierpnia 1955 r. w podwrocławskiej Osoli, gdzie sędziwemu wówczas Stadnickiemu przyszło zamieszkać wraz z rodziną po usunięciu go przez władzę ludową, dziesięć lat wcześniej z rodowej rezydencji w Nawojowej. Wkrótce wprowadził dwa uzupełnienia (1956 i 1965). Wspomnienia, podobnie jak resztki starych druków z bogatego niegdyś księgozbioru pałacowego, przekazał autor około 1969 r. do Biblioteki Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Wrocławiu i tam wiosną owego roku przyszedł wydawca się po raz pierwszy z nimi – i z autorem – zapoznał dzięki znakomitemu kustoszowi Ossolineum, o czym tak pisze w *Nocie wydawniczej*:

„Roman Atanazy, załatwiający przekazanie – przedstawił mnie nieznanemu panu, mówiąc: *Poznajcie się, panowie, bo kiedyś byliście sąsiadami*. Była to aluzja do Piwnicznej – miejsca mego urodzenia, sąsiadującego z lasami w Łomnicy i Rytrze, należącymi do hr. Adama Stadnickiego do 1945 r.”

Historyk, kiedy zapoznał się z tekstem wspomnień, doszedł do przekonania, że zasługuje on na publikację ze względu na zawartość oraz biografię autora, który przez pierwsze sześćdziesiąt lat życia związany był z Nawojową i tej miejscowości poświęcił szczególną uwagę. Adam Stadnicki (1882–1982), właściciel odziedziczonych dóbr na Morawach, z zamkiem we Vranovie, majątków w powiatach sądeckim, limanowskim oraz jasielskim, a także nabytego w 1909 r. uzdrowiska Szczawnica i tamtejszego kompleksu leśnego, był dobrze przygotowany do zarządzania nimi dzięki starannemu wykształceniu

w zakresie gospodarki leśnej, uwieńczonemu studiami w Monachium i Heidelbergu. Autor tego szkicu zapoznał się z tą postacią poprzez dokumentację dziejów Biblioteki Kórnickiej oraz Fundacji Zakłady Kórnickie, bowiem z chwilą jej powstania został oddelegowany w 1925 r. przez Związek Ziemian do jej Kuratorium, które powierzyło mu funkcję inspektora lasów i członka Komisji Rewizyjnej.

Była to jedna z licznych funkcji społecznych ziemianina – arystokraty, skolięganego z czołowymi rodami w kraju i za granicą, m.in. z Sapiehami (bliskie pokrewieństwo z kardynałem metropolitą krakowskim), działacza politycznego i społecznego, posła na sejm w latach międzywojennych. Autor podstawowego biogramu ocenia go jako dobrze zapisanego społecznika, otwartego na potrzeby Sądecczyzny⁵. Wydawca poprzedził publikację tekstu źródłowego gruntowną charakterystyką postaci swego sąsiada ze stron rodzinnych.

Tekst Stadnickiego stanowi ważne źródło nie tylko do dziejów ziemiaństwa galicyjskiego, ale także do podsudeckiej Nawojowej, miejscowości o bogatych tradycjach, założonej w pierwszej ćwierci XIV w. przez kasztelana krakowskiego Nawoja z Tęczyna, wielkopańskiej rezydencji, ośrodka klucza dóbr⁶. Jego upowszechnienie zawdzięczamy trudowi i konsekwencji zmarłego przed kilku miesiącami profesora Uniwersytetu Opolskiego.

⁵ Zob. *Polski słownik biograficzny*, t.41, s. 363–368.

⁶ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t.6, Warszawa 1886, s. 938.

¹ Zob. M. Kosman, *Opolanin w Mińsku i Wilnie, „Strony” Opole 2011*, nr 1(35), s. 154–160.

² W. Kaczorowski, M. Kosman, *Między Wrocławiem, Opolem i Poznaniem (wspomnienie o Profesorze Józefie Długoszu)*, „Opolskie Studia Administracyjno-Prawne” XIII/1, Opole 2015, s. 173–198.

³ Adam Stadnicki, *Wspomnienia. Wybór i opracowanie Józef Długosz. Nowy Sącz 2015 (Biblioteka „Rocznika Sądeckiego”) s. 140.*

⁴ *Piwniczna Zdrój. Studia i szkice z dziejów miasta 1772–1998. Praca zbiorowa pod redakcją Józefa Długosza. Kraków 1998.*

WŁADYSŁAW HENDZEL

BYTOMSKO-OPOLSKIE ZAUROCZENIA

Raczej trudno, zgodnie z dobrą tradycją, zacząć od słów: „Jeszcze pachnie farbą drukarską” itd. Książka, a właściwie uroczą książeczkę Piotra Obrączki, *Między Bytomiem a Opolem. Szkice i wspomnienia* ukazała się na rynku wydawniczym przed rokiem i coraz bardziej przyciąga uwagę czytelników, a zwłaszcza czytelniczek. Publikacja została – co można wyczytać – „wydana ze środków gminy Bytom w roku jubileuszowym 760-lecia miasta”. To niewątpliwie piękny gest włączenia się autora w uroczystości macierzystego środowiska.

Na całość publikacji składa się siedemnaście, w zasadzie drobiazgów, które swoją formą wyjątkowo leżą profesorowi Obrączce pod względem kompozycyjnym, ujętych w trzy segmenty: *Tematy bytomskie*, *Tematy opolskie*, *Ze wspomnień*.

W pierwszym rozdziale autor przypomina często niesłusznie zapomnianych sławnych Bytomian (Grzegorz Gerwazy Gorczyca, Gerwazy Brüning), pisze o ciekawych realiach obyczajowych miasta (pogrzeby, nazewnictwo ulic i placów, przygody na bytomskich targach), instytucjach (główny i wielce zasłużony dla miasta Klub Literacki, Uniwersytet Trzeciego Wieku). Nie jest z pewnością drobiazgiem rzetelny, ciekawie napisany artykuł o Marcinie Hałasiu, bytomianinie, który w swej twórczości, głównie poetyckiej, stara się poznać, zrozumieć i... ożywić lwowską ojczyznę swoich przodków. Artykuł napisany ciekawie, rzetelnie, twórczość lwowską Hałasia stara się autor pokazać na tle bogatej tradycji poezji inspirowanej wiernym miastem.

Tytuł rozdziału II, zdaniem piszącego te słowa, niezupełnie adekwatny do zawartości, to raczej rzeczy, które powstawały w Opolu. Blok ten otwiera bardzo interesujący artykuł, a właściwie niezwykle solidnie zrobiony szkic monograficzny pt. *Nieznany Kisielewski*. Autor przywołuje tu sylwetkę niesłusznie zapomnianego Zygmunta Kisielewskiego, starszego brata głośnego dramaturga Jana Augusta Kisielewskiego. Temu drugiemu Obrączka poświęcił znaną i cenioną w środowisku polonistycznym monografię *Studia nad życiem i twórczością Jana Augusta Kisielewskiego*, 1967. Zygmunt Kisielewski od lat przyciąga uwagę Piotra Obrączki, który jest właściwie największym znawcą jego dorobku. We wspomnianym artykule autor kreśli biografię pisarza, ukazuje jego liczne zainteresowania, bogatą działalność literacką, organizacyjną, artystyczną, jego rolę w życiu literackim dwudziestolecia międzywojennego.

Dopełnieniem przywołanego wyżej artykułu jest drobiazg: *Zygmunt Kisielewski w Zagłębiu Dąbrowskim* (s. 57–62).

Bratem Zygmunta był wybitny pisarz, kompozytor, krytyk, felietonista, Stefan Kisielewski, z którym Piotr Obrączka prowadził korespondencję, dotyczącą przede wszystkim rodziny Kisielewskich, a szczególnie sławnego dramaturga. Obrączka ujawnia i komentuje listy Kisielewskiego, w których znalazł wiele przydatnych do pracy naukowej wiadomości, a także informacji o polskim życiu literackim i artystycznym (tekst o znajomości Piotra Obrączki ze Stefanem Kisielewskim był opublikowany w ostatnim numerze „Indeksu” – przyp. red.).

Trzeci segment książeczki ma tonację bardzo osobistą: autor wspomina wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat, mijających mu, poza nielicznymi epizodami, w dwu środowiskach: Bytom i Opole. Przywołuje zatem lata wczesnoszkolne, licealne oraz lata studiów (*Moje opolskie studia*). W tych wspomnieniach pojawia się i sylwetka profesora Władysława Studenckiego, człowieka niezwykle zasłużonego dla środowiska naukowego i literackiego Opoli. Obrączka tak uzasadnia obecność tego szkicu: „Profesor jest mi szczególnie bliski: byłem jego studentem, pisałem pod jego kierunkiem pracę magisterską i doktorską, byłem jego długoletnim współpracownikiem w opolskiej uczelni” (s. 6).

We wspomnieniu jest wiele autentycznego ciepła, wdzięczności i przyjaźni. Obrączka pokazuje profesora Studenckiego jako człowieka o niezwykle szerokich zainteresowaniach, pasjach, podkreśla jego niezwykle istotną rolę w życiu umysłowym, literackim i kulturalnym Bytomia, jego wkład w życie naukowe, organizacyjne i... towarzyskie polonistyki opolskiej.

Tematy opolskie autor zamyka tekstem laudacji, wygłoszonej przez siebie 9 marca 2001 r., na cześć Adama Hanuszkiewicza, któremu Uniwersytet Opolski nadał tytuł doktora *honoris causa*. W sposób zwarty, rzetelny i trafny przypominał w niej dorobek wielkiego aktora i jego wkład we współczesne życie literackie i teatralne.

Profesor Obrączka w recenzowanej tu książeczce, jak zresztą we wszystkich swoich pracach, urzeka polszczyzną jasną, klasyczną, bez różnych udiwnień. Polszczyzną, o którą dziś nie tak łatwo. Żałować trzeba mocno, iż wydawnictwo skąpiło czcionki na przypisy – ich lektura to dla czytelnika prawdziwy kłopot.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



BOKSZCZANIN ANNA

Postresowy wzrost i psychospołeczne funkcjonowanie młodzieży po doświadczeniach klęski powodzi

Stud. i Mon. nr 521, ISBN 978-83-7395-662-9, Opole: Wyd. UO, 2015, format B5, 228 s., oprawa miękka, **cena 22,05 zł**

Zagrożenie występowaniem katastrof jest wciąż duże, a ich negatywne skutki mogą być bardzo poważne zarówno dla pojedynczych osób, jak i całych społeczności. Badania reakcji młodych ludzi, którzy doświadczyli klęski katastrofy, skupiają zainteresowanie teoretyków stresu oraz praktyków zajmujących się psychologiczną interwencją. Monografia poświęcona jest przeglądowi aktualnej wiedzy, teorii i empirycznym doniesieniom na temat psychicznych i społecznych reakcji młodzieży po doświadczeniach katastrofy, ze szczególnym naciskiem na pozytywne następstwa stresu. W książce znajdują się także badania własne autorki, przeprowadzone w grupie młodzieży szkolnej, która doświadczyła klęski powodzi w Piechowicach (woj. dolnośląskie) w 2006 roku.

Monografia jest skierowana nie tylko do psychologów i studentów psychologii, ale również do pedagogów, socjologów, lekarzy, pracowników socjalnych oraz wszystkich osób zainteresowanych psychologicznymi następstwami stresu i traumy.

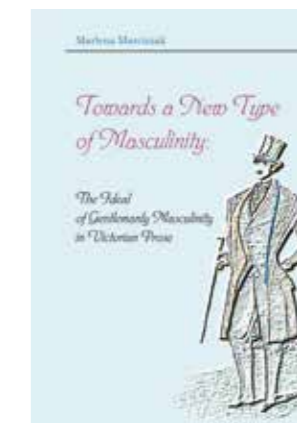


KONIECZNA EWELINA J.

(red. nauk.), *Nie można dać za wygraną... Prace konkursowe I edycji konkursu autobiograficznego dla osób z niepełnosprawnością „Sensotwórcy – ludzie, dla których tworzenie ma sens”*

ISBN 978-83-7395-663-6, Opole: Wyd. UO, 2015, format B5, 192 s., oprawa miękka, **cena 16,80 zł**

Książka zawiera prace uczestników konkursu autobiograficznego pt. „Sensotwórcy – ludzie, dla których tworzenie ma sens”. Są to teksty, w których autorzy opisują swoje przeżycia związane z doświadczaną niepełnosprawnością. Główną tematyką prac jest jednak działalność (artystyczna, kulturalna, społeczna itp.), dzięki której ich autorzy odnaleźli sens życia. Zamieszczone prace stanowią studium przeżyć ludzi, doświadczonych przez los, którzy pomimo niepełnosprawności, z jaką się zmagają, potrafią dostrzec głęboki sens własnej egzystencji. Praca jest adresowana do pedagogów, psychologów, nauczycieli, pracowników socjalnych oraz rehabilitantów.



MARCINIAK MARLENA

Towards a New Type of Masculinity: The Ideal of Gentlemanly Masculinity in Victorian Prose

Stud. i Mon. nr 523, ISBN 978-83-7395-668-1, Opole: Wyd. UO, 2015, format B5, 224 s., oprawa miękka, **cena 22,05 zł**

Monografia pt. „W stronę nowego modelu męskości: ideał męskości dżentelmeńskiej w prozie epoki wiktoriańskiej” adresowana jest do badaczy literatury wiktoriańskiej, jak również do pracowników naukowych i studentów filologii angielskiej, zainteresowanych historią oraz kulturą dziewiętnastowiecznej Anglii. Głównym przedmiotem analizy w książce jest idea dżentelmeńskiej męskości, która zdobyła uznanie i szerokie poparcie społeczne w czasie panowania królowej Wiktorii. Poszczególne aspekty owego modelu męskości są omawiane na podstawie zarówno dzieł o tematyce popularnonaukowej oraz filozoficznej, jak i wybranych powieści wiktoriańskich. Autorka pokazuje, jak nowa definicja dżentelmeńskości – kładąca nacisk na szlachetne postępowanie, a nie na szlachetne pochodzenie – wpływała na kształtowanie się relacji interpersonalnych ówczesnych mężczyzn.

Praca może zainteresować nie tylko literaturoznawców i kulturoznawców, ale także szerokie grono czytelników anglojęzycznych pragnących pogłębić swoją wiedzę o bogactwie kulturowym Wyp. Brytyjskich.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



OLSZEWSKA BOŻENA, PAJĄCZKOWSKI OLAF, URBAŃCZYK LIDIA
„Stare i nowe” w literaturze dla dzieci i młodzieży – biografie
 ISBN 978-83-7395-653-7, Opole: Wyd. UO, 2015, format B5, 512 s., oprawa miękka,
cena 44,10 zł

Jak uczynić z dziecka geniusza? Czy Kopernik był kobietą? Jak mówić prosto o trudnych sprawach? Jakie funkcje odgrywa opowieść biograficzna? – to tylko niektóre z pytań, na które czytelnik znajdzie odpowiedź w kolejnym, trzecim już konferencyjnym tomie z cyklu „Stare” i „nowe” w literaturze dla dzieci i młodzieży. Tym razem głównym tematem wspomnianego tomu stały się biografie adresowane do młodego czytelnika. Autorzy poszczególnych artykułów ukazali mechanizmy konstrukcji świata przedstawionego i tworzenia sylwetek sławnych ludzi z „żabiej perspektywy”, wnikliwie przyglądając się narracji, funkcjom biografii, jej rodzajowym i gatunkowym odmianom, ich miejscu w edukacji szkolnej. Książkę otwiera wypowiedź znanej współczesnej pisarki Anny Czerwińskiej-Rydel, w której mowa jest o autorskim trudzie, intelektualnej przygodzie i celowości uprawiania biografistyki przeznaczonej dla młodego odbiorcy; całość zamyka informacja Marii Kulik poświęcona obecności na współczesnym rynku wydawniczym wspomnianej tu odmiany biografistyki.



ANNA LEDWINA (red. nauk.)
„Litteraport. Revue annuelle de la littérature francophone”. No 2: La transgression dans la littérature française et francophone
 ISSN 2392-0637, Opole: Wyd. UO, 2015, format B5, 220 s., oprawa miękka,
cena 18,90 zł

Treścią pracy jest próba spojrzenia – w perspektywie interdyscyplinarnej – na wielowymiarowość pojęcia transgresji i jego różne rozumienia. Pojmowana jako przekraczanie granic i kanonów estetycznych, odstępstwo od reguły, hybrydyczność gatunkowa jawi się ona jako zjawisko niezwykle złożone, a zarazem interesujące, związane z inwencją twórczą. Pojęcie transgresji wpisuje się jednak w szerszy kontekst, dotyczący poszukiwaniu sensu, manifestując się poprzez niekonwencjonalne czy wręcz obrazoburcze zachowania, łamanie zakazów, tabu, odrzucanie wszelkich norm, zwłaszcza w odniesieniu do literackiej postaci kobiety. Postrzegana w wymiarze indywidualnym i zbiorowym transgresja może być interpretowana również jako środek techniczny i narzędzie ekspresji, jako swoisty modus operandi właściwy dla natury ludzkiej, który odzwierciedla buntownicze postawy. Praca jest adresowana do literaturoznawców, badaczy literatury francuskiej i frankofońskiej, studentów i absolwentów filologii romańskiej.

Przygotowała: Lidia Działowska

REDAKCJA WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



POŹNIAK GRZEGORZ
Katalog organów diecezji opolskiej. Część II
 (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 86), Opole 2015, 262 s.,
cena 19,95 zł

Niniejsza publikacja stanowi spis organów, znajdujących się na terenie kilkunastu dekanatów diecezji opolskiej.



WIDOK NORBERT (RED.)
„Przegląd Piśmiennictwa Teologicznego Rok XXI”
 (czasopismo, nr 41), Opole 2015, 237 s.,
cena 17,85 zł

Jest to czasopismo o charakterze bibliograficznym, które zamieszcza opisy książek wydanych w Polsce. Zawiera recenzje i omówienia książek z teologii oraz dyscyplin pokrewnych, tj. filozofii, psychologii religii, kultury i sztuki, historii Kościoła itp.



STEC PIOTR, MANIURKA PIOTR PAWEŁ (RED.)
Towards a New Type of Masculinity: The Ideal of Gentlemanly Masculinity in Victorian Prose
 Kolekcje i zbiory muzealne. Problematyka prawna, Opole 2015, 269 s.,
cena 19,43 zł

Monografia jest owocem współpracy autorów, zajmujących się problematyką prawnej ochrony dziedzictwa kulturowego, reprezentujących różne ośrodki naukowe i różne dyscypliny prawnicze.

Przygotował: Piotr Juszczyzyn

NOTY O AUTORACH

GRZEGORZ BANASIK

student polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zainteresowania naukowe: literatura dokumentu osobistego oraz współczesna polska proza.

JERZY BESKI

absolwent ASP w Krakowie, malarz i grafik związany z Opolem od 1954 r. Autor wspomnień pt. *Moje Podole. 1930–1945* (Wyd. NOWIK, 2010).

DR ANNA BRUSKA

pracownik Zakładu Logistyki i Marketingu, Wydziału Ekonomicznego UO.

HARRY DUDA

poeta, pisarz, publicysta. Absolwent polonistyki WSP w Opolu. Od 1977 r. członek Związku Literatów Polskich (przez dwie kadencje prezes opolskiego oddziału). Opublikował 26 zbiorów poezji, uprawiał prozę dokumentalną, jego pasją są tematy biblijne.

JERZY DUDA

emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczący historii oświaty w woj. opolskim.

KS. DR PIOTR GÓRECKI

dr nauk teologicznych w zakresie historii Kościoła, adiunkt na Wydziale Teologicznym UO.

ANDRZEJ HAMADA

nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

PROF. DR HAB. WŁADYSŁAW HENDZEL

emerytowany, długoletni pracownik Instytutu Filologii Polskiej UO (dziś: Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa), specjalizuje się w literaturze Młodej Polski. Autor prac o Józefie Jędrzejku-Kapusińskim, Janie Lemańskim i czasopiśmiennictwie Młodej Polski, szczególnie warszawskim „Głosie”.

IRENA KALITA

prezes opolskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

AGNIESZKA KANIA

opolska lekarka dentytka. Od sześciu lat prowadzi galerię sztuki „Panaceum”. Regularnie ogłasza teksty w opolskiej „Gazecie Wyborczej”. Zdobyła dwukrotnie (w roku 2012 i 2013) pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie literackim im. profesora Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza”. Wydała tom szkiców i felietonów *Zapatrzenia* (Opole 2011).

DR DOROTA KONIETZKO-MEYER

absolwentka biologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach (specjalizacja z fizjologii zwierząt). Po studiach związana z Uniwersytetem Opolskim – od 2000 roku z wykopaliskami w Krasiejowie. Specjalizuje się w paleohistologii, ściśle współpracuje z Uniwersytetem w Bonn. Jest jedynym w Polsce i jednym z nielicznych na świecie specjalistów od paleohistologii kości skamieniałych kręgowców.

PROF. DR HAB. MARCELI KOSMAN

historyk (dzieje kultury polskiej nowożytnej, kultura polityczna), pracownik naukowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkunastu książek, m.in. *Na tropach bohaterów „Krzyżaków”, Na tropach bohaterów „Quo vadis”, Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci, Dziejny Polska*.

DR HAB. BARTŁOMIEJ KOZERA, PROF. UO

emerytowany pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

TADEUSZ KUCHARSKI

publicysta specjalizujący się w tematyce prawnej. Do połowy lat 70. związany z Opolszczyzną (miesięcznik społeczno-kulturalny „Opole”). Był m.in. zastępcą red. naczelnego „Gazety Sądowej”, dziennikarzem „Tygodnika Kulturalnego” i „Kultury”; pełnił funkcję rzecznika prasowego ministra sprawiedliwości.

PROF. MARTIN M. LINTNER

pracownik naukowy Philosophisch-Theologische Hochschule, w Brixen-Bressanone (Włochy). Zainteresowania badawcze: teologia moralna fundamentalna, etyka seksualna, etyka lekarska, etyka środowiskowa.

JOANNA MATLACHOWSKA-PALA

opolska lekarka i poetka, członek Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Wielokrotnie nagradzana w konkursach poetyckich. Autorka tomików wierszy *Most dla motyla* (1995), *Biało-błękitne* (2000) i *Telegram eklezjasty* (2011).

DR HAB. MARZENA MAKUCHOWSKA

pracownik Studium Kultury i Języka Polskiego Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

ALFRED MICHLER

absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (studia w latach 1959–1964), współzałożyciel i pierwszy prezes istniejącego od 20 lat Towarzystwa Ziemi Złotoryjskiej.

PROF. DR HAB. JÓZEF MUSIEŁOK

kierownik Katedry Spektroskopii Plazmy Instytutu Fizyki UO, fizyk atomowy, w latach 2002–2005 rektor Uniwersytetu Opolskiego, absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

PROF. DR HAB. STANISŁAW S. NICIEJA

historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), urzędujący rektor Uniwersytetu Opolskiego, współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986; Cmentarz Obrońców Lwowa; Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza; Łyczaków – dzielnica za Styksem; Tam gdzie lwowskie śpią Orleńcy; Cmentarz Łyczakowski w fotografii; Twierdza kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie; Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Boryslaw; Lwowskie Orleńcy. Czyn i legenda; Kresowa Atlantyda*.

IMPRESSUM

Wydawca: Uniwersytet Opolski (nakład: 550 egz.)
Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl
Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska
Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej, Bożena Wroniszewska, Grzegorz Gajos
Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja
Projekt graficzny/skład: Grzegorz Gajos
Druk: ZAPOL Sobczyk spółka jawna, Szczecin
Zastrzeżenie: prawo do adyustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówek, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania

DR IWONA SOBIERAJ

pracownik Zakładu Antropologii i Socjologii Kultury Instytutu Socjologii UO.

PROF. DR HAB. STANISŁAWA SOKOŁOWSKA

kierownik Katedry Organizacji i Zarządzania, dziekan Wydziału Ekonomicznego UO.

DR KRZYSZTOF SPAŁEK

adiunkt w Samodzielnej Katedrze Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego. Współredagował pierwszą w Polsce regionalną *Czerwoną księgą roślin województwa opolskiego*. Jako pierwszy odkrył stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie. Zainteresowania naukowe: fitosocjologia i geobotanika, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorowisk roślin wodnych.

WITOLD SUŁEK

opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy *Plantacja* oraz książki dla dzieci *Bajka o małym łosiu*. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka.

DR JAN ST. TRZOS

studiował filologię rosyjską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, obronił pracę doktorską na temat alienacji artystów w literaturze rosyjskiej epoki romantyzmu. Autor licznych esejów o tematyce malarskiej i kulturze śląskiej, kolekcjoner malarstwa i zabytkowej porcelany.

DR ADAM WIERCIŃSKI

historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: *Przywracanie pamięci*, 1993, 1997: *Głowy opolskie*, 1999, 2008; *O nijaczaniu języka*, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliiterackich.

uni
www.
uni.opole.pl